

CZY
STARA
DOBRA
EKONOMIA
TO SYSTEM
POZORÓW?

Koniec atlantyckiego modelu kapitalizmu



O szerszym, antropologicznym spojrzeniu na sferę gospodarowania oraz współczesny kapitalizm z dr Kacprem Pobłockim rozmawia Jan Chudzyński.

Jaka jest relacja pomiędzy antropologią ekonomiczną a ekonomią?

Antropologia różni się od wszystkich innych nauk tym, że powstała jako nauka dotycząca społeczeństw rzekomo prymitywnych. Podczas gdy socjologia miała zajmować się społeczeństwem, ekonomia gospodarką, a politologia polityką, antropologia z założenia była nauką

bardzo holistyczną. W badaniu społeczeństw tradycyjnych te sfery nie były przecież rozdzielane i w rezultacie nigdy nie było założenia, że te wycinki rzeczywistości są od siebie niezależne.

Pewnie dlatego jeden z najśłynniejszych artykułów w socjologii ekonomicznej, czyli praca Marka Granovettera na temat zakorzenienia sfery gospodarczej w kulturze, jest dla antropologów banalna. Antropologdy od zawsze wiedzieli, że gospodarka nigdy nie była odseparowaną, autonomiczną sferą ludzkiej działalności. To wyjaśnia widoczną w antropologii tradycję ekonomii politycznej, która była punktem styczności pomiędzy obiema dziedzinami. Z czasem holizm w badaniach społeczeństw pierwotnych został przełożony na inne obszary badań. Współcześni antropologdy robią np. badania etnograficzne na Wall Street.

Drugi punkt styczny to czerpanie przez ekonomię z szeregu antropologicznych mitów, np. tego o barterze.

Na czym polega ten mit?

To jest pewna teoria oparta na założeniu, że najpierw był barter, a później na skutek nieśmiałych aktów wymiany doszło do pojawienia się rynku. Czyli rynek narodził się w wyniku potrzeby wymiany towarów. Na początku spotykaliśmy się raz na rok, potem raz na tydzień, aż w końcu doszło do regularnej wymiany towarowo-pieniężnej. Rozrastały się rynki i miasta kupieckie itd. Tyle, że to smithowska wizja, która nie ma pokrycia w historii gospodarczej.

Rynki były zawsze i zawsze były efektem działalności państwa, a nie wymiany. Arabscy i chińscy filozofowie pieniądza uważaliby taką

wizję genezy pieniądza za zaboron. Pieniądz był bowiem dla nich instrumentem działalności państwa. W mojej książce opisuję genezę polskiego państwa. Okazuje się, że zostało ono zbudowane za srebrne pieniądze produkowane na eksport w emiracie sammanickim, czyli na obecnym terytorium Afganistanu i Iranu. W Polsce przez pierwsze dwieście lat nie było kupców, nie było miast rzemieślniczo-kupieckich, które teoretycznie są zalążkiem zachodniego kapitalizmu. Była za to instytucja niewolnictwa, dzięki której produkowano różne towary. Była też wymiana, ale pod bardzo silną kuratelą państwa.

To trochę inna wizja rozwoju kapitalizmu. Codziennosc mitycznego chłopca, który produkuje na własne potrzeby i coś czasami odsprzedaje na rynku, wyglądała więc trochę inaczej. Handel,

wymiana i rynki od zawsze były dziełem państwa.

Rzeczywiście to wbrew popularnym przekonaniom na ten temat...

Wróćmy jeszcze do punktów stycznych antropologii ekonomicznej i ekonomii. Otóż trzeci punkt wynika z tego, że antropologia jest też w dużej mierze nauką o przestrzeni. I tak np. ważna książka Erica Wolfa *Europa i ludy bez historii* pokazuje, że nie byłoby zachodniego kapitalizmu bez tzw. Trójkąta Atlantyckiego. Nie można mówić o angielskiej rewolucji przemysłowej abstrahując od niewolnictwa, Afryki Zachodniej, Karaibów i USA. Eksportowano niewolników z Afryki Zachodniej do Karaibów i do USA, gdzie produkowali oni bawełnę i cukier, które były transportowane do Wielkiej Brytanii.

.....
ciąg dalszy na str.11.

Kryzysy globalnej gospodarki



O tym jak neoliberalizm kolonizuje globalną gospodarkę z Przemysławem Wielgoszem rozmawia Marcin Wrzós.

Wraz z upadkiem ZSRR gospodarka kapitalistyczna w obecnym kształcie zdominowała świat. Naomi Klein twierdzi, że nie musiało się tak stać. Jej zdaniem, gdyby rywalizacja między blokami trwała dłużej, doszłoby do załamania kapitalizmu. Upadek bloku wschodniego przyszedł w ostatnim

momencie i otworzył mu pole do ekspansji. Od tamtej pory coraz mniej jednak pozostało miejsc do skolonizowania...

Kapitałowi niekoniecznie potrzebna jest przestrzeń do podbicia. Potrafi on cyrkulować wewnątrz systemu kapitalistycznego. Dobrym przykładem jest zjawisko przesunięć produkcyjnych. Kapitał w poszukiwaniu taniej siły roboczej oraz dogodnych dla siebie warunków inwestowania przemieszcza się globalnie. Beverly J. Silver bardzo ciekawie opisuje w swojej książce pt. „Globalny proletariatus”, jak wyglądało przemieszczanie się ośrodków przemysłu motoryzacyjnego w Stanach Zjednoczonych. Fabryki początkowo migrowały z północnych stanów na południe, potem do Meksyku, a następnie do Re-

publiki Południowej Afryki, Korei Południowej, Brazylii i do Chin. Silver udowodniła, że poszukiwanie taniej siły roboczej może mieć wymiar globalny, że nie jest to jakaś nowość w kapitalizmie.

Ruch odbywa się tylko w jedną stronę?

Kiedy wyczerpują się już możliwości znajdowania obszarów, na których siła robocza jest tania, bo odpowiednio spacyfikowana, kapitał może powracać do swoich mateczników. Oznacza to niszczenie sektora socjalnego i próby redukcji praw społecznych do poziomu występującego w krajach, do których produkcja migrowała wcześniej. Warto pamiętać, że konsekwencją delokalizacji produkcji na peryferie jest także wywieranie negatywnej presji na siłę roboczą w krajach centrum

kapitalizmu globalnego. Dochodzi do stagnacji płacowej, czasami do realnego ich obniżania. To oczywiście powoduje generalnie, że siła oporu stawianego przez pracowników jest mniejsza, a możliwości wywierania na nich presji większe.

Przy czym rzecz jasna nie jest to tak znakomita sytuacja z punktu widzenia kapitału, jaka była wtedy, kiedy mieliśmy do czynienia z obszarami, na których istnieją reżimy dyktatorskie, które depczą wszelkie aspiracje pracownicze i mogą wejść do globalnych sieci, oferując tanią i spacyfikowaną siłę roboczą. Mam na myśli takie kraje jak Chiny, Bangladesz, Indonezja czy Wietnam. W najbliższym czasie krajami takimi staną się najprawdopodobniej kraje afrykańskie. Ten proces można już zaobserwować w Nigerii i Republice Południowej

Afryki. Kwestią czasu jest, kiedy dołączą następne.

W ostatnim czasie obserwujemy upadek gospodarki Wenezueli, która starała się budować alternatywny model ekonomiczny. Czy to nie dowód na skuteczność neoliberalizmu?

Być może jest wręcz przeciwnie. Problem Wenezueli polega przede wszystkim na tym, że to odejście od neoliberalizmu było bardzo niekonsekwentne. Znaczenie miały również ograniczenia polityczne. Ten bardzo długi epizod rządów lewicowych miał znakomity początek oraz niezaprzeczone i wielkie osiągnięcia. Poważne problemy zaczęły się w ciągu ostatnich lat.

.....
ciąg dalszy na str.14.

Marks napisał wiele kart zielonym atramentem



O tym jak Morawiecki przejął strategię azjatyckich „tygrysów” oraz mądrościach Zenona z Elei z prof. Jackiem Tittenbrunem rozmawia Adam Ostolski.

Rozwój kapitalizmu od początku wiązał się z rosnącą presją człowieka na środowisko. Dlaczego więc kwestie ekologiczne stały się przedmiotem zainteresowania polityków względnie niedawno?

Symbolem oddziaływania gospodarki prowadzonej przez ludzi na środowisko naturalne jest fakt, iż od niedawna geologowie przyznają, że zmiany te zaszły tak daleko, iż uprawniają do wy-

odrębnienia nowej ery w historii ludzkości, gdzie siły napędowe przeobrażeń środowiska mają naturę nie tyle czysto przyrodniczą, co antropogenną. Zwłaszcza począwszy od rewolucji przemysłowej, która dała początek nowoczesnemu kapitalizmowi, wpływ ludzkości na przyrodę, z którą człowiek niegdyś, w mitologicznej przeszłości, żył w przedustawnej harmonii, stał się przemożny.

Przez długi czas problem ten był spychany na margines, warunki życia klasy robotniczej w miejskich gettach były sprawą dobrej woli grupki filantropów. Sytuacja uległa radykalnej zmianie dopiero z chwilą, gdy sama burżuazja poczuła się zagrożona konsekwencjami zachowania dzina, którego wypuściła z butelki rewolucji industrialnej. Oczywiście nadal nie było i nie ma równości pod względem narażenia różnych klas i stanów na szkodliwe dla człowie-

ka skutki industrializacji - bogata burżuazja zawsze będzie pod tym względem górowała nad robotnikiem czy nauczycielem, którym się nie przelewa i którzy zasadniczą większość wynagrodzenia są zmuszeni przeznaczać na koszty bieżącego utrzymania. Rzadko mogą sobie pozwolić na zakup drogich urządzeń, ograniczających np. skutki zanieczyszczenia atmosfery, albo tym bardziej na przeniesienie swej siły roboczej i całego gospodarstwa domowego w jakieś bezpieczniejsze rejony, jakich jeszcze sporo na tym globie.

W każdym razie bezpośrednie zagrożenie warunków życia klas burżuazyjnych sprawiło, że nagle zaczęto postrzegać świat w zielonych kolorach.

A kiedy problem ten stał się przedmiotem zainteresowania ekonomistów?

Jeśli ekonomia klasyczna w ogóle brała pod uwagę tego rodzaju

ju kwestie, to w ograniczonym stopniu, pod postacią teorii renty gruntowej. Tę teorię przejął od Davida Ricardo i udoskonalił Karol Marks, który jednak wraz z Fryderykiem Engelsem napisał wiele kart zielonym atramentem. „Położenie klasy robotniczej w Anglii” Engelsa to doskonałe studium empiryczne, które do dzisiaj robi duże wrażenie.

Wkład Marksa do „zielonego” nurtu myślowego to m.in. fundamentalne rozróżnienie między wartością użytkową a wartością wymienną czy analiza nowoczesnego maszynowego sposobu produkcji, ukazująca jego masowy charakter, a także masywny wpływ na środowisko za pośrednictwem różnego rodzaju produktów ubocznych procesu wytwarzania dóbr materialnych. Walorem obu tych klasycznych teorii było także jednoznaczne uznanie istnienia podziałów klasowych w społeczeństwie, co za-

klada podkreślenie roli własności w życiu społeczno-ekonomicznym. Łączy się z tym m.in. zainteresowanie stosunkami podziału dochodów i produktu globalnego, bowiem bez tego rodzaju analizy trudno sobie wyobrazić naukowo uzasadnione rozważania nad interakcjami środowiska przyrodniczego i ludzkiej gospodarki.

Tu również teoria marksowska pozwala dostrzec pewną dwuznaczność pojęcia środowiska naturalnego. Nie tak wiele znajdziemy dziś na kuli ziemskiej dziewiczych lasów, nietkniętych ręką ludzką wód, na jakie nigdy nie zapuszczał się człowiek poszukujący owoców morza itp. W gruncie rzeczy mówimy tu zatem o środowisku przyrodniczo-społecznym, gdzie samo to określenie symbolizować może zakres ingerencji człowieka w otaczającą go „naturę”.

.....
ciąg dalszy na str.15.

EKONOMIA NIE Z TEGO ŚWIATA



Jan
Chudzyński

Niebawem upłyne dziesięć lat od momentu, kiedy pęknięcie bańki spekulacyjnej na rynku papierów wartościowych powiązanych z amerykańskimi kredytami hipotecznymi doprowadziło do największego w powojennej historii kryzysu gospodarczego. W pierwszej fazie załamania dokonywano eksmisji i licytacji nieruchomości w USA, zwalniano pracowników sektora finansowego na Wall Street i w londyńskim City, strat doświadczyli inwestorzy giełdowi oraz pracownicy odkładający na przyszłość za pośrednictwem funduszy emerytalnych. Dopiero później pojawiły się problemy Grecji, Hiszpanii, Portugalii, Włoch i Irlandii, tzw. kryzys zadłużenia strefy euro i wysokie bezrobocie.

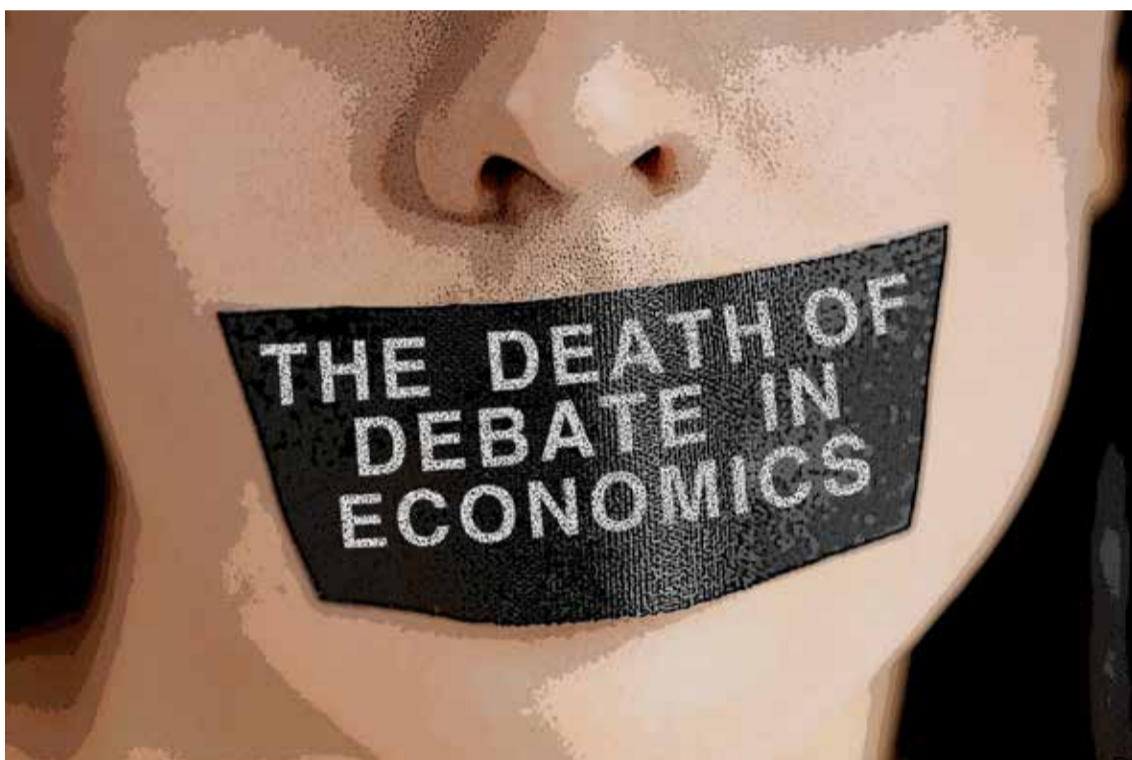
Mijająca dekada przypominała, jak trudna sytuacja gospodarcza wpływa na dyskurs publiczny. Bezkarność sektora finansowego, nierówności, narzucona polityka zaciskania pasa i powodowane tym ludzkie dramaty z jednej strony zrodziły ruchy Occupy i hiszpańskich Oburzonych, które przełożyły się na popularność ich politycznych reprezentacji – Berniego Sandersa w USA, partii Podemos w Hiszpanii, czy Syriza w Grecji. Z drugiej jednak, kryzys spowodował też niepokojący wzrost nastrojów nacjonalistycznych i popularność podsycających je brytyjskiego UKIP, greckiego Złotego Świtu, Donalda Trumpa, czy francuskiego Frontu Narodowego.

Gdzie szukać inspiracji?

Zmiany w zakresie polityki gospodarczej i społecznej, jakie postuluje amerykański prezydent i przedstawiciele innych ruchów antyestablishmentowych, są z reguły pomysłami dobrze znanymi. Postępowa lewica naturalnie chce powrotu państwa dobrobytu, większego bezpieczeństwa socjalnego, redystrybucji i regulacji rynków, z kolei inne środowiska prezentują cały wachlarz pomysłów na gospodarkę, które łączy chyba jedynie narodowa i antymigracyjna retoryka. Oznacza to szansę na odejście od neoliberalnego *status quo*, jednak jak zauważa w swojej ostatniej, pośmiertnie wydanej książce Zygmunt Bauman, oba sięgające w przeszłość kierunki – państwo dobrobytu i państwo narodowe – są dowodem braku wiary w alternatywną przyszłość.

Mimo to na marginesie debaty publicznej pojawiają się także idee wychodzące daleko poza ramy określone przez mainstreamową wyobraźnię. Kreśli się różne wizje post-kapitalizmu, spośród których część ufundowana jest na techno-optimizmie z darmową energią, robotyzacją oraz ludźmi wolnymi od pracy. Inne, koncentrujące się bardziej na przeobrażeniach o charakterze organizacyjnym niż innowacjach, przewidują zmianę logiki gospodarowania – odejście od dominującej roli rynku i akumulacji

Katalog problemów współczesności oraz trudność wyobrażenia sobie innego świata są w dużej mierze konsekwencją dominujących idei ekonomicznych. Wpływ ekonomistów na rzeczywistość jest widoczny nie tylko w akcie transformacji, gdy dokonuje się przeobrażenia warunków życia społeczeństwa, czy w polityce gospodarczej, ale można go dostrzec także w dyskursie publicznym i popularnych sposobach postrzegania świata.



Projekt Kick it Over, AdBusters. <http://kickitover.adbusters.org>

kapitału na rzecz wspólnotowego zarządzania zasobami.

Dzisiaj trudno sobie wyobrazić zamieszkiwany przez 8 miliardów ludzi świat technoobfitości lub kooperatywu, ale niepokojące jest podejście, że jeszcze bardziej nieprzystające do rzeczywistości mogą okazać się zarówno obecnie realizowane kierunki polityki gospodarczej, jak i mające je zastąpić wizje z przeszłości, nazywane przez Baumaną retrotopiami.

Ekonomiczny przerost formy nad treścią

Ostatni kryzys nie był bowiem przypadkiem, a jedynie efektem naturalnych dla kapitalizmu procesów, które na przestrzeni kilku dekad doprowadziły do rozrostu sektora finansowego, ubezpieczeń i rynku nieruchomości. Tym razem, w odróżnieniu od poprzednich okresów zapaści gospodarczej, oprócz społecznych kosztów dalszej konkurencyjnej akumulacji piętrzą się także wyzwania antropocenu, a więc konieczność powstrzymania zmian klimatu i ograniczenia presji, jaką człowiek wywiera na środowisko naturalne. Niestety priorytet wciąż przyznawany jest wzrostowi gospodarczemu, przez co osiągnięcie założonego w porozumieniu paryskim celu zatrzymania globalnego ocieplenia w granicach 1,5 stopnia Celsjusza jest mało realne, a dodatkowo cały proces sabotowany jest przez Donalda Trumpa i jego wizję polityki gospodarczej.

Katalog problemów współczesności, a także trudność wyobrażenia sobie innego świata, są w dużej mierze konsekwencją dominują-

cych idei ekonomicznych. Wpływ ekonomistów na rzeczywistość jest widoczny nie tylko w akcie transformacji, gdy pojedynczy ekspert lub niewielki ich zespół dokonuje przeobrażenia warunków życia całego społeczeństwa (np. „Chicago Boys” w Chile, Jeffrey Sachs w Boliwii, Rosji i w Polsce), czy w polityce gospodarczej, ale można go dostrzec także w dyskursie publicznym i popularnych sposobach postrzegania świata. Dlatego właśnie tak naturalne jest myślenie o otaczającej nas rzeczywistości w kategoriach konkurencyjności, wzrostu gospodarczego i rynków – jest to bowiem zgodne z dogmatami współczesnej ekonomii głównego nurtu. Stąd też biorą się pomysły, by walkę ze zmianami klimatu, ochronę wymierających gatunków, a nawet rozwiązania wybranych problemów społecznych prowadzić przy użyciu mechanizmu rynkowego. Filozof polityki Michael Sandel słusznie chyba zatem zauważa, że w miejsce gospodarek rynkowych mamy dzisiaj urynkowane społeczeństwa.

Kryzys pokazał jednak, że dominująca w organizacjach międzynarodowych, na uniwersytetach i w czasopiśmie naukowych ekonomia neoklasyczna zupełnie nie poradziła sobie z analizą świata na poziomie makro. Przypomnijmy, że w 2003 roku Robert Lucas, laureat Nagrody Banku Szwecji im. Alfreda Nobla mówił, że „główne problemy w zapobieganiu załamania [gospodarczego] zostały rozwiązane”. Z kolei rok później prezes amerykańskiego banku centralnego Ben Bernanke uznał, że wolne od kryzysów lata, tzw. okres Wiel-

kiej Normalności, to wynik dobrej polityki gospodarczej i monetarnej. A nawet tuż przed upadkiem banku inwestycyjnego Lehman Brothers, co wywołało globalną fazę kryzysu we wrześniu 2008 roku, późniejszy główny ekonomista Międzynarodowego Funduszu Walutowego profesor MIT Olivier Blanchard twierdził, że makroekonomia dysponuje dobrymi narzędziami do analizy sytuacji ekonomicznej.

Jak to się stało, że nikt tego nie przewidział? – pytała prof. Luisa Garicano królowa Elżbieta II podczas wizyty w London School of Economics w listopadzie 2008 roku. Hiszpan odpowiedział, że to problem koordynacji działania grupowego i sytuacja, gdy wszyscy liczą, że to ktoś inny weźmie sprawy w swoje ręce i upora się z problemem. Publikowane przez ostatnie lata diagnozy były jednak o wiele bardziej krytyczne względem fundamentów współczesnie dominującego podejścia do ekonomii i powtarzały od dawna formułowane zarzuty. Prawdziwym problemem miały być bowiem umiłowane przez ekonomistów eleganckie, wysoko zmatematyzowane modele ekonomiczne, które mimo pięknej formy nie za dobrze odzwierciedlały rzeczywistość. Zbyt dużo wiary pokładano w modele, które w swoich założeniach nie dopuszczały nawet możliwości wystąpienia podobnego kryzysu.

Poszerzyć horyzonty

Dzięki kryzysowi więcej uwagi zyskali w końcu krytycy obnażający słabości dominującego podejścia. Jednym z najbardziej znanych z nich jest Steve Keen, który twierdzi, że analizy makroeko-

nomiczne nie uwzględniają tak istotnych zmiennych, jak dług prywatny, czyli zadłużenie przedsiębiorstw i gospodarstw domowych a poza tym w ekonomii generalnie nie rozumie się mechanizmu powstawania kredytu i pieniądza.

Jednak problemy wynikające z dominacji ekonomii neoklasycznej to nie tylko techniczne braki powodujące nieumiejętność przewidzenia kryzysu. To szereg zniekształcających rzeczywistość metodologicznych założeń dotyczących natury ludzkiej i świata, a także pozbycie się z ekonomicznych rozważań roli polityki.

Wszystko to wygląda jeszcze bardziej dramatycznie, jeśli wsłuchać się w głosy tych, którzy jako kardynalny błąd ekonomii – zarówno tej mainstreamowej (ortodoksyjnej), jak i większości krytycznych wobec niej nurtów alternatywnych (heterodoksyjnych) – wskazują fiksację na punkcie wzrostu gospodarczego. Twierdzą oni, że współczesna gospodarka i ekonomiczne myślenie, które skupiają się na ciągłym powiększaniu wartości wytwarzanych towarów i usług, są na kursie kolizyjnym z fizycznymi i społecznymi granicami planety.

Świadomość tego, że nurt myślenia ekonomicznego, który spotyka się z tak poważną krytyką, wciąż dominuje w świecie akademickim i kształtuje politykę, każe zadać pytanie o sposób, w jaki ekonomia neoklasyczna zepchnęła inne podejścia na margines debaty i uzyskała pozycję hegemonu. Badania nad tym fascynującym zagadnieniem socjologicznym, prowadzone m.in. przez Marion Fourcade (*Economists and Societies*), pokazują, że przepływ idei ekonomicznych kształtowany jest politycznie oraz instytucjonalnie, m.in. przez sposoby zarządzania uniwersytetami i ich finansowanie. To właśnie te czynniki sprawiają, że studenci ekonomii często kształcą się w neoklasycznej bańce, co ma dalekosiężne konsekwencje dla całego społeczeństwa. Na szczęście ostatnio przeciwko takiej sytuacji aktywnie występują inicjatywy postulujące poszerzenie programów nauczania o nurty konkurujące z dominującym podejściem do ekonomii.

Uwzględnienie innych perspektyw ekonomicznych zarówno w nauczaniu, jak i w debacie publicznej oczywiście nie gwarantuje rozwiązania wszystkich problemów tego świata, jednak wydaje się konieczne, żeby zrozumieć jego złożoność i zacząć poważnie myśleć o przyszłości. Bo wiem jak zauważa prof. Jerzy Wilkin w głośnym i krytycznym artykule pt. „Dlaczego ekonomia straciła duszę” [1], „dużo musi się zmienić, byśmy wyszli z tego kryzysu i uniknęli jeszcze ostrzejszych w przyszłości”.

[1] prof. Jerzy Wilkin, *Dlaczego ekonomia straciła duszę*, 20.12.2013 (wyborcza.pl/magazyn)

.....
Jan Chudzyński – jest absolwentem studiów w obszarze międzynarodowych stosunków gospodarczych, ekonomii rozwoju, a także Szkoły Trenerów dla Dobrego Klimatu Pracowni na Rzecz Wszystkich Istot. Interesuje się wpływem idei ekonomicznych na środowisko i społeczeństwo.

W OBRONIE DEGROWTHU



Giorgos
Kallis

Tekst jest zapisem wystąpienia podczas seminarium "Climate Ethics and Economic Growth", które odbyło się w dniach 30-31 stycznia 2017 roku w Manchesterze. Tytuły w tekście pochodzą od redakcji.

Pojęcie „*degrowth*” brzmi jak zaprzeczenie wzrostu, stąd można odnieść wrażenie, że opowiadamy się za ujemnym wzrostem PKB (produkt krajowy brutto). Jednak *degrowth* to nie tylko propozycja zmniejszenia PKB, można bowiem wyróżnić trzy główne elementy, które przewijają się przez literaturę i nasze dyskusje. Podsumowaliśmy je w wydanej dwa lata temu książce (*Degrowth. A vocabulary for a new era*).

Po pierwsze, *degrowth* jest bezwzględna krytyką dogmatu wzrostu gospodarczego i towarzyszącej mu ideologii. Idee, które uprawomocniają wzrost gospodarczy, są też ideami, które starają się nas przekonać, że jego konsekwencje są zawsze korzystne oraz że możliwe jest pogodzenie ciągłego wzrostu z istnieniem równościowego, zrównoważonego środowiskowo społeczeństwa.

Po drugie, *degrowth* jest hasłem, wokół którego skupiają się badania i poszukiwanie alternatyw. Skoro odrzucamy przyszłość podporządkowaną wzrostowi gospodarczemu, to co dalej? Jak rozwiązywać kwestie zatrudnienia, jak ma wyglądać praca, a jak polityka społeczna? I jak to zrobić w gospodarce, która nie tylko nie rośnie, a nawet może maleć?

I w końcu chyba najbardziej kontrowersyjny punkt. Twierdzimy, że zmniejszenie gospodarki nie tylko jest uzasadnione ze względu na negatywne konsekwencje dalszego wzrostu gospodarczego, ale jest też, co chciałbym stanowczo podkreślić, nieuniknione. Przyszłość wygląda ponuro i w perspektywie stu lat gospodarka w jakiś sposób pewnie i tak ulegnie zmniejszeniu. Tylko czy stanie się tak wskutek katastrof wywołanych zmianami klimatu, czy będzie to wynik przemysłanego przekształcenia? Oto jest pytanie.

Ograniczenie PKB nie jest zatem głównym postulatem *degrowthu*. Naszym bowiem zdaniem jest ono nieuniknione, zarówno jeśli chcemy „zazielenić” gospodarkę, jak i w razie ziszczenia się najgorszych scenariuszy. Hipoteza *degrowthu* zakłada, że dokonując pewnych zmian, możemy pomysłnie doprowadzić do zmniejszenia gospodarki. „Pewne zmiany” brzmią, jakby to było proste, choć oczywiście w rzeczywistości jest to bardzo trudne.

Chodzi bowiem o głębokie przeobrażenie społeczeństwa, które sprawi, że ograniczenie gospodarki odbędzie się w sposób społecznie zrównoważony.



Jak naprawdę działa gospodarka

Większość ekonomistów twierdzi, że gospodarka może rosnąć nawet bez wzrostu w obrębie sektorów emitujących duże ilości dwutlenku węgla (*carbon intensive*). Oznaczałoby to, że wzrost tak zwanej nieważkiej części gospodarki (*weightless economy*), a więc gospodarki cyfrowej, usług informatycznych itp., mógłby zrekompensować spadek wzrostu w „cięższych” sektorach. W ramach ekonomii neoklasycznej i standardowego paradygmatu w ekonomii oczywiście ma to sens, ponieważ sposób, w jaki PKB łączy wszystkie dobra i usługi w jeden wskaźnik, sprawia, że mogą się one wydawać doskonale wymienne. Oczywiście teoretycznie może istnieć gospodarka, w której wzrost wywołany zwiększającą się liczbą masażu i usług językowych będzie w stanie zrekompensować spadki w produkcji przemysłowej. Jest to jak najbardziej możliwe, posługując się logiką PKB, ale coś tu chyba musi być nie tak. Przecież wiemy, że gospodarka wcale tak nie działa. Jest to złożony system, w którym nie jest możliwe, by same usługi napędzały wzrost PKB, podczas gdy przemysł i rolnictwo się kurczą.

Może was to zaskoczy, jeśli nie studiowaliście ekonomii, ale w klasycznej teorii wzrostu gospodarczego nie ma miejsca dla zasobów. Głównymi czynnikami produkcji, o których się naucza, są praca i kapitał. W nowych teoriach wzrostu dodatkowo uwzględnia się idee, innowacje i kapitał ludzki. I to by było na tyle. Dlatego właśnie wśród ekonomistów ekologicznych mówi się, że zgodnie z wywodzącym się z ekonomii głównego nurtu modelem do wypieku ciasta i ciasteczek potrzeba tylko pieca i piekarza. Nie potrzeba paliwa do rozgrzania pieca ani mąki do wyrobienia ciasta. To jest właśnie standardowa funkcja produkcji w teoriach wzrostu gospodarczego.

Ekonomia ekologiczna, a więc dziedzina, z której się wywodzi, zupełnie inaczej postrzega gospodarkę. To podejście biofizyczne, zgodnie z którym proces go-

spodarczy polega na wydobyciu i przetworzeniu energii i zasobów oraz „zatopieniu” ich w produktach i usługach. Jest to zatem proces przetwarzania materii. Takie ujęcie zawdzięczamy Nicholasowi Georgescu-Roegenowi, na którego pracy opierają się badania wielu ekonomistów ekologicznych.

Usługi w ramach „nieważkiej” gospodarki także zawierają w sobie energię i zasoby. Bez wątpienia zawiera je w sobie komputer, zresztą jako wykładowca też wyrażam sobą całą energię i zasoby zużyte w procesie edukacji. Nauka, uniwersytet, przeloty, energia elektryczna używana w moim liceum itp. Wszystkie te procesy uosabiają sobą energię, dlatego z punktu widzenia ekonomii ekologicznej mówienie o usługach jako czymś „nieważkim” jest, podkreślam, bez sensu.

Czym z punktu widzenia ekonomii ekologicznej jest wzrost? Gospodarka jest przede wszystkim napędzana przez pracę – zarówno tę wykonywaną przez ludzi, jak i tę, którą za nas robią paliwa kopalne. I tak, gdy mówimy o wyrażanej w koniach mechanicznych mocy silnika, chodzi o pracę koni, którą dziś wykonuje paliwo, a z którą jeszcze wcześniej to my się mierzyliśmy. Oczywiście paliwo jest w stanie zrobić dużo więcej niż jakikolwiek człowiek, i dlatego to ono jest siłą napędzającą naszą gospodarkę. Wzrost opiera się właśnie na wykorzystywaniu wypracowanych w ten sposób nadwyżek. Produkuje się i pracuje dużo więcej, niż wraca do nas, pracowników. Ta nadwyżka przypada kapitaliście, który inwestuje w dalszy wzrost, pracę i dalsze wydobycie paliw kopalnych. O to chodzi we wzroście.

Wzrost nie jest zielony

Zdaniem ekonomistów ekologicznych wzrost jest uzależniony od ciągłego dostarczania tzw. energii netto. Chodzi o energię pomniejszoną o energię konieczną do jej wytworzenia, to właśnie ona napędza gospodarkę. Dlatego z punktu widzenia ekonomii ekologicznej nie jest zaskoczeniem, że wzrost PKB idzie w parze z emisją dwutlenku węgla. W końcu po-

wstała w XIX wieku gospodarka kapitalistyczna była oparta na paliwach kopalnych i to one umożliwiły ten niesamowity i wyjątkowy etap w dziejach ludzkości. Oczywiście oprócz paliw kopalnych stały za tym również kapitalistyczne instytucje i rozwiązania, które wprowadziły innowację umożliwiającą przechwytywanie nadwyżek i zasilanie nimi dalszego wzrostu.

O to chodzi – wykorzystywanie nadwyżek z nowych źródeł energii i zasilanie nim dalszego wzrostu. Myślę, że musimy zrozumieć ten proces, żeby uzmysłowić sobie, gdzie jesteśmy. Bo jeśli patrzeć na niego w taki sposób, jak robi to ekonomia neoklasyczna, bardzo trudno byłoby dojść do argumentów, jakie formułujemy. Z neoklasycznego punktu widzenia przecież wszystko jest możliwe, nawet zielony wzrost. Skoro można piec ciasteczka bez mąki i ciepła...

Kto ma rację? Oczywiście to otwarta kwestia. Nie twierdzę, że to my na pewno mamy rację, a neoklasycyści ekonomistów się mylą. Ale myślę, że warto spojrzeć na dane, a te zdają się potwierdzać nasze spojrzenie.

Jeśli wziąć pod uwagę emisję dwutlenku węgla wywołane przez handel międzynarodowy, widać, że gospodarka nie ulega dematerializacji. PKB idzie w parze z przepływem produktów, a tzw. ślad materialny krajów pokazuje, że im większa jest gospodarka, tym więcej materiałów zużywa. Relacja światowego PKB i emisji dwutlenku węgla wynosi jeden do jednego, i choć tzw. intensywność węglowa spada, to w tempie zaledwie 1% rocznie. Niektórzy powiedzą, że rok 2015 był pierwszym, w którym bez wzrostu i recesji udało osiągnąć kryzys PKB bez zwiększania emisji. Możliwe, ale jeśli to w ogóle prawda, to odbywa się to bardzo, bardzo powoli.

Zestawiając PKB krajów z ich emisjami dwutlenku węgla okazuje się, że 1% wzrostu PKB powoduje zwiększenie emisji o 0,6-0,7%. Oczywiście są też inne czynniki wpływające na poziom emisji dwutlenku węgla, ale to wielkość gospodarki okazuje się statystycznie najistot-

niejsza. Odnawialne źródła energii budzą ogromne nadzieje, jednak przeszłość pokazuje, że wcale nie prowadzą one do dekarbonizacji gospodarki, a jedynym znanym sposobem ograniczenia emisji jest spadek PKB. OK, mogę się mylić i może w przyszłości to się zmieni i uda nam się doprowadzić do dematerializacji gospodarki i rozdzielenia wzrostu gospodarczego od emisji dwutlenku węgla (*decoupling*), ale w tym momencie najrozsądniej jest planować działania na podstawie rzeczywistości, a nie naszych nadziei lub marzeń.

Ekonomiści mówią, że tak jak dzięki technologii wzrasta wydajność pracy, tak samo nowe rozwiązania pozwolą na wydajniejsze wykorzystywanie zasobów. OK, ale mówiąc o wyższej wydajności pracy wcale nie przewidują oni zmniejszenia zatrudnienia – to przecież oznaczałoby, że technologia tworzy bezrobocie. Tymczasem twierdzi się, że zatrudnienie wciąż rośnie. Dlaczego? Z powodu wzrostu. To ma sens i działa tak samo w odniesieniu do wydajności zasobów. Nadwyżki uzyskane dzięki wyższej wydajności są inwestowane w dalszy wzrost, czyli kolejne działania gospodarcze wykorzystujące zasoby. Nazywamy to paradoksem Jevonsa, od nazwiska Stanley'a Jevonsa, który jako pierwszy zauważył, że wzrost wydajności produkcji energii osiągnięty dzięki wykorzystaniu silnika parowego doprowadził do wzrostu, a nie ograniczenia zużycia węgla.

Nie uważam, żeby to był paradoks. Tak po prostu działa kapitalizm, i robi to dobrze. Nowe technologie podnoszą wydajność pracy i zasobów, i w ten sposób tworzy się wzrost. A co robi wzrost? Zużywa coraz więcej pracy i zasobów. Oto proces, który ekomoderniści, lub raczej postenvironmentaliści, próbują przedstawić nam jako nowinę mającą uratować naszą przyszłość. Twierdzą, że w jakiś sposób dzięki nowej technologii zaczniemy zużywać mniej zasobów.

Inny argument wywodzący się z ekonomii mówi, że brudne źródła energii możemy zastąpić czystymi. **ciąg dalszy na następnej stronie**

GRANICE ZIELONEGO WZROSTU



Lili Fuhr

BERLIN - Ostatnimi laty stopniowo rośnie poparcie dla idei „zielonej gospodarki”, która miałaby rozpocząć okres zrównoważonego wzrostu i uchronić świat przed ciągłym klimatycznym i gospodarczym kryzysem. Poparcie to napotyka jednak opór, a wielu przewiduje, że ostatecznie nie ma co liczyć na głębokie zmiany, a co najwyżej na pudrowanie rzeczywistości na zielono. Czy okaże się, że pogodzenie celów gospodarczych i środowiskowych może okazać się trudniejsze, niż dotychczas sądzono?

W skrócie – tak. Obecnie dominuje przeświadczenie, że zielona gospodarka pozwoli nam skończyć z uzależnieniem od paliw kopalnych, a wzrost na tym nie ucierpi. Wielu uważa, że przejście na zieloną gospodarkę może nawet być nowym źródłem wzrostu. Choć taki pogląd może się wydawać atrakcyjny, nie ma on nic wspólnego z rzeczywistością, czego dowodzimy w naszej ostatniej książce *Inside the Green Economy*.

ciąg dalszy z poprzedniej strony

Jednak w rzeczywistości mamy do czynienia z systemem, który stale dokonuje ekspansji poprzez dodawanie nowych źródeł energii. Stosowanie drewna jako paliwa wcale nie zostało ograniczone, gdy odkryto węgiel, gaz i ropę naftową. System zachowa się tak samo, gdy nadejdą odnawialne źródła, po prostu dodając je jako kolejne źródło energii. Naprawdę nie ma powodu, żeby przypuszczać, że cokolwiek zastąpi ropę, jeśli nie zadziałamy aktywnie w celu usunięcia jej z gospodarki. Ekomoderniści mówią, że „naturalnie zawsze zastępujemy”. Oczywiście zastępujemy, ale jak się okazuje zarówno zastępujące, jak i zastępowane źródła energii pozostają z nami.

Pozwólcie, że zadam ostateczny cios idei wzrostu gospodarczego, bo tak jak powiedziałem na początku, *degrowth* jest przede wszystkim jego bezwzględna krytyka. Wzrost wykładniczy brzmi niewinnie, a 2% rocznie nazywane jest zdrowym tempem wzrostu i uważane za umiarkowane i rozsądne. Choć czasem określa się je także jako „niski” wzrost. Ale te 2% wzrostu rocznie oznacza, że gospodarka podwoi się po 35 latach, po 70 latach będzie cztery razy większa, a po 105 latach urosnie ośmiokrotnie itd. Idea wzrostu wykładniczego polega właśnie na tym, że coś rośnie szybko i aż do nieskończoności. To jednak niemożliwe, bez względu na to, co podlega temu procesowi. Nawet jeżeli to coś jest nieważkie i tylko

Oczywiście nie oznacza to, że prawdziwie „zielona” gospodarka nie może prosperować. Jednakże obowiązujący dzisiaj model promuje rozwiązania szybkie i powierzchowne, a co więcej, uznaje prymat ekonomii, co uniemożliwia rozpoznanie, jak głębokiej transformacji potrzebujemy.

Zamiast zmieniać gospodarkę, tak by uwzględniła ograniczenia i wartość środowiska naturalnego, dzisiejsza wizja jej zazieleniania zmienia rozumienie natury, dostosowując je do istniejących systemów gospodarczych. Naturę można wycofać i wpisać w zestawieniach finansowych, w których uwzględnia się ochronę „kapitału naturalnego”, wytworzonego w ramach usług świadczonych przez ekosystemy, czy obciążenia z tytułu degradacji środowiska, mierzone przez abstrakcyjny globalny system pomiaru emisji dwutlenku węgla. Dobrymi przykładami takiego podejścia są nowe mechanizmy rynkowe, takie jak handel bioróżnorodnością. Takie rozwiązania nie zatrzymują niszczenia środowiska, podporządkowują tylko jego niszczenie rynkowi.

Z uwagi na liczne ograniczenia tego podejścia, do dzisiejszego rozumienia zielonej gospodarki można mieć tak wiele zastrzeżeń, że właściwie cała idea wydaje się kwestią wiary. Zbawienie ma nadejść wraz z jakąś innowacyjną technologią, która załatwi wszystko, pozostaje więc na nią spokojnie poczekać. Ow-

szem, innowacje są istotne i mogą pomóc rozwiązać wiele problemów, nie tylko środowiskowych, nie należy ich jednak przeceniać.

Innowacyjne technologie są zawsze zależne od interesów podmiotu, który je wytwarza, muszą więc być oceniane ze względu na skutki społeczne, kulturowe i środowiskowe. Jeśli podmiotowi, który wprowadza nową technologię, nie zależy na transformacji, to innowacja może przysłużyć się zakonserwowaniu *status quo*, co często przedłuża życie rozwiązań i produktów, które nie służą potrzebom społeczeństwa.

Weźmy przemysł motoryzacyjny. Firmy produkują coraz oszczędniejsze silniki, ale montują je w coraz większych, cięższych i mocniejszych pojazdach, które marnują zaoszczędzoną energię przez tzw. efekt odbicia (*rebound effect*). Jest też pokusa, by więcej energii inwestować w naukę manipulowania odczytami emisji, tak jak to robi Volkswagen, niż w projektowanie prawdziwie „zielonych” pojazdów.

Biopaliwa też nie są rozwiązaniem. Stosowanie biomasy oznacza spustoszenie w środowisku i społeczeństwie krajów rozwijających się i *de facto* przedłuża żywot przestarzałej technologii silników spalinowych.

To jasne, że naiwna jest wiara, iż firmy motoryzacyjne będą stały na czele koniecznej radykalnej zmiany w sektorze transportu, czyli

W kierunku transformacji

Inżynierowie mówią, że dysponujemy już technologiami, których użycie mogłoby obniżyć emisję do pożądanego przez nas poziomu. Nie potrzebujemy zatem więcej innowacji i nowych technologii, mamy je, ale ich nie używamy. Dlaczego? Ponieważ nie przynosi to wystarczająco wysokich zysków i nie tworzy wystarczająco wysokiego wzrostu dla tych, którzy kontrolują gospodarkę. Wyzwaniem jest więc zmiana systemu i rozpowszechnienie tych technologii, nawet jeśli jest to nierentowne.

W ramach społeczności zajmującej się *degrowthem* dyskutujemy na temat kształtu systemu technologicznego, jaki mógłby funkcjonować w gospodarce bez wzrostu. Jest sporo interesujących pomysłów, wywodzących się z ruchu *commons*, jak otwarte oprogramowanie i otwarte zasoby wiedzy, a szerzej – zmiana systemu ochrony własności intelektualnej. Takie dyskusje są w tym momencie potrzebne i wymagają zaangażowania interdyscyplinarnej społeczności, świadomej ograniczeń, jakie nakłada na nas budżet węglowy (*carbon budget*). Nie powtarzajmy po raz kolejny, że aby uzyskać odpowiednią technologię, potrzebujemy wzrostu gospodarczego, zaświadczamy się, jak zmienić system jej tworzenia i rozpowszechnienia.

Możecie twierdzić, prawdopodobnie słusznie, że *degrowth* jest pomysłem politycznie niemożliwym i że politycznie niemożliwe jest wy-

same zainicjować proces odejścia od indywidualnego transportu prywatnego. To kluczowa kwestia. Jeśli chcemy odseparować wzrost gospodarczy od zużycia energii i naprawdę efektywnie wykorzystywać zasoby w świecie zamieszkałym przez 9 miliardów ludzi, nie wspominając już nawet o sprawiedliwości, to nie możemy pozwolić, by do gospodarki należało ostatnie słowo.

Zieloną transformację należy postrzegać jako projekt polityczny. Tylko polityka jest w stanie zaprowadzić nad różnicami poglądów i interesów – poprzez prawdziwie reprezentatywne instytucje oraz otwartą debatę, która angażuje społeczeństwo obywatelskie i stanowi rdzeń demokratycznego pluralizmu.

Oczywiście nie wszędzie panuje pluralistyczna demokracja. W tych krajach, gdzie jej brak – nawet jeśli temu zaprzeczają – działaczki i działacze na rzecz równości społecznej, ekonomicznej i ekologicznej napotykać brutalny opór. Jeśli mają spełnić swoją niezbywalną rolę w napędzaniu transformacji, to w krajach demokratycznych pozostawanie podstawowych praw człowieka, takich jak wolność słowa i prawa do pokojowych zgromadzeń, musi stać się priorytetem ich polityki zagranicznej. Prawa człowieka są normatywną podstawą, na której należy negocjować strategię transformacji.

Największą przeszkodą społeczeństwo-ekologicznej transformacji, na którą czeka świat, nie jest technologia. Większość rozwiązań już mamy – choćby ekologiczne rolnictwo i sieci systemów transportowych, które nie bazują na pojazdach prywatnych. Prawdziwym problemem jest brak politycznej woli do wprowadzenia innowacji na szerszą skalę, bo sprzeciwiałyby się to żywotnym interesom oligarchów. Wyzwaniem na dziś jest więc pokonanie interesów mniejszości i obrona szeroko rozumianego dobra publicznego – zadanie zrzucane dzisiaj na społeczeństwo obywatelskie.

obrażenie sobie sugerowanej przez mnie transformacji, prowadzącej do zmniejszenia gospodarki. Oczywiście dziś trudno wyobrazić sobie jakikolwiek projekt polityczny o charakterze przekształcającym rzeczywistość, a jeszcze trudniej taki, który zakłada łagodne zmniejszanie gospodarki. Nie zgadzam się jednak, że z tego powodu powinniśmy przestać o tym mówić, bo to doprowadzi do samospelniającej się przepowiedni. Myślę, że powinniśmy być wierni naszej diagnozie i nie powinniśmy jej dostosowywać do politycznych realiów. W polityce nie ma bowiem żelaznych praw – przecież nikt się nie spodziewał Francuskiej Rewolucji. Ale odróżnieniu od polityki, takie prawa działają we wszechświecie i mogą dotyczyć biofizycznego wymiaru gospodarki, sprawiając, że, odwrotnie niż w polityce, nie wszystko jest możliwe.

Najpierw jednak powinniśmy zgodzić się co do diagnozy. Bo jeśli ktoś się z nią nie zgadza i jego zdaniem wzrost gospodarczy jest nieodzowny i do tego może być zielony, wtedy nic nie osiągniemy. Rozmowa na temat rozwiązań jest możliwa tylko jeśli zgodzimy się co do podstaw.

Kończąc pesymistycznie, przypominę, że jesteśmy na najlepszej drodze, żeby doprowadzić do podniesienia się temperatury o 2°C, a może nawet o 4°C. Niestety szybko wprowadzenie w życie odpowiednich technologii wydaje się naprawdę trudne, szczególnie

Słyszmy głosy, że nawoływanie do radykalnej transformacji, zamiast do stopniowej zmiany, to błąd. Kiedy świat boryka się z mnóstwem pilnych problemów – stagnacja gospodarcza, polityczne zamieszki, migracje na masową skalę – trzeba cieszyć się z każdego kroku w stronę bardziej zrównoważonego rozwoju. Nie ma sensu krytykować pragmatycznych i politycznie wykonalnych propozycji rozwiązania problemów związanych z klimatycznym kryzysem.

Takie podejście bagatelizuje skalę kryzysu, który przeżywa nasza planeta, i zakłada linearną zmianę, choć wymagana transformacja taka nie będzie. Choć niektóre elementy zielonej gospodarki – takie jak oszczędzanie zasobów, odnawialne źródła energii, innowacje, zachęty finansowe czy ulgi podatkowe – bez wątpienia odgrywają istotną rolę, to ich suma nie jest w stanie wywołać dalekosiężnych zmian, niezbędnych, by ochronić interesy zarówno obecnego, jak i przyszłych pokoleń.

Zadanie, jakie dzisiaj stoi przed państwami demokratycznymi, to nie tylko kontynuacja projektu modernizacji z uwzględnieniem najnowszej wiedzy na temat granic możliwości planety. To także rozwijanie mechanizmów partycypacji społecznej, promocja sprawiedliwości społecznej oraz walka z ubóstwem. Do wykonania tego wielkiego zadania potrzeba pasji i uporu. Jesteśmy w stanie to zrobić. A pierwszym krokiem we właściwą stronę jest rozpoznanie ograniczeń, jakie idea „zielonej gospodarki” nakłada na myśl i działanie.

Przełożył Robert Reisigová-Kielawski

.....
Lili Fuhr – absolwentka geografii, nauk politycznych, socjologii i studiów afrykańskich w Kolonii, Tübingen, Strasburgu i Berlinie. Jest referentką d.s. Międzynarodowej Polityki Środowiskowej w Fundacji im. Heinricha Bölla w Berlinie. W pracy skupia się na międzynarodowej polityce klimatycznej i polityce zasobów.

w ramach obowiązujących reguł. Poza tym nie ma raczej perspektyw na szybką zmianę społeczną, która zmieniłaby sposób używania energii. Wszystko to każe się zastanowić, jaki świat tworzymy. W razie upadku – o ile nadal pozostaniemy na powierzchni ziemi – gospodarka szybko się dostosuje, a PKB nadal będzie szło w parze z emisjami dwutlenku węgla, tyle że tym razem w dół. Pozostaje więc pytanie: jakie sposoby transformacji jesteśmy w stanie wyobrazić mimo tak ponurej przyszłości?

.....
Giorgos Kallis – badacz środowiska specjalizujący się w ekonomii ekologicznej i ekologii politycznej. Profesor wizytujący na wydziale SOAS Uniwersytetu Londyńskiego, profesor na wydziale nauk środowiskowych i technicznych (ICTA) Autonomicznego Uniwersytetu Barcelońskiego. Autor licznych publikacji dotyczących *degrowthu*. Wydany niedawno zbiór jego artykułów prasowych pt. *In Defence of Degrowth (W obronie degrowthu)* dostępny jest na stronie <https://indefenseofdegrowth.com>

*Zdecydowaliśmy się pozostać przy terminie angielskim „degrowth” (dosłownie: „de-wzrost”), ponieważ nie ma on na razie polskiego odpowiednika. Przyjęło się tłumaczyć go jako „post-wzrost”, co jednak nie jest do końca właściwe, ponieważ angielski termin „post-growth” ma nieco odmienne znaczenie (przyp. red.).

BADANIA / RAPORTY

Międzynarodowa Agencja Energetyczna poinformowała 6 marca 2017, że okrojenie inwestycji wywołane niskimi cenami ropy może bardzo spowolnić podaż surowca i doprowadzić do jego niedoborów. Jeżeli trend rekordowej zapłaści finansowania nie zostanie odwrócony, wzrost światowego zaopatrzenia zatrzyma się przed rokiem 2020. Globalne inwestycje w poszukiwania i produkcję „czarnego złota” uległy redukcji o 25% w 2015 i kolejne 26% w 2016. Odkrycia nowych złóż są na najniższym poziomie od lat 40. XX wieku. Ich tempo i charakter odnotowały w ostatnich dekadach drastyczny spadek. Tymczasem raport banku HSBC z 2016 ustalił, iż „81% całkowitej światowej produkcji paliw ciekłych znajduje się już w fazie schyłkowej” i wydobycie niekonwencjonalnej ropy łupkowej – które w głównej mierze odpowiada za obecną nadpodaż – po prostu nie zdoła w przyszłości wypełnić nieuchronnej luki w zaopatrzeniu. (<https://www.iea.org>) (www.hsbc.com)

Nawet częściowe załamanie globalnej gospodarki wywrze natychmiastowy wpływ na klimat. Aerozole przemysłowe blokują faktyczną wartość antropogenicznego ocieplenia Ziemi. Analiza opublikowana 20 maja 2013 przez *Journal of Geophysical Research: Atmospheres* dowiodła, że wystarczy zaledwie 35-procentowa redukcja globalnych emisji aerozoli – wywołana upadkiem gospodarczym jednego tylko z motorów globalizacji (USA, Europy lub Chin) – aby średnia temperatura planety podniosła się o dodatkowy 1°C. Próg ocieplenia o wartości 2°C zostałby przekroczony. W grudniu 2013 *PLOS ONE* udostępniło wyniki kompleksowej analizy, obejmującej szeroką gamę dyscyplin, której autorzy z zespołu Jamesa Hansena, byłego głównego klimatologa NASA, stwierdzili, iż wzrost średniej temperatury planety o 2°C w stosunku do epoki preindustrialnej to „przepis na katastrofę”. (<http://agupubs.onlinelibrary.wiley.com>) (<http://journals.plos.org>)

W swoim raporcie opublikowanym w *Energy Journal* badacze z Uniwersytetu A&M w Teksasie poinformowali, że szybkie tempo wdrażania alternatywnych źródeł energii nie spowolni zmiany klimatu i nie ograniczy wzrostu średniej temperatury Ziemi do 2°C. Naukowcy Centrum Międzynarodowych Badań nad Klimatem i Środowiskiem w Oslo przedstawił 30 stycznia 2017 w *Nature Climate Change* identyczny rezultat własnego dochodzenia: ekspansja energii odnawialnej nie zapobiegnie katastrofalnemu ociepleniu planety. (www.iaee.org)

Badanie Camilo Mory i Petera F. Sale'a, ekologów morskich, zamieszczone 28 lipca 2011 w *Marine Ecology Progress Series* wykazało, że gdyby dzisiejszy model konsumpcji w świecie uprzemysłowionym miał zostać zachowany do roku 2050, skumulowane wykorzystanie zasobów naturalnych odpowiadałoby wówczas produktywności 27 planet Ziemia. (www.int-res.com)

Analiza zaprezentowana 14 grudnia 2016 w *Technological Forecasting and Social Change* stwierdziła, iż postęp technologiczny nie zdoła zmniejszyć zużycia materiałów, naprawić środowiska

UPADEK GOSPODARKI PRZEMYSŁOWEJ: symptomy, przyczyny i skutki



Rozmowa z Gail Tverberg, badaczką energii i gospodarki. Jako aktuariuszka zajmowała się do roku 2007 modelowaniem finansowym branży ubezpieczeniowej. Ze względu na swoje doświadczenie zagadnienia energetyczne rozpatruje z innej perspektywy niż większość analityków. Píše regularnie na swojej witrynie *OurFiniteWorld.com*. Publikuje również artykuły naukowe i jest częstą prelegentką na konferencjach.

Redakcja: Najnowsze dane wskazują, że cywilizacja przemysłowa wykroczyła poza środowiskową pojemność planety o ponad 60%. Jakże są ekonomiczne symptomy tych realiów?

Gail Tverberg: Gospodarcze objawy przekroczenia nośności środowiska naturalnego odbiegają od naszych oczekiwań. Z jednej strony młodym ludziom jest coraz trudniej zdobyć odpowiednie dochody i założyć własną rodzinę. Z drugiej – bogactwo w coraz większym stopniu koncentruje się w rękach stosunkowo wąskiej grupy osób. Powiązana kwestia jest to, że bardzo wysokie poziomy zadłużenia zmuszają do utrzymania niskich stóp procentowych, aby nie pojawił się problem ogromnej liczby upadłości przedsiębiorstw i państw.

Obserwujemy deflację surowców naturalnych. Dlaczego?

Koszty produkcji ropy i innych zasobów naturalnych rosną. Równocześnie ma miejsce stagnacja płac pracowników spoza kręgu elit. Ekonomiczna „pompa”, którą powinien napędzać wzrost zadłużenia i uposażeń, spowalnia, co wyhamowuje wzrost światowej gospodarki. Anemiczny wzrost zmniejsza z kolei popyt na surowce wykorzystywane do budowy domów i fabryk, produkcji samochodów i innych towarów. Spowolnienie gospodarki przynosi niskie ceny surowców.

Czy zaciąganie długów nie przynosi już spodziewanych efektów?

Nie moglibyśmy obsługiwać naszej aktualnej gospodarki bez długu. To on stymuluje gospodarczy wzrost. Dzięki niemu wydobywamy z ziemi paliwa kopalne czy tworzymy urządzenia takie jak turbiny wiatrowe i panele słoneczne. Co najistotniejsze, zadłużenie pomaga podnieść ceny wszelkiego rodzaju materiałów i towarów (w tym ropy naftowej i prądu), gdyż pozwala, by większą liczbę klientów stać było na wykonane z ich użyciem produkty. Prawdziwą bolączką konsumentów są niewystarczające zarobki; dodawanie zadłużenia (przy niskich stopach procentowych) może w pewnym stopniu ukryć kwestię niskiej płacy. Jednakże z biegiem czasu niedopasowanie staje się coraz większe. Ostatecznie piętrzenie długów nie może tak po prostu go zatuszować. Niskie ceny ropy, jakie obserwujemy od połowy 2014 roku, są znakiem, że świat nie dodaje dość pensji, aby nadażyć za rosnącymi kosztami produkcji energii.

Jednocześnie borykamy się z nadmiarem zadłużenia.

Trudno jest z nim się uporać, ponieważ zmniejszenie długu zmniejsza popyt i powoduje dalszą redukcję cen surowców. Niskie ceny prowadzą do obniżenia poziomu produkcji towarów i eksploatacji surowców. Na przykład produkcja żywności uzależniona od wkładu paliw kopalnych odnotuje z czasem ogromny spadek, podobnie jak produkcja ropy, gazu i węgla.

Czy oznacza to, że idea nieskończonego wzrostu gospodarczego – fundament naszego konsumpcyjnego modelu życia – jest urojeniem?

Istotnie trudno sobie wyobrazić dalsze trwanie nieskończonego wzrostu. Jest niemal pewne, że wpadniemy w finansowe kłopoty, najprawdopodobniej powiązane z zadłużeniem lub derywatami. Problemy, których byliśmy świadkami w 2008 roku, są prawdopodobnie preludium tego, co nadchodzi. Żyjemy na świecie, który ma naturalne granice. Nie jest rozsądne spodziewać się, iż nieskończony wzrost naprawdę się urzeczywistni. Wiemy z historii, że wiele cywilizacji przez jakiś czas przeżywało wzrost, po którym nastąpił ich nagły upadek. Najwyraźniej następował on wówczas, gdy zwrot z ludzkiej pracy był zbyt niski. Jego odpowiednikiem są teraz niskie płace pracowników spoza kręgu elit. Ilość surowców przypadająca na osobę ulega zbyt dużej redukcji. Zwiększanie zadłużenia mogło tymczasowo ukryć tę sytuację. Redukcja średniej płacy, zwłaszcza wśród ludzi młodych, jest jedną z oznak, że nasza gospodarka zmierza w stronę upadku śladem wcześniejszych gospodarek.

Wielu analityków i działaczy środowiskowych jest zdania, że odnawialne źródła energii będą zasilać gospodarkę przemysłową w nieskończoność i pozwolą nam utrzymać obecny poziom konsumpcji. Czy ich nadzieje są uzasadnione?

Wykorzystując wyłącznie odnawialne źródła energii, niewiele zdołamy zdziałać. Jeśli chcemy wyprodukować „nowoczesne” źródła odnawialne lub dostateczną ilość metalowych narzędzi i drutów, musimy sięgnąć po paliwa kopalne. Jedną część problemu stanowi wydobycie rud w odpowiedniej ilości, zaś drugą ich stopienie i nadanie uzyskanemu metalowi odpowiednią formę. Oba te procesy są niezwykle intensywne pod względem energetycznym. W pewnym zakresie możliwe jest uzyskanie wysokich temperatur koniecznych do wytopienia rud. Teoretycznie część uzyskanej energii może zostać wykorzystania do celów wydobywczych. Haczyk polega na tym, że oddając się tym praktykom, szybko wytniemy wszystkie lasy. Gdy Brytania zapoczątkowała eksploatację węgla w XVI i XVII wieku, głównym powodem było położenie krusu problemom związanym z wylesianiem. Nasza populacja jest obecnie znacznie liczniejsza. Zanim zaspokoilibyśmy zapotrzebowanie na metalowe narzędzia i części, zabrakłoby nam lasów na operacje hutnicze. Ponadto potrzebowałibyśmy ogromnej ilości energii na gotowanie, ogrzewanie domów i firm. Najprostszym i najtańszym sposobem na dostarczenie ciepła byłoby wycięcie drzew, które wywarłoby dodatkową presję na lasy.

Elektrownie wodne postrzegamy jako źródło energii odnawialnej, ale są one budowane przy pomocy paliw kopalnych. Beton wytwarza się dzięki intensywnemu ciepłu. Jego pozyskanie bez kopalni ponownie byłoby poważnym problemem. Maszyny zasilane ropą usuwają ziemię z miejsca przyszłej lokalizacji zapory. Gdy później sąsiadujący

z hydroelektrownią obszar „zamula się”, warunkiem jej funkcjonowania jest usunięcie szlamu sprzętem napędzanym ropą. Brak paliw kopalnych oznaczałby utratę istniejących zapór, ponieważ nie byłibyśmy zdolni produkować części zamiennych oraz likwidować zamulenia.

Wykonanie nowoczesnych turbin wiatrowych i paneli słonecznych byłoby niemożliwym bez energii ze złóż węglowodorowych, częściowo z uwagi na obfitość ciepła niezbędną do wyprodukowania metali, betonu i materiałów wchodzących w skład tych urządzeń. Elektryczność można w teorii wykorzystać do uzyskania wysokiej temperatury, o ile źródła odnawialne byłyby w stanie same z siebie wytworzyć wystarczającą ilość energii elektrycznej pożądanego typu. Gdybyśmy spróbowali wygenerować potrzebną energię poprzez spalanie drewna i biomasy, zasoby leśne szybko uległyby wyczerpaniu. Co więcej, transport turbin i paneli do miejsca przeznaczenia zapewniają pojazdy na naftę.

Nie trzeba dodawać, że to paliwa kopalne utrzymują działanie sieci elektrycznej. Choćby pozyskanie i zainstalowanie części zamiennych byłoby bez nich skomplikowane.

Czyli dodawanie źródeł odnawialnych do sieci elektrycznej nie ma sensu.

Jest to próba utrzymania dłużej stanu obecnego. Ale skoro tenże upada, cały plan jest daremny. Skończy się na wydobyciu większej ilości węgla i ropy, ażeby dodać turbiny wiatrowe lub panele słoneczne do tego, co wkrótce stanie się bezużytecznym systemem elektrycznym. Otrzymamy przede wszystkim krótkoterminowe niedogodności, bez spodziewanych korzyści długoterminowych.

Wśród coraz liczniejszej rzeszy decydentów istnieje przeświadczenie, że kolejna rewolucja przemysłowa jest tuż za rogiem. Robotyzacja ma przynieść niewyobrażalny dobrobyt dla wszystkich. Zastąpieni przez maszyny robotnicy będą otrzymywać od rządów darmowe pieniądze, by konsumować owoce automatyzacji i cieszyć się wypoczynkiem, rozwojem osobistym i głębokimi relacjami.

Próżno by szukać potwierdzenia tych założeń w dotychczasowej praktyce. Zamiast tego dzieje się tak, że korporacje unikają płacenia podatków ze względu na międzynarodowy zasięg, a swoją podatkową ojczyznę czynią państwa o niskim poziomie opodatkowania. Właściciele robotów bez wątpliwości skorzystaliby z podobnego podejścia. Zatem jest co najmniej wątpliwe, by tego typu działalność przyniosła znaczące dochody z podatków. Przemysł paliw kopalnych zawsze płacił wysokie podatki. Sektor energii wiatrowej i słonecznej wymaga aktualnie dużych dopłat, które pochodzą pośrednio z bogactwa generowanego przez paliwa kopalne. Odejście od kopalni zredukuje wpływy podatkowe, co utrudni rządowi realizację programów dla bezrobotnych. Pomysł, że ludzie będą mogli pozostać w domach, otrzymywać świadczenia i czekać na korzyści z automatyzacji jest jedynie pobożnym życzeniem.

Czy dezintegracja naszego systemu przemysłowego nastąpi szybciej niż upadki minionych cywilizacji?

Tak. Dawne cywilizacje nie były zależne od paliw kopalnych, energii elektrycznej i międzynarodowego handlu. Wszystkie

BADANIA / RAPORTY

ciąg dalszy ze str. 6.

naturalnego i zapewnić zrównoważonego rozwoju świata. Naukowcy Instytutu Technologicznego w Massachusetts (MIT) ustalili, że nawet najbardziej wydajny i nierozbudowany proces wytwarzania danego produktu ostatecznie pomnoży całkowite nakłady materiałowe. Badacze odkryli te same tendencje w przypadku 56 tworzyw, towarów i usług – od podstawowych surowców, takich jak aluminium i formaldehyd, po akcesoria komputerowe i technologie energetyczne, takie jak dyski twarde, tranzystory, turbiny wiatrowe i panele słoneczne. Nie ma żadnych dowodów na obniżenie zużycia i eksploatacji materiałów, pomimo technologicznych udoskonaleń w ich produkcji i efektywności. (www.journals.elsevier.com)

Raport Międzynarodowego Zespołu ds. Zasobów Naturalnych ujawnił 19 maja 2016, że ilość surowców wydobywanych przez cywilizację przemysłową wzrosła z 22 miliardów ton w 1970 do 70 miliardów ton w 2010. Dane dotyczą zasobów, czyli materiałów podstawowych, i obejmują biomasę, paliwa kopalne, rudy metali i minerałów niemetalowych. Autorzy ostrzegli, że wzrost zużycia ostatecznie doprowadzi do wyczerpania kluczowych materiałów, wywoła konflikty zbrojne i pogorszy zmiany klimatu – głównie z powodu potężnego wkładu energetycznego, który warunkuje ich wydobycie, wykorzystanie, transport i usunięcie. (<http://web.unep.org>)

Badanie upublicznione 4 marca 2016 w *Environmental Research Letters* wykazało, że wysiłki łagodzące skutki zmiany klimatu podejmowane przez system energetyczny doprowadzą do zwiększenia presji na zasoby wodne. Sektor energetyczny już teraz odpowiada za 15% światowego zużycia wody. Według autorów analizy globalne wykorzystanie wody w procesie generowania energii może zwiększyć się w tym stuleciu o ponad 600% w stosunku do roku bazowego (2000). (<http://iopscience.iop.org/journal>)

Jak donieśli naukowcy Uniwersytetu Georgii w *Proceedings of the National Academy of Sciences* z 8 czerwca 2015, dalsza przemysłowa destrukcja planety niszczy cywilizację globalną. Ziemia jest swoistą baterią, która była ładowana powoli przez miliardy lat. Tempo wyczerpywania energii słonecznej zmagazynowanej w roślinach i paliwach kopalnych znacznie przewyższa tempo jej uzupełniania. Badacze oszacowali, że 2 000 lat temu w żywej biosferze było około 1 000 miliardów ton węgla. Od tamtej pory ludzie zredukowali tę ilość o blisko połowę. „Obecny brak planetarnej równowagi energetycznej – kryzys precedensowy w historii Ziemi – jest bezpośrednią konsekwencją technologicznej innowacyjności. Po raz pierwszy w dziejach ludzkości stoi w obliczu globalnego limitu energii chemicznej. Żywa biomasa stanowi energetyczny kapitał, który napędza biosferę i utrzymuje człowieka i populację i gospodarkę. Po prostu nie istnieje zapasowy zbiornik biomasy Ziemi. Prawa termodynamiki nie mają litości. Równowaga jest czymś nieprzyjawnym, sterylnym i ostatecznym”, napisali autorzy. (www.pnas.org)



Fot: Flickr.com / John Haslam

te składowe są teraz bardzo istotne. Zaburzenie którejkolwiek z nich może zablokować całość. Na przykład bez systemu finansowego zasadniczo nie działa nic: wydobycie ropy naftowej, przesyłanie prądu, system emerytalny, zdolność giełdy do utrzymania swojej wartości. Przypomina to utratę systemu operacyjnego komputera lub wyłączenie lodówki z kontaktu. W przypadku zaprzestania podaży energii elektrycznej żaden z banków nie będzie mógł zrealizować wypłat pracowniczych. Co więcej, instytucje finansowe utraciłyby również informacje dotyczące bilansów obywateli i firm. Innym przykładem jest system dostaw handlu międzynarodowego bazujący na logistyce „dokładnie na czas” (ang. 'just-in-time', JIT). Jego zakłócenie zatrzymałoby produkcję dóbr konsumenckich. Natomiast zmiany w zaopatrzeniu w paliwa kopalne mogą nadejść z niespodziewanej strony. Zmniejszenie wydobycia ropy może wyglądać na podyktowane sytuacją rynkową – nadprodukcją lub niskimi cenami. Ludzie reagują na nie entuzjastycznie, ale nie zdają sobie sprawy, że jego „cofnięcie” stanie się później niemożliwe ze względu na niedostateczne inwestycje długoterminowe.

Przewiduje pani, że rozkład światowej gospodarki przyspieszy w tym roku. Które symptomy wskazują na taki rozwój wydarzeń?

Chociażby gwałtowne zmiany w polityce, jakie obserwujemy. Wyborcy z coraz mniejszą aprobatą odnoszą się do kwestii przyjmowania imigrantów. Wzbiera w nich niepokój związany z różnicami w wynagrodzeniach. W minionym sezonie widzieliśmy zwycięstwa zarówno Donalda Trumpa, jak i zwolenników Brexitu. Globalizacja coraz mniej przypomina korzyść, a coraz bardziej brzemię. Zle rokuje znacząca redukcja chińskiej konsumpcji węgla w latach 2015-2016. Ilość zużywanej na świecie energii, przypadająca na osobę, jest ważnym czynnikiem determinującym gospodarczy wzrost. Jeśli jest niska lub spada, gospodarka światowa najpewniej się skurczy. Kolejnym negatywnym sygnałem są aktualnie niskie ceny paliw kopalnych i uranu. Mimo odnotowanego w ostatnim czasie nieznanego ich wzrostu, nadal są zbyt niskie dla wielu producentów, którzy mierzą się ze stale rosnącymi kosztami wydobycia. Wielu pracowników (oraz potencjalnych pracowników) nie stać na dobra kapitałowe wytworzone przy udziale paliw kopalnych i uranu. Dzieci dłu-

żej mieszkają z rodzicami, bo nie mają własnego mieszkania lub domu. Istnieje także duże prawdopodobieństwo, iż nastąpi spadek dostaw paliw kopalnych, ponieważ niskie ceny pozbawiają producentów środków na wymagane inwestycje eksploracyjne. Zmartwienie jest także również wysokie poziomy zadłużenia – i komplikacje z nimi związane – w Europie, Chinach i Japonii.

Politycy, analitycy finansowi, klasyczni ekonomiści i inni eksperci wydają się być całkowicie nieświadomi tych dramatycznych trendów, ignorują kluczowe badania. Co jest przyczyną tej zbiorowej ślepoty?

Ogólny poziom wiedzy na temat samego funkcjonowania gospodarki oraz zależności między energią i gospodarką jest fatalnie niski. Większość analityków sądzi, że światowa gospodarka operuje dzięki zdyskontowanym przepływom pieniądza. A jej paliwem jest przecież energia. Nasza gospodarka to samoorganizujący się system sieciowy, który nieustannie rozprasza energię. Ekonomia zwykła negocjuje bezpośredni związek między energią a gospodarką. Od 1800 roku populacja świata wzrosła od miliarda do ponad 7 miliardów, między innymi dlatego, że paliwa kopalne pozwoliły zwiększyć produkcję żywności i leków. Co gorsza, modelowanie ekonomii opiera się na analizie sposobu działania gospodarki z czasów, kiedy byliśmy daleko od granic środowiskowej pojemności planety. Wskazówki z tego modelowania w ogóle nie podlegają generalizacji, ponieważ zderzamy się z tymi granicami. Odwołując się do minionych warunków, ekonomiści oczekują, iż ceny wzrosną wraz z pojawieniem się niedoborów. Są w błędzie, ponieważ podstawową kwestią jest wspomniany brak odpowiednich wynagrodzeń pracowników spoza kręgu elit. Zwyczajnie nie stać ich na konsumpcję kosztownych towarów wytwarzanych przy użyciu surowców naturalnych. Niedostatecznie wysokie płace zamykają się z kolei w „sprężenie zwrotne” systemu w postaci niskich cen surowców. Sytuacja ta stanowi całkowite przeciwieństwo prognoz standardowych modeli ekonomicznych.

Na domiar złego badacze podążają śladami swoich poprzedników. Nie zaczynają od zgłębienia całego problemu. Istnieje mnóstwo badań, które sprawiłyby wrażenie trafnych, gdy je pisano, ale rozpatrywane w szerszej perspektywie okazują się całkowicie błędne. Publikacje naukowe bazujące na dotychczasowych

ustaleniach po prostu powielają przeszłe błędy. Trudno to naprawić, gdyż dziedzina energii i gospodarki obejmuje liczne obszary dociekań badawczych. Zrozumienie pełnego obrazu nie jest rzeczą prostą.

W kwestii energetyki i gospodarki bardzo kuszące jest mówienie ludziom tego, co chcą usłyszeć. Jeżeli analityk nie rozumie, w jaki sposób działa system energii i gospodarki, a staje przed koniecznością zgadywania, z najbardziej przychylnym przyjęciem spotkają się następujące sformułowane przez domysły: „Wszystko jest w porządku. Uratuje nas innowacja”. Albo: „Uratuje nas substytut”. Prowadzi to do tendencyjnych badań ukierunkowanych na „Wszystko jest w porządku”. Dostępność dotacji finansowych na zagadnienia, które budzą nadzieję, wzmacnia ten efekt.

Jakie będą natychmiastowe konsekwencje rozpadu naszego systemu globalnego? Czego mogą spodziewać się zwykli ludzie?

Nigdy wcześniej nie zetknęliśmy się z tą sytuacją, dlatego tak naprawdę nie wiemy, czego oczekiwać. Konfrontujemy się z upadkiem globalnym, podczas gdy upadki wcześniejsze miały wymiar lokalny. Jedną z możliwości jest stopniowa likwidacja organizacji międzyrządowych, takich jak Unia Europejska. Kraje zmuszone będą w coraz większym stopniu radzić sobie same. Pozyskiwanie surowców, a nawet importowanej żywności, może stanowić coraz większe wyzwanie. Innym prawdopodobnym rezultatem jest krach finansowy i zamknięcie banków. Mógłby wówczas nastąpić rządowy paraliż i rozwiązanie władz centralnych, do którego doszło w Związku Radzieckim w 1991 roku. Pozostałyby jedynie samorządy. Możliwe zatrzymanie produkcji prądu byłoby równoznaczne z utratą dostępu do usług bankowych. Firmy nie realizowałyby pracowniczych wypłat. Funkcjonowanie wodociągów i kanalizacji zostałoby upośledzone na wiele sposobów. Być może niektóre społeczności przystąpiłyby nadal z instalacji grawitacyjnych, ale pompowanie i uzdatnianie wody pitnej byłoby problematyczne. Oczyszczanie ścieków zależy głównie od sieciowej elektryczności i dyspozycji pracowników, których wynagrodzenia przelewane są na bankowe konta. Ludzka populacja odnotowałaby spadek, przypuszczalnie o wiele procent.

CZY RYNEK I KAPITALIZM URATUJĄ ŚWIAT?

Fot: Flickr.com / by elycefeliz



O zrównoważonym rozwoju, greenwashingu, i ekonomicznym podejściu do środowiska z Rebeccą Elliott rozmawia Jan Chudzyński.

Czy badania prowadzone na styku ekonomii, socjologii i środowiska są popularne?

W ramach socjologii występują różne subdyscypliny, z którymi badacze silnie się utożsamiają, jednak dla mnie najciekawsze zagadnienia leżą właśnie na styku tych obszarów. Sporym zainteresowaniem cieszy się zgłębianie roli rynków, ekonomistów, praktyki gospodarczej oraz instytucji w kształtowaniu relacji społeczeństwa ze środowiskiem naturalnym. Poza tym zwraca się też uwagę na konsekwencje korzystania z ekonomicznych narzędzi, technologii i wiedzy w interwencjach mających rozwiązywać problemy środowiskowe.

Część socjologów, jak na przykład badacze z nurtu teorii krytycznej, przyjmuje podejście mikro i przygląda się temu, w jaki sposób ekonomiści wyceniają dwutlenek węgla, i próbuje wgryźć się w ich narzędzia. Z kolei ci zainteresowani spojrzeniem makro analizują strukturę światowej produkcji, jak zorganizowane są łańcuchy dostaw i co decyduje o mniejszym lub większym wpływie produkcji na środowisko.

W jaki sposób rzeczywistość gospodarcza podchodzi do problemów środowiskowych?

Najlepiej obrazują to pytania, jakie stawiamy sobie w związku ze zmianami klimatu. W kontekście

społecznym i politycznym najważniejsze są koszty zmian klimatu. Chodzi o koszty, jakie społeczeństwa będą musiały ponieść w związku z częstszymi i groźniejszymi klęskami żywiołowymi, o nowe obciążenia dla państw, a także o koszty zaniechania podejmowania działań i koszty ograniczenia emisji dzisiaj. Te wszystkie pytania mają bezsprzecznie ekonomiczny charakter, a żeby zrozumieć rynki oraz sposoby wyceny dwutlenku węgla, potrzeba wiedzy eksperckiej, narzędzi i racjonalności, którymi dysponują ekonomiści, ale także inni eksperci i aktorzy społeczni. Czynniki społeczne i polityczne mają wpływ na określenie warunków funkcjonowania rynków. Polityka ma ogromny wpływ na to, jak wygląda np. handel emisjami.

Myślę, że te ekonomiczne pytania przede wszystkim wyrażają to, jak postrzega się koszty i wartości, zarówno w odniesieniu do środowiska dzisiaj, jak i jego możliwych przyszłych zmian.

Sporo ludzi stara się zmienić świat na bardziej zrównoważony, próbując w ten sposób łagodzić presję, jaką wywieramy na środowisko.

Dyskurs dotyczący zrównoważenia jest wszechobecny i niejednoznaczny. To jedno z tych wieloznacznych pojęć, których znaczenie zależy od tego, kto się nimi posługuje. Stąd mamy do czynienia ze sporym zróżnicowaniem, jeśli chodzi o faktyczny wpływ działań, które w zamyśle mają być zrównoważone. I właśnie tej kwestii dotyczą badania naukowe, których znaczenie uważa się, że zrównoważenie stało się niemalże mitem, symbolicznym zasobem, mogącym pomóc w sprzedaży produktów i usług. Główną obawą przed greenwashingiem jest to, że rozprasząc uwagę, doprowadzi do sytuacji, w której ludzie będą jedynie pozornie postępować

dobrze, nie dokonując żadnych istotnych zmian, które rzeczywiście ograniczyłyby wpływ produkcji i konsumpcji na środowisko.

Zrównoważenie widzimy też w sektorze publicznym, w lokalnych samorządach i instytucjach, są od tego nawet profesjonalni eksperci. Nie ma konsensusu co do tego, czy to dobrze, czy źle, i myślę, że najważniejsze jest obserwowanie tego, czym naprawdę jest zrównoważenie w danym kontekście, w którym występuje.

A więc jest to chwytliwe hasło. Tak jak rozwój...

Tak, i wyraża ono szczególnie klimat, powiedzmy ducha epoki. Rozwój jest świetnym przykładem, bo tak jak globalizacja i rozwój, zrównoważenie nagle stało się czymś, co możesz studiować i w czym możesz znaleźć pracę. Zrównoważenie poszło w ślady rozwoju, dlatego mamy całe zastępy ekspertów zatrudnianych w biznesie, organizacjach ekologicznych czy administracji rządowej.

W jednym z artykułów pokazujesz, że na termin „zrównoważenie” (sustainability) można patrzeć na trzy sposoby. Jak rozumieć zjawisko zrównoważenia w odniesieniu do rynku i gospodarki?

We wspomnianym przez ciebie artykule staram się stworzyć ramy konceptualne, których socjologowie ekonomiczni mogą używać w badaniach nad zrównoważeniem. Podstawową zasadą jest to, że powinniśmy być agnostyczni co do tego pojęcia i nie powinniśmy zakładać, że wiemy co ono oznacza. I dlatego proponuję trzy różne ścieżki, które pomogą uchwycić znaczenie zrównoważenia.

Zrównoważenie w ramach rynku i gospodarki to pierwsza z nich. Odnosi się do urynkowania zrów-

noważenia, które samo w sobie wydaje się nabierać wartości rynkowej. To sprawia, że dla części ludzi pewne rodzaje produktów, procesy produkcji albo modele konsumpcji wydają się bardziej wartościowe. W tym podejściu można więc zwracać uwagę na to, jak pewne produkty są przedstawiane jako przyjazne środowisku, jakie grupy konsumentów są na to wrażliwe, a także jak to się ma do dotychczasowej wiedzy na temat tego, jak ludzie konsumują.

W takim razie druga ścieżka – zrównoważenie wraz z rynkami i gospodarką.

To ujęcie ma uchwycić tendencję do wykorzystywania zasad rynkowych w celu osiągnięcia zrównoważenia. Na przykład wśród największych organizacji ekologicznych, przede wszystkim w USA, widoczne jest częstsze sięganie po narzędzia rynkowe. Wcześniej ten sam cel zrównoważenia próbowano osiągnąć, lobbując za regulacjami stanowymi czy pozywając podmioty zanieczyszczające, a teraz możliwości, jakie daje rynek, z jakiegoś powodu wydają się atrakcyjniejsze. Chodzi też o to, że prywatne podmioty na konkurencyjnym rynku mogą być mobilizowane do działania bez stosowania przymusu. Można wykorzystywać zachęty rynkowe i sprawić, że sektor prywatny stanie się bardziej zrównoważony.

Takie podejście do sektora prywatnego i rynku staje się coraz bardziej popularne wśród niektórych organizacji ekologicznych. Pokazuje to kolejną część układanki, a więc co oznacza używanie rynków i innych narzędzi ekonomicznych do poprawy stanu środowiska.

W końcu trzecia, moim zdaniem najbardziej interesująca kategoria – zrównoważenie rynku i gospodarki. To chyba spojrzenie na to, jak bardzo zrównowa-

żeni możemy się stać w ramach świata, w którym żyjemy.

Tak, to w pewnym sensie pytanie egzystencjalne. Czy rynek i kapitalizm uratują świat? Socjologowie i krytyczni badacze społeczni dyskutują nad tym, czy kapitalizm jako system produkcji nie jest przypadkiem z natury niezrównoważony. Są tacy, którzy uważają, że nie da się rozmawiać o ograniczaniu zmian klimatu bez dyskusji nad tym, jak należałoby zmienić światową gospodarkę kapitalistyczną. Inni nie zgadzają się z tym i twierdzą, że w kapitalizmie rynki naprawdę dobrze radzą sobie ze wspieraniem nowych technologii, a także z wyceną dóbr i rozwiązywaniem problemów wywołanych przez efekty zewnętrzne działalności gospodarczej. Często słyszę, że możliwe jest dokonanie pewnych zmian, które bez konieczności rozmontowania kapitalizmu pozwolą nam na utworzenie zrównoważonego systemu gospodarczego.

Obawiam się, że tego typu podejście to tylko greenwashing i to się kiedyś na nas zemści.

Jasne, wszystko, czego używamy do rozwiązania problemów i do wyjaśnienia tendencji, oferuje określoną formę wiedzy i działania. Myślę, że w tym przypadku głównie obawy dotyczą przesadnego polegania na rynkach, co może doprowadzić do zablokowania innych dróg prowadzących do zmian.

Wokół tego zagadnienia rysuje się podział wśród organizacji ekologicznych w USA i na świecie. Duże organizacje, które zaczęły zmieniać podejście do sektora prywatnego i reprezentują tzw. rynkową ochronę środowiska, wyraźnie różnią się taktyką od grup świadomych tego, że to wspólne, na przykład związane działania i protesty dają efekty. I ten tradycyjnie rozumiany

ciąg dalszy na następnej stronie

ciąg dalszy z poprzedniej strony

aktywizm wciąż jest silny, zresztą widzimy, jak Donald Trump oraz protesty w Standing Rock dodatkowo go wzmocniły. Poza tym są jeszcze Bill McKibben i organizacja 350.org, którzy za sprawą aktywizmu starają się wywierac presję nie tylko na przemysł paliw kopalnych, ale także na osoby i instytucje w nie inwestujące.

Oczywiście jest wiele sposobów, żeby chronić środowisko. Obawy związane z koncentrowaniem się na działaniach w ramach rynku dotyczą tego, że pomija ono te inne sposoby, które na pierwszym miejscu stawiają równość i sprawiedliwość klimatyczną. Wiemy bowiem, że rynekom dobrze wychodzi kreowanie wygraných i przegranych, i podobnie może być, gdy rynkowo potraktujemy ochronę środowiska.

W takim razie nawet w ramach strategii skupiających się na mechanizmach rynkowych występują różne podejścia. Kampanie nawołujące do dywestycji są przecież czymś zupełnie innym, niż promowanie instrumentów rynkowych, takich jak ograniczenia i handel uprawnieniami do emisji dwutlenku węgla.

Tak, ale tym, co je łączy, jest ogromna moc presji rynkowej. W kampaniach na rzecz dywestycji chodzi o stworzenie groźby pogorszenia reputacji inwestorów i firm, które mają udziały w przedsięwzięciach z sektora paliw kopalnych. W ten sposób podmioty, będące celem kampanii, materialnie odczuwają ich działanie. Ale to oczywiście jest zupełnie co innego niż wiara, że rynek zadba o dystrybucję zasobów, wyznaczenie cen i sam rozwiąże problem.

Te podejścia różnią się też sposobem angażowania podmiotów, które bierze się za cel działań. W przypadku działań rynkowych są to współpraca i partnerstwo pomiędzy grupami ekologicznymi i firmami. Jest to obecnie bardzo często spotykana forma działania. Z kolei kampanie dywestycyjne są zupełnie inne i wykorzystują tradycyjne formy protestu, na przykład na kampusach uniwersyteckich czy przy rurociągach.

To świadczy o wzroście świadomości tego, jak działa świat i gospodarka. W końcu rozumiemy, że pieniądze przekazywane do funduszy emerytalnych mają wpływ na rzeczywistość i że możemy domagać się zmian w polityce inwestycyjnej.

Jak najbardziej. Myślę, że najmocniejszą stroną kampanii dywestycyjnych jest to, czego nie znajdziemy w ramach tego, co nazywam zrównoważeniem w ramach rynku, a więc w zielonej konsumpcji. Oczywiście mogę kupić papier kuchenny z recyklingu lub t-shirt z organicznej bawełny i dzięki temu poczuć się lepiej, ale wiemy już, że tego typu zachowania konsumpcyjne są jedynie kroplą w morzu potrzeb. W rzeczywistości największy wpływ na środowisko mają te procesy, które odbywają się dużo wcześniej, zanim produkt trafi do konsumenta.

Kampaniom dywestycyjnym udało się stworzyć ruch, łącząc nasze indywidualne zachowania i to, co robimy z naszymi pieniędzmi. Ma on już na swoim koncie sporo sukcesów, doprowadzając instytucje do przemyślenia swojej polityki inwestycyjnej. W pewnym sensie taka tradycyjna polityka jest więc najlepszym narzędziem, by zachęcić ludzi do udziału

w walce przeciwko zmianom klimatu i innym formom degradacji środowiska. Poza tym jest też najskuteczniejsza w osiąganiu tych celów.

Wycena wartości środowiska spotyka się z krytyką z powodu stosowania ekonomicznego podejścia i logiki w stosunku do świata naturalnego. Mimo to ta metoda przedstawiana jest jako jedno z kluczowych rozwiązań służących ochronie środowiska i wydaje się już niezastąpiona...

Chodzi o możliwość uwzględnienia wartości elementów, które w inny sposób nie mogłyby zostać ujęte w analizie kosztów i korzyści oraz planowaniu ekonomicznym. Opiera się to na przekonaniu, że gdyby ludzie musieli płacić za korzystanie ze środowiska, to znalazłyby się sposoby, by nim odpowiednio zarządzać i minimalizować koszty. Ekonomisci wkładają dużo pracy w to, żeby móc uwzględnić środowisko w tradycyjnych mode-

dów ograniczających zużycie paliwa, wymogów wykorzystywania odnawialnych źródeł energii oraz wprowadzanych przez władze stanowe zmian w sieci elektrycznej. Zwolennicy rozwiązań rynkowych często zapominają o tym, że obok rynków muszą działać też tradycyjne narzędzia w postaci odpowiednich regulacji.

Po latach zaprzeczania istnieniu zmian klimatu niektóre branże po prostu muszą uwzględnić w swoim działaniu ryzyko wywołane przez ten proces. Dotyczy to między innymi badanego przez ciebie sektora ubezpieczeń.

Zmiany klimatu postrzegamy jako źródło ryzyka, a z nim zwykle wiąże się szkoda lub szansa. Dla podmiotów sektora finansowego, np. ubezpieczycieli, ryzyko jest więc potencjalną startą lub zyskiem. Myślę, że to może tłumaczyć zachowanie branży ubezpieczeniowej w reakcji na zmiany klimatu, a także nadzieje aktorów społecz-

ryzka. Ubezpieczyciele wprowadzają już nowe rozwiązania, ponieważ, jak w każdym biznesie, dbają o swoje zyski.

W tej branży nie ma już miejsca na dotychczasowe sposoby działania, business as usual. Ale jak pokazuje McKenzie Funk w Windfall, jest wielu upatrujących w zmianach klimatu okazji na biznes.

Postrzeganie ryzyka jako szansy nie ogranicza się do branży ubezpieczeniowej. Książka McKenzie Funka jest przykładem pięknego, wnikliwego dziennikarstwa i ukazuje przedstawicieli biznesu, którzy bardzo aktywnie starają się zarobić na zmianach klimatu. Na przykład oferując prywatne usługi pożarnicze, które, jeśli kogoś na to stać, zapewniają ochronę domu przed płomieniami. Topniejąca pokrywa lodowa umożliwi otwarcie nowych szlaków morskich oraz dostęp do nowych zasobów naturalnych, z kolei część branży budowlanej może zarobić na budowie ogrodzeń

ska. W sytuacji, gdy próby dotarcia do Kongresu przypominają walenie głową w mur, a regulacje stanowe uchwalane są ze zmiennym powodzeniem, to chyba pragmatyczne jest przekonanie, że skoro nie da się dotrzeć do ustawodawców, to może lepiej porozmawiać z zanieczyszczającymi.

Myślałam, że wśród członków organizacji spotkam osoby szczerze wierzące w rozwiązania rynkowe, jednak tak się nie stało. Biorąc pod uwagę dostępne opcje, to po prostu pragmatyczne podejście. Choć to może się zmienić, tak samo jak wybór Donalda Trumpa na prezydenta może rozbudzić politycznego ducha tych organizacji.

W takim razie to podejście do ekologii może być czasem jedyną dostępną, krótkoterminową strategią. Ale pokazywanie, że nie ma alternatywy wobec działań rynkowych, też może się zemścić. Czy ta kwestia jest jakoś dyskutowana?



Fot: Flickr.com / LowImagination

lach, których używają, by wycenić wszystkie inne dobra.

Ciekawym przypadkiem jest rynek handlu uprawnieniami do emisji dwutlenku węgla. W teorii wydaje się on naprawdę prosty, jednak w praktyce to rozwiązanie okazuje się bardziej skomplikowane. Jak pokazują doświadczenia z europejskiego systemu handlu uprawnieniami (EU ETS) i systemu działającego w Kalifornii, to nie kwestie ekonomiczne są problemem, tylko polityka. Ekonomisci całkiem dobrze sobie radzą z projektowaniem zasad działania tego typu systemu, za to trudności pojawiają się, gdy trzeba ustalić, kogo ten system ma obejmować i czy uprawnienia będą przyznawane za darmo, czy sprzedawane w ramach aukcji. Tego typu decyzje polityczne są kluczowe w projektowaniu jakiegokolwiek rynku i dlatego pojawiają się wątpliwości co do wykorzystywania tego systemu w celu ograniczenia emisji.

Kalifornijski system handlu uprawnieniami rzeczywiście pomógł zredukować emisje, jednak należy pamiętać, że rynek nie działa w próżni. Największy spadek emisji wynikał bowiem z wprowadzenia standar-

nych, którzy liczą na to, że branża ta stanie na czele działań.

Ubezpieczyciele są bowiem instytucjami finansowymi, których w pierwszej kolejności mogą dotknąć konsekwencje katastrof. W związku z zagrożeniem częstszego występowania powodzi, huraganów i innych zjawisk będą oni chcieli znaleźć sposób, by podzielić koszty tak, żeby były one możliwe do wytrzymania. Ale ubezpieczenia są też w stanie wpływać na indywidualne i zbiorowe zachowania. Jeśli mieszkam na terenie zagrożonym powodziami i mam wyższe koszty polisy, mogę podnieść swój dom, przez co obniżę ryzyko i wysokość składek. Ubezpieczenia mogą więc sprawić, że w tym zmieniającym się świecie będziemy bezpieczniejsi.

Z drugiej strony, ubezpieczyciele postrzegają też zmiany klimatu jako szansę. Polisa jest produktem rynkowym, w którego rozwój wkłada się duży wysiłek. Zmiany klimatu sprawiają, że stosowanie tradycyjnych metod opierających się o przeszłe statystyki nie ma sensu, i pokazują, że potrzeba innych sposobów modelowania i wyceny

i murów, które pozwolą ekologicznie uprzywilejowanym odciąć się od migracji klimatycznych.

Obawiam się, że to, co pokazuje Funk, to początek tego, co zobaczymy w przyszłości, czyli zawłaszczania znikających zasobów, którymi można by dzielić się w bardziej sprawiedliwy sposób. Zresztą już dziś widzimy ludzi próbujących budować finansowe i polityczne twierdze, które mają chronić ich przed światem dotkniętym zmianami klimatu.

Wróćmy jeszcze do organizacji ekologicznych reprezentujących podejście rynkowe. W jakim stopniu jest to celowe działanie? Czy są oni świadomi zarówno zalet, jak i wad takiej strategii?

Moje wywiady z członkami takich organizacji pokazują, że ich podejście nie wynika z wiary w rynek, a jest raczej spowodowana frustracją wobec prowadzonej polityki środowiskowej. Rozmawialiśmy w czasie prezydentury Baracka Obamy, po ośmiu latach rządów George'a W. Busha, który wycofał USA z protokołu Kyoto i nie był zainteresowany ochroną środowi-

Tak. Jest bardzo dużo sprzeczek dotyczących tego, jakie podejście do ekologii jest najlepsze, i głosów wskazujących na to, że podejście rynkowe jest zbyt zachowawcze i że powinniśmy być bardziej ambitni i wymagający. Ja uważam, że powinniśmy pozwolić, by te różne podejścia funkcjonowały obok siebie, realizując różne cele. Wewnętrzna walka jest bowiem najgorsza i najmniej produktywna. Potrzebujemy przecież prawników skarżących zanieczyszczających, absolwentów studiów biznesowych angażujących Wal-Mart, a także protestujących w Standing Rock. To po prostu różne strategie.

.....
Rebecca Elliott – wykład w London School of Economics, absolwentka Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley. Specjalizuje się w socjologii ekonomicznej, socjologii politycznej i socjologii środowiskowej. Szczególnie interesuje się postrzeganiem zmian klimatu jako problemu gospodarczego, a jej wcześniejsze badania dotyczyły m.in. zielonej konsumpcji.



Fot: Flickr.com / G20Voice

Kapitalizm jest z natury **niezielony**



O kapitale, jego akumulacji oraz konsekwencjach społecznych i środowiskowych z Filipem Ilkowskim rozmawia Jan Chudzyński.

Zacznijmy od podstawowej kwestii. Czym jest kapitał?

To nie jest rzecz, którą się po prostu posiada. Rzeczy mogą stać się kapitałem tylko w określonych stosunkach społecznych. Szklanka jest po prostu szklanką, wartością użytkową, natomiast w momencie, gdy zacznie ją produkować na sprzedaż, lub kupować i sprzedawać drożej, stanie się dla mnie kapitałem.

Marks zwrócił uwagę na to, że kapitał ma dwie istotne cechy. Po pierwsze, jest stosunkiem społecznym polegającym na wyzysku siły roboczej. Po drugie, kapitał jest mnogością. Oznacza to, że w systemie opartym na jego gromadzeniu (akumulacji) – kapitalizmie – dynamika pomnażania wartości kapitału jawi się każdemu jego właścicielowi jako zewnętrzna presja. Musi inwestować, inaczej wypadnie z gry. Właśnie dlatego, że kapitał funkcjonuje w ramach konkurencji wielu kapitałów. To też odróżnia kapitalizm od innych systemów opartych na wyzysku siły roboczej. W systemie niewolniczym mamy oczywisty wyzysk siły roboczej, w systemie feudalnym też. Natomiast kapitalizm to nie jest tylko wyzysk, ale to jest wyzysk konkurencyjny. Konkurencja toczy się między poszczególnymi jednostkami kapitału, poszczególnymi kapitałami, co powoduje tę niekończącą się konieczność akumulacji. Nie ma jakiegos momentu, kiedy kapitalista może powiedzieć: "OK, koniec". Szlachcic w I Rzeczypospolitej mógł się bogacić, eksportując zboże produkowane przez jego chłopów pańszczyźnianych, ale nie musiał tego robić, pozostając nadal właścicielem ziemskim. Kapitalista nie ma takiego luksusu. Oznacza to dużą dynamikę systemu, ale też niekończącą się presję ku potęgowaniu wyzysku.

Gośćkowe poszukiwanie rentownych inwestycji, możliwości pomnożenia kapitału.

Tak, i proces ten natrafia na szereg barier. Na pewno jest nią pęd kapitalizmu ku kryzysom. Każdy kapitalista stara się zastępować pracę najnowszą technologią, czyli powodować większą wydajność

jego pracowników. To jest perfekcyjnie racjonalne z punktu widzenia politycznego kapitału. Pierwszy kapitalista, którego pracownicy będą bardziej wydajni, ma przewagę nad innymi. Może sprzedawać taniej albo sprzedawać w tej samej cenie, ale z ekstra zyskiem z tego powodu. Natomiast kiedy wszyscy to czynią, coraz mniej pracowników "uruchamia" coraz większą masę zainwestowanego kapitału stałego. Przez to stosunek zysku do całości inwestycji ma tendencję spadkową. Nie ma ucieczki od momentu, w którym stosunek zysku do inwestycji jest na tyle niski, że kapitalista stwierdza, że nie opłaca mu się inwestować. Kiedy taka postawa się uogólnia jest to moment kryzysu.

Kryzys...

Kryzys, który teoretycznie oznacza bankructwa i niejako wyczyszczenie rynku i rozpoczęcie całej zabawy od nowa. Problem polega jednak na tym, że gdy jednostki kapitału stają się coraz większe, to i przywracanie tymczasowej równowagi w ten sposób jest coraz bardziej problematyczne. Widzieliśmy to w czasie ostatniego kryzysu gospodarczego: pojęcie korporacji *too big to fail*, czyli zbyt dużych, by upaść. Ich upadek może powodować pogłębienie kryzysu, dlatego państwa interweniują, żeby do tego nie dopuścić. Co więcej, kiedy państwa są w systemie konkurencyjnym między sobą, żadne z nich nie chce żeby to "ich" firmy były pierwszymi, które niejako mają oczyszczać rynek.

Ale przed kryzysem są jeszcze poszukiwania innych źródeł zysku, innych rentownych inwestycji. Kapitał patrzy, gdzie jest możliwość wzrostu. Birma, kraje afrykańskie...

Powstawanie nowych gałęzi gospodarki, presja na większą wydajność i na obniżanie płac też są próbami przeciwdziałania spadającej stopie zysku. Ale tak, szuka się ucieczki ku handlowi zagranicznemu, ku nowym rynkom w nadziei na skuteczniejszą akumulację kapitału. To jest system oparty na nierównomierności rozwoju. Nie jest tak, że wszystko się rozwija w tym samym tempie.

A finansjalizacja?

Też jest pochodną problemów z akumulacją kapitału. Początek ogromnego rozwoju sektora finansowego datuje się na połowę lat 70. i wyraźnie idzie w parze z momentem spadku dynamiki wzrostu gospodarczego. Jeżeli inwestycje w tak zwaną realną gospodarkę wydają się mniej atrakcyjne, wtedy wyrastają różnego rodzaju bańki speku-

lacyjne. To nie przypadek, że nawet tak czysto produkcyjne przedsiębiorstwa, jak General Motors, angażowały się w sektor finansowy. Dzięki finansjalizacji wskaźniki wzrostu mogły być na jakiś czas poprawiane w różnych państwach, np. w Stanach Zjednoczonych.

A jaka jest rola państw w kapitalizmie?

Państwa są ważnymi aktorami w procesie konkurencyjnej akumulacji kapitału. Mają istotną, nawet jeśli historycznie zmienną, rolę gospodarczą – bezpośrednią i pośrednią. Niezależnie od podejmowanych strategii, ostatecznym wskaźnikiem skuteczności państw kapitalistycznych jest osiągnięty przez nie poziom „wzrostu gospodarczego”, inaczej mówiąc skuteczność akumulacji kapitału we własnych granicach w porównaniu z konkurentami. Zapewniają także stabilność systemu na danym terytorium poprzez monopol na legalne stosowanie przemocy, ale i monopol ideologiczny, czyli przekonywanie ludzi, że żyjemy w systemie najlepszym z możliwych. Elementem tego drugiego jest, też zapewnianie spójności społecznej w społeczeństwie opartym na wyzysku poprzez ideologię patriotyzmu. Już od przedszkola: hymn, chorągiewka itp. Kluczową funkcją państwa jest posiadanie siły militarnej. Ta siła militarna jest na różne sposoby używana w rywalizacji między państwami. Ma ona też znaczenie symboliczne, tzn. umacnianie wizji danego państwa jako stabilnego centrum akumulacji.

Państwa starają się umożliwiać rodzimym kapitalistom akumulację także poza swoim terytorium.

Specyficzną cechą kapitalizmu jest możliwość dokonywania ekspansji ekonomicznej bez dokonywania formalnej ekspansji politycznej. W systemie feudalnym ekspansja „chcemy więcej ziemi, więcej chłopów” wiązała się z ekspansją militarną. W kapitalizmie można dokonywać ekspansji gospodarczej bez formalnego rozszerzania państwowego władztwa. Oczywiście nie oznacza to, że siła militarna nie jest używana. Państwo kapitalistyczne z natury ma wbudowane imperialistyczne dyspozycje i w konkurencyjnym systemie te dyspozycje różnie się ujawniają, ale się ujawniają.

To jest dość złożona struktura. Dobrze obrazuje ją zdanie Marksa, że kapitaliści są wojującymi braćmi. Braćmi, ale rywalizującymi. Państwa rozwiniętego kapitalizmu na różnych polach ze sobą

współpracują, chociażby w obszarze ochrony praw patentowych w ramach Światowej Organizacji Handlu, czy poprzez politykę Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Jest to pole wspólnych interesów – głównie najsilniejszych gospodarek pod hegemonią amerykańską. Z drugiej strony oczywiście mamy ciągły przetarg i mniejsze czy większe tarcia. W tym momencie pojawienie się nowych *challengerów* (głównie Chin) jest faktem zmieniającym te rozgrywki i układy z innymi państwami.

Kolejną areną zmagania wydaje się być Arktyka. Czy istnieje szansa, że wobec sprzeciwu opinii publicznej jednak nie zostanie ona przekopana i nie stanie się kolejnym źródłem surowców i zysków?

Oczywiście, że w ramach tego systemu nie odpuszczają... To jest cała logika kapitalistycznych państw. I ciekawe jest to, że przestrzenie geograficzne, które są szczególnie istotne w danym czasie dla akumulacji, zmieniają się wraz ze zmianą znaczenia określonych dóbr, które się tam znajdują. Kiedyś Lotaryngia była bardzo atrakcyjna ze względu na węgiel, teraz jednak może mieć dla imperializmu francuskiego znaczenie tylko symboliczne, ale nie bezpośrednio gospodarcze. Kluczowym regionem jest wciąż Bliski Wschód. Także Azja Środkowa jest ważna. Natomiast pojawiają się nowe przestrzenie. I Arktyka jest jedną z nich...

W wojennej doktrynie Federacji Rosyjskiej z 2014 roku Arktyka jest określona jako jedno z kluczowych miejsc dla możliwości wywierania przez Rosję wpływu na politykę światową. I oczywiście są już układy amerykańskich korporacji, próby wkroczenia tam w konkurencji, ale także i we współpracy z rosyjskim państwem. Arktyka jako potencjalne źródło ropy, gazu, ale też metali rzadkich jest ogromnym nowym polem gdzie te rozgrywki będą się toczyć. A do końca jeszcze nie wiemy, co jest ukryte w Arktyce.

No właśnie. Środowisko naturalne wydaje się być pod coraz większą presją kapitału.

Mamy kapitalistyczny system oparty na wyzysku, więc siłą rzeczy na konflikcie. Co więcej, podkopuje on sam siebie na różne sposoby. I bariera ekologiczna jest jedną z najistotniejszych. Kapitalizm polega na ciągłym przeobrażaniu przyrody. Jeżeli rozejrzemy się, mamy wokół siebie przyrodę przeobrażoną przez ludzką pracę. Ale nie tylko w celu wytworzenia użytecznych przedmiotów, zaspokojenia zapo-

trzebowania na cegły czy stoły. Jak zauważył Marks, w kapitalizmie obok procesu pracy – czyli istniejącego od zarania ludzkości procesu przeobrażania przyrody przez jej ludzką część w celu tworzenia potrzebnych człowiekowi wartości użytkowych – istnieje specyficzny dla tego systemu proces pomnażania wartości. Przetwarzanie przyrody w tym kontekście ma więc na celu pomnażanie kapitału i przekształcanie samej przyrody w kapitał. Staje się ona tylko „zasobem”, środkiem dla akumulacji. W tym systemie systemu ciężko poradzić sobie z coraz bardziej oczywistą barierą środowiskową. Szczególnie w momencie problemów gospodarczych, kiedy żadne z państw nie chce być tym pierwszym, które poświęci część swojego wzrostu, żeby chronić całość. Widzimy te wszystkie przetargi w kontekście zmian klimatycznych i jak niewiele się w tym temacie robi. Problem jest oczywisty i powszechnie uznany, natomiast działania są w dużej mierze pozorne.

Pojawiają się pomysły rozwiązywania tego problemu w ramach kapitalizmu. Może zielony wzrost ma szansę zaprowadzić harmonię w relacjach gospodarka – środowisko?

Moim zdaniem kapitalizm jest z natury niezielony. Na pewno warto walczyć o wszelkie częściowe zmiany, ograniczenia emisji itd. To nie jest wszystko albo nic. Natomiast kapitalizm jako system jest oparty na konkurencyjnej akumulacji z wszystkimi tego następstwami dla przyrody. Nie ma ucieczki od niszczenia przyrody w ramach tego systemu.

W takim razie jak go zmienić?

To jest pytanie o to, gdzie jest podmiot, który może cokolwiek zmienić. Moim zdaniem mogą to zrobić tylko pracownicy, tylko *alter ego* kapitału, którym jest praca najemna. Bunt pracowników najemnych może nie tylko zahamować kapitał, ale przewyciężyć go poprzez zorganizowanie społeczeństwa opartego na demokratycznym planowaniu gospodarczym. Tak w skrócie.

.....
Filip Ilkowski - pracownik Zakładu Historii Myśli i Ruchów Społecznych w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, działacz Pracowniczej Demokracji i Związku Nauczycielstwa Polskiego w UW; współorganizator protestów antywojennych i antyrasistowskich, autor m.in. "Imperializm kapitalistyczny we współczesnych ujęciach teoretycznych" (2015)

Koniec atlantyckiego modelu kapitalizmu

ciąg dalszy ze str. 2.

Bez cukru, który stał się bardzo ważnym komponentem kalorycznym diety robotników, urbanizacja i rewolucja przemysłowa nie osiągnęłyby aż takiej skali. Oczywiście dochodzi do tego jeszcze tania bawełna, z której można było produkować towary.

Wolf jako pierwszy pokazał, że wzrost niby zaawansowanych społeczeństw zachodnich był bezpośrednio związany z pojawieniem się prymitywnych struktur społeczno-ekonomicznych w innych miejscach. To szereg formacji, które razem tworzą pewną bardzo spójną konfigurację. Antropologia jako jedna z pierwszych nauk pokazuje te zależności.

Inaczej jest w ekonomii, gdzie mamy do czynienia z bardzo silnym nacjonalizmem metodologicznym, czyli założeniem, że przedmiotem badania jest państwo. Gdy mówimy o wzroście, to z reguły chodzi o PKB jakiegoś państwa i porównania np. Islandii i Chin. Zakłada się, że można zestawiać ze sobą kraje, które mają odpowiednio 300 tys. i ponad miliard mieszkańców. Z powodu takiego podejścia bierze się też fetysz krajów nordyckich i przeświadczenie, że pomimo ich niewielkich populacji jest to model, który można zastosować w dużo większym kraju.

Antropologia od samego początku badała gospodarkę zarówno w skali bardzo lokalnej, jak i na poziomie globalnych zależności. A to umyka ekonomistom, którzy się zafiksowali na punkcie statystyk dotyczących państwa narodowego.

Jak więc z punktu widzenia antropologii ekonomicznej wygląda współczesna gospodarka rynkowa, kapitalizm?

Przed wszystkim kapitalizm i gospodarka rynkowa to nie jest to samo. Mimo to większość polskich publicystów i ekonomistów zakłada, że nie ma między tymi pojęciami żadnej różnicy. Taki pogląd wywodzi się z rzeczywistości lat 80. XX wieku, kiedy w Polsce utożsamiano kapitalizm z drobną, kupiecką przedsiębiorczością. I drobnymi handlarzami, którzy jeszcze w latach 90. wykładali na ulicy słynne łóżka polowe. W 1993 roku Michael Burawoy napisał artykuł o tym, że postrzeganie kapitalizmu jako rynku i wymiany towarów jest poglądem archaicznym i że ten prawdziwy kapitalizm, funkcjonujący w centrach światowej gospodarki, nie jest oparty na wolnym handlu, tylko na monopolu. A to są zupełnie inne warunki. Według niego ten wolnorynkowy kapitalizm kupiecki skończył się pod koniec XIX wieku.

Rynki i wymiana handlowa istniały zawsze i są tak stare, jak znane nam społeczeństwa. Gatunek ludzki, człowiek, jakiego widzimy dziś, żyje na ten planecie od ok. 70 tys. lat. Przez większość tego czasu klimat był na tyle zmienny, że nie pozwalało to na budowanie trwałych, osiadłych społeczeństw. Mniej więcej 12-15 tys. lat temu klimat ustabilizował się na tyle, że można było zacząć budować to, co nazywamy cywilizacjami. Pojawiło się rolnictwo, niewolnictwo i praca. A z nimi też dług. Pieniądz materialny jest bowiem dosyć młodym zjawiskiem – monety pojawiły się ok. 600 r. p.n.e. Wcześniej istniał pieniądz wirtualny, czyli pewne zobowiązanie, dług, który był związany z instytucją niewolnictwa. Mamy tego świadectwo w postaci zapisów na mezopotamskich glinianych tabliczkach sprzed 5 tys. lat. Dane archeologicz-

ne pozwalają jednak przypuszczać, że tego rodzaju zależności są tak stare jak ludzkość.

Co odróżnia współczesny kapitalizm od jego wcześniejszych form?

Kapitalizm współczesny to coś innego. Najbardziej skłaniam się tu ku optyce Karla Polanyi'ego, który pisał, że współczesny kapitalizm to system oparty na trzech rynkach: nieruchomości, pieniądza i pracy.

Po pierwsze pieniądz kredytowy, który nie jest wyłącznie środkiem wymiany, ale stanowi mechanizm sprawowania władzy. Pieniądz funkcjonował praktycznie zawsze, ale był formą wymiany, umożliwiając handel. Jako jeden z tych trzech filarów kapitalizmu pojawia się w momencie, w którym powstaje rynek pieniądza i za pomocą pieniądza można uzyskać go jeszcze więcej. Po drugie wyalienowana praca, realizowana głównie przez instytucję niewolnictwa, która pod wieloma względami jest niezwykle współczesna. Natomiast trzeci filar, czyli rynek obrotu nieruchomości, pojawia się dopiero pod koniec XIX wieku. I wtedy te trzy elementy stworzyły nową całość, doprowadzając do dużej zmiany jakościowej, która zbudowała podwaliny systemu ekonomicznego, w którym żyjemy.

Rządzą nim dwie podstawowe zasady, czyli 5% zysku z kapitału i 3% wzrostu gospodarczego. Gdybym miał zdefiniować współczesny kapitalizm, to byłyby to jego dwie fundamentalne cechy. System ciągłego wzrostu, który napędzany jest przez te dwie zasady, pojawił się dopiero pod koniec XIX wieku.

W mojej książce rozróżniam kapitalizm w wąskim i szerokim tego słowa znaczeniu. Są bowiem autorzy, np. David Graeber, którzy twierdzą, że kapitalizm jest tak stary jak ludzkość. To spojrzenie jest uzasadnione, jeżeli kapitalizm zdefiniujemy jako system oparty o pieniądz kredytowy i instytucję niewolnictwa. Natomiast inne ujęcie przypomina, że tak daleko w przeszłości nie można szukać załóżków współczesnego systemu. Nasza dzisiejsza sytuacja jest przecież radykalnie inna od tego, co działo się na świecie 3-4 tys. lat temu, i jakościowa zmiana dokonała się dopiero gdy te opisane przez Polanyi'ego trzy filary weszły razem w interakcję. To nie była powolna ewolucja, tylko drastyczne cięcie, w wyniku którego pojawiło się coś zupełnie nowego.

Czyli pojawiła się możliwość przetrwania kapitału z jednego rynku na drugi?

Tak. Pojawiła się ciągłość inwestycyjna, tzn. założenie, że inwestuje się pieniądze po to, żeby po jakimś czasie mieć go więcej. A wtedy można mieć go jeszcze więcej. Stąd pod koniec XIX wieku pojawiają się bezpośrednie inwestycje zagraniczne, a także idea ciągłego wzrostu. Ten system, który definiujemy przez zasady 3 i 5%, wyłonił się razem z drugą rewolucją przemysłową, na przestrzeni trzech ostatnich dekad XIX w. Był to pierwszy prawdziwie zglobalizowany system.

Czy wzrost jest konieczny do funkcjonowania tego systemu?

Jest takie założenie, że zdrowa gospodarka rozwija się w tempie 3% rocznie. Jeżeli jest to 8%, to rewelacja, a jak 20%, to już w ogóle szala. Ale gdy spada poniżej 3%, to wszyscy mówią, że zaczyna się recesja.

A skąd się wzięła taka zasada?

Wzięła się z tego, że historycznie tak było.

Czyli to nie wynik jakiejś głębszej analizy?

Nie. To samo dotyczy drugiej żelaznej zasady kapitalizmu. Z danych widać, że 5% zwrotu z zainwestowanego kapitału to pewna zasada, która funkcjonowała wśród kupców. W XIX-wiecznych powieściach, np. u Balzaca czy Dostojewskiego, wprowadzając nowe postacie wystarczyło podać informację, ile ta osoba ma majątku, żeby każdy wiedział, jaki ma roczny dochód. Każdy był w stanie sobie to przeliczyć, bo zakładano, że zysk z kapitału to 4-5%.

rów, potrzeba niebotycznych środków. Skala tego procesu staje się tak duża, że to już matematycznie nie do utrzymania. Bo 3% od złotówki to mało, ale ten sam procent od bilionów to już naprawdę dużo.

Dlatego świat oparty o tak precyzyjnie zdefiniowane kryteria odchodzi do lamusa. Piketty twierdzi, że tempo wzrostu będzie spadać do 1-2%. A nawet może być to mniej. Dochodzimy do ściany i pozostają już tylko sztuczne metody radzenia sobie ze spadającą stopą zysku.

Jakie to "sztuczki"?

Stopa zwrotu w USA w okresie powojennym wykazuje tendencje spadkowe. Jest jeden magiczny spo-



Było takie założenie wśród kupców, że to jest zadowalający poziom zwrotu. Fabrykanci zarabiali więcej, 7-8%, a ta nadwyżka 2% to był dodatkowy zysk, jaki dostawali za swoją pracę.

Czyli taka umowa, zwyczaj?

Tak, zupełnie arbitralna umowa. Z kolei jeśli chodzi o zasadę 3% wzrostu, to jest to przekucie pewnego historycznego doświadczenia na ogólną zasadę. W zasadzie każda teoria ma taki historyczny rodowód, tylko bardzo często się o tym zapomina. W tym przypadku widzimy uniwersalizowanie europejskiego, XX-wiecznego doświadczenia.

A czy to jest możliwe do utrzymania?

Ten kapitalizm, który wydaje nam się oczywisty, to system trwający mniej więcej od 150 lat. To jest moment dominacji atlantyckiej, czyli USA i Wielkiej Brytanii, a jego szczyt nastąpił w 1950 roku. Dzisiaj to już Chiny są największą gospodarką.

Mamy więc do czynienia z pewnym bardzo konkretnym systemem społeczno-ekonomicznym, którego centrum sytuuje się w kręgu anglosaskim, a zasady wynikają z partykularnego doświadczenia tych krajów. Ale tak zdefiniowany kapitalizm kończy się. Powody są czysto matematyczne. Rozrost światowej gospodarki zachodzi w sposób geometryczny i żeby utrzymać te 3% wzrostu od wartości całej globalnej gospodarki, czyli 70 bilionów dola-

Nowe centrum będzie w Azji?

Tak podejrzewa m.in. Giovanni Arrighi. Ale trudno powiedzieć, czy Chiny będą kolejnym hegemonem, czy powstanie wielobiegunowa rzeczywistość, w której nie ma jednego centrum. To, co się w tym momencie rodzi, może być zupełnie inne od tego, co było wcześniej.

Najwięcej można zarobić w Afryce. I wydaje się, że to Chiny działają tam najprężniej.

Nie wiadomo, jak to się skończy. Ale na pewno można dostrzec pozytywne efekty znaczącej pozycji Chin we współczesnym świecie. Przecież na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy w kwestiach klimatycznych to chińskie władze okazują się być w awangardzie i przekonują, że walka z ocieplaniem się klimatu musi być prowadzona w skali globalnej.

Z jednej strony dramatyczne poszukiwanie wzrostu, a z drugiej troska o klimat...

Tak naprawdę to, że Chińczycy będą bardziej agresywnie wydobywać surowce w Afryce, nie ma aż tak wielkiego znaczenia w skali całego systemu. Przecież wymóg 3% wzrostu oznacza podwojenie PKB co dwadzieścia kilka lat. I to jest czysto matematyczny powód, dla którego ten system nie jest możliwy do utrzymania. Kwestie środowiskowe i klimatyczne, czyli niezamierzone konsekwencje działania według formuły 3% i 5%, to druga przyczyna.

Jak mówi David Harvey, kapitalizm nie rozwiązuje swoich problemów, tylko przesuwa je w inne miejsce. Eksternalizuje je. Było nawet takie badanie, które pokazywało, że w zasadzie żadna globalna korporacja nie wykazałaby zysków, gdyby włączała do swoich kosztów koszty środowiskowe, które obecnie ponoszą inni.

Czy jest szansa, że poprawią się relacje między gospodarką a środowiskiem naturalnym?

Moim zdaniem i tak czeka nas dosyć radykalna zmiana świata ekonomicznego. Pytanie tylko, czy to się skończy wielką wojną i apokalipsą, która po prostu zakończy to wszystko. W takim scenariuszu nie ujrzymy końca kapitalizmu, tylko koniec świata. Bo już dziś widzimy, że problemy ekologiczne wcale nie mają ekologicznej manifestacji, przybierają raczej formę działań politycznych i militarnych. Prowadzą do wojen domowych, tak jak na Bliskim Wschodzie.

Jako alternatywę mamy radykalne zmiany.

.....
Kacper Pobłocki jest antropologiem społecznym. Jego praca doktorska pt. *The Cunning of Class – Urbanization of Inequality in Post-war Poland* (2010) została wyróżniona nagrodą Prezesa Rady Ministrów. Autor tekstów z zakresu studiów miejskich, antropologii porównawczej i ekonomicznej oraz historii społecznej. Współautor książki *Anty-bezradnik przestrzenny – prawo do miasta w działaniu* (2013, nagroda im. Jerzego Reguńskiego), współredaktor książki *Architektura niezrównoważona* (2016) oraz autor książki *Kapitalizm. Historia krótkiego trwania* (2017). Pracuje w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz w Centrum Europejskich Studiów Lokalnych i Regionalnych Uniwersytetu Warszawskiego.



O finansjalizacji i jej wpływie na gospodarkę oraz życie codzienne z Nataschą van der Zwan rozmawia Jan Chudzyński.

Zacznijmy od wyjaśnienia, czym jest finansjalizacja.

W najszerszym ujęciu oznacza to wzrost wpływu finansów i sektora finansowego na gospodarkę i społeczeństwo. W jednym z artykułów podzieliłam ten wpływ na trzy kategorie. I tak, po pierwsze, finansjalizację widzimy na poziomie makro, jako że zyski w gospodarce w coraz większym stopniu pochodzą ze źródeł finansowych. Chodzi o rozrost sektora finansowego w porównaniu do innych sektorów gospodarki, na przykład przemysłu czy usług. Przejawia się to także w tym, że firmy z innych sektorów rozpoczynają działalność finansową. Taki General Motors zarabia nie tylko na produkcji samochodów, ale także zyskuje na udzielaniu pożyczek na zakup swoich produktów.

Druga kategoria to zjawiska zachodzące wewnątrz korporacji. Dziś zamiast zwracać się do banków, korporacje zdobywają kapitał raczej za pośrednictwem rynków finansowych, przez co inwestorzy mają wobec nich pewne oczekiwania. Jednym z tych oczekiwań jest to, co nazywamy wartością akcjonariusza (shareholder value), a więc założenie, w myśl którego działalność firmy podporządkowana jest wypracowaniu maksymalnego zysku dla inwestora. A to bardzo często odbywa się kosztem innych grup, na przykład pracowników. Dobrze znane są stereotypowe przypadki, gdy po przejęciu firmy przez zewnętrznego inwestora w celu zwiększenia rentowności zwalniano się mnóstwo osób.

Trzecia kategoria to życie codzienne, w którym w coraz większym stopniu oczekuje się od ludzi, by zachowywali się jak inwestorzy albo dłużnicy. Dwa lata temu w Holandii w miejsce stypendiów na opłacenie studiów wprowadzono pożyczki. Studenci pożyczają pieniądze, które mają spłacić w trakcie kariery zawodowej. A to tylko jeden z aspektów finansjalizacji w systemie edukacji. Jest to też widoczne w systemie emerytalnym, w służbie zdrowia i w innych dziedzinach. Zamiast pozostać obywatelami, konsumentami lub pełnić inne role w społeczeństwie, ludzie stają się uczestnikami rynków finansowych.

Można powiedzieć, że to zmiany o charakterze cywilizacyjnym.

Cywilizacja to bardzo szeroka kategoria. To nie tylko zmiana ekonomiczna, ale też na pewno kulturowa. Oczekuje się, że ludzie będą się zachowywać w ekonomiczny, racjonalny sposób i jak inwestorzy będą maksymalizować swój zysk. To oznacza nakładanie na siebie dyscypliny comiesięcznych spłat zaciągniętych zobowiązań. W tym sensie to zmiana kulturowa, a nie tylko kierunek rozwoju gospodarki.

Oczywiście finansjalizacja wpływa też na konsumpcję i płace. Spójrzmy na kolejny przykład z sektora motoryzacyjnego, tym razem na fordyst. Henry Ford mówił: „Muszę dobrze płacić pracownikom, tak żeby było ich stać na nasze produkty”. Powodem, dla którego finansjalizacja tak przyspieszyła, było to, że w wielu gospodarkach płace nie wzrastały zbyt szybko. Zamiast wyższych płac pozwalających na zakup większej ilości produktów, dziś udziela się kredytów i pożyczek. Zamiast

FINANSJALIZACJA to zmiana kulturowa



Fot.: Rafael Matsunaga - Flickr

zarabiać i oszczędzać, ludzie dostają karty kredytowe i pożyczki. Colin Crouch nazywa to sprywatyzowanym keynesizmem. Jego zdaniem dużej części konfliktów płacowych udało się uniknąć właśnie dzięki łatwym pożyczkom i możliwości zakupu dóbr, za które okres spłaty przychodzi dużo później. Ten moment nadszedł w czasie kryzysu finansowego, gdy część spłacających zobowiązania popadła w tarapaty.

Tak więc finansjalizacja to nie tylko poszukiwanie nowych źródeł zysku dla korporacji, ale także zmiana zależności między konsumpcją, płacami i produkcją.

A jak finansjalizacja zmienia ducha korporacji?

Zgodnie z ideą wartości akcjonariusza, firma ma maksymalizować zyski inwestorów. W ekonomii ten pomysł stał się bardzo popularny w latach 70. XX wieku. To była nowość, bowiem wcześniej przedsiębiorstwa miały cele społeczne, służyły społeczności. Udziałowcy lubią, gdy cena akcji rośnie i gdy firmy zajmują się swoją podstawową działalnością. Dlatego po II wojnie światowej spora firm przemysłowych ograniczyło swoją działalność do obszarów, w których najlepiej sobie radziły.

Poza tym finansjalizacja promuje działania w krótkiej perspektywie czasu, ponieważ rynki finansowe są bardzo dynamiczne, a firmy mają co kwartał publikować swoje dane finansowe. To oznacza, że każda nowa inicjatywa powinna jak najszybciej okazać się rentowna. Inwestycje w nowe obiekty produkcyjne, które potrzebują dużo czasu, by przynieść zyski, nie będą tak popularne jak doświadczenia. Pozbicie się nadmiarowych pracowników nie zajmuje dużo czasu, z kolei nowa fabryka to projekt na 20 lat. Oczywiście to bardzo stereotypowe przedstawienie problemu i nie we wszystkich korporacjach prowadzi się takie praktyki, ale tendencja, by koncentrować się na wartości akcjonariuszy, jest bardzo silna.

Ironią losu wydaje mi się to, że zwiększająca obciążenia dla

państwa dobrobytu finansjalizacja jest procesem wspieranym przez samo państwo.

Dokładnie tak. Państwo dobrobytu wcale nie rośnie. A to dlatego, że zostało przekształcone zgodnie z nowymi pomysłami. W wielu państwach poziom bezpieczeństwa uległ zmianie ze względu na spadek pewności zatrudnienia oraz mniej szczerze państwo dobrobytu. I to nie przypadek, bowiem to te same ekonomiczne i polityczne siły stoją za przeobrażeniem państwa dobrobytu i wzrostem finansjalizacji.

A co o tym zdecydowało? Konieczność, jakieś żelazne prawa, czy ideologia?

W okresie przed II Wojną Światową także występował pewien stopień finansjalizacji, dlatego niektórzy badacze mówią, że to powojenne państwo dobrobytu było anomalia, a nie okres finansjalizacji. A więc to tak, jakbyśmy wracali teraz do okresu przedwojennego.

Nie uważam, żeby to była kwestia ideologii. Mnie szczególnie ciekawi to, jak na ten proces wpłynęła wiedza. Tak jak wspominałam, ekonomisci w latach 70. rozpowszechnili to założenie, że firmy powinny służyć udziałowcom...

To może jednak można to nazwać ideologią? Ekonomia przecież mocno opiera się na wartościach...

Tak. Zawsze martwi mnie charakterystyczna dla ekonomistów nierealistyczna wizja rzeczywistości społecznej. Nie chodzi o to, że ekonomisci nie są wystarczająco naukowymi, tylko że w zbyt małym stopniu wpisują się w charakter nauk społecznych. Tak więc w pewnym momencie pojawiają się idee, które trafiają na podatny grunt wśród biznesmenów i polityków. Oni wprowadzają te pomysły do praktyki, wpływając tym samym na nasze życie codzienne. To nie tylko ideologia.

W jaki sposób finansjalizacja opanowała sferę publiczną?

David Harvey, a za nim Adam Curtis w filmie dokumentalnym *Hypernormalisation*, pokazują, że to kryzys fiskalny w Nowym Jorku z lat 70. był momentem, od którego finansjalizacja zaczęła wywierać coraz większy wpływ na rzeczywistość.

Rzeczywiście, wykupienie przez fundusz emerytalny obligacji bankrutującego Nowego Jorku było kontrowersyjne. Ale doprowadziły do tego różne procesy. Można powiedzieć, że sektor publiczny sam do tego się przyczynił, deregulując sektor finansowy. Są badania wskazujące na to, że było to wynikiem troski o konkurencyjność na globalnym rynku. Poza tym lobbying też miał na to wpływ.

Fundusze emerytalne są dla rządów bardzo atrakcyjne, ponieważ stanowią rynek dla ich produktów finansowych, na przykład dla obligacji rządowych. Dlatego rządy starają się stworzyć sektor funduszy, które mogłyby nabywać ich papiery. Dzięki temu uzyskuje się dodatkowe wpływy bez podnoszenia podatków.

Holenderski fundusz emerytalny pracowników służby cywilnej zawsze był traktowany jak koło ratunkowe na wypadek deficytu budżetowego. Jeśli rząd nie mógł spać budżetu, to zawsze miał w zanadrzu fundusz emerytalny, przy pomocy którego radzono sobie z problemem. W niektórych państwach istnieją nawet przepisy określające, jaką część swoich aktywów fundusze mają inwestować w rządowe obligacje.

Jest jeszcze jedna kwestia. W ramach zmiany kierunku na neoliberalny mówiono, że administracje państwowe mają być małe i nie mogą zbierać zbyt dużo podatków etc. Tak więc w celu pokrycia deficytów rządu zaczęły emitować obligacje, a dziś są to też derywaty i inne produkty. Miasta i stany w USA emitują obligacje emerytalne, które są narzędziami spekulacji. Władze nie są w stanie pokryć wydatków na emerytury swoich pracowników, dlatego szukają środ-

ków na rynku obligacji. Jeśli spojrzeć na to z perspektywy państwa dobrobytu, to wydaje się to szalone.

To jak próbować zasypać dół, kopiąc głębiej i głębiej.

Dokładnie. Gdybym była pracowniczką miasta odprowadzającą przez całe życie składki emerytalne, to byłabym wkurzona. Po pierwsze dowiadując się, że nie ma wystarczająco pieniędzy, by wypłacić emeryturę. A po drugie – widząc, że brakujące środki próbuje się uzyskać, wchodząc na te bardzo niebezpieczne rynki. Nie sądzę, żeby mi to odpowiadało.

Czy można powiedzieć, że tak jak są różne kapitalizmy, są też różne finansjalizacje? Czy pomiędzy państwami można dostrzec jakieś widoczne różnice w rozwoju tego procesu?

Uważam, że finansjalizacja to amerykański wynalazek. W USA rozpoczęła się dużo wcześniej niż w Europie, a także wydaje się tam być trochę ostrzejsza. Te różnice wynikają z faktu, że w Europie występują czynniki łagodzące finansjalizację, np. związki zawodowe. To one są w stanie zatrzymać taki proces lub sprawić, że będzie on łagodniejszy.

Tak więc są różnice. Są różne tradycje kulturowe i na przykład w niektórych państwach zadłużanie się jest bardziej akceptowane niż w innych. Tak samo są państwa, w których posiadanie nieruchomości i innych aktywów było promowane historycznie, wcale nie z powodu postępującej finansjalizacji. W Holandii bardzo ważne jest posiadanie domu – jako dorosły człowiek powinien mieć własny dom. Dlatego ludzie chętniej decydują się na kredyty hipoteczne.

Należałoby się jednak zastanowić, czy w Europie rzeczywiście mamy do czynienia z inną finansjalizacją, czy to po prostu efekt opóźnienia względem USA. Może się okazać, że to, co obserwujemy dziś w USA, za dwadzieścia czy trzydzieści lat nadejdzie do Europy.

.....
ciąg dalszy na następnej stronie

FEMINIZM W SŁUŻBIE KAPITALIZMU

Nancy
Fraser



Ruch feministyczny, który w swoich początkach był jednym z ważnych nurtów krytyki kapitalizmu, stał się dostarczycielem najważniejszych idei dla jego najnowsze- go, neoliberalnego wcielenia.

Jako feministka zawsze sądziłam, że walcząc o emancypację kobiet, pomagam budować lepszy świat – świat bardziej egalitarny, bardziej wolny i sprawiedliwy. Jednak w ostatnich latach z niepokojem obserwuję, że ideały, które zrodziły się w ruchu wyzwolenia kobiet, służą zupełnie innym celom. Najbardziej martwi mnie to, że naszej krytyki seksizmu coraz częściej używa się do usprawiedliwienia nowych form nierówności i wyzysku.

Okrutnym zrzędzeniem losu ruch na rzecz wyzwolenia kobiet wpłynął się w niebezpieczne związki z neoliberalami i wspiera ich wysiłki na rzecz budowy społeczeństwa wolnorynkowego. Idee feministyczne, które niegdyś współtworzyły radykalny, lewicowy światopogląd, coraz częściej służą umacnianiu ideologii wolnorynkowego indywidualizmu. Gdy feministki z dawnych lat krytykowały karierowiczostwo, feministki dzisiejsze wprost zachęcają kobiety, by włączyły się do wyścigu szczurów. Ruch, dla którego najważniejsza była solidarność społeczna, namawia kobiety do większej przedsiębiorczości. Kultura polityczna, która kiedyś ceniła sobie wartości takie, jak troska i współzależność, kładzie dzisiaj nacisk na osobisty sukces i system wartości, który zapewnia awans w oparciu o indywidualne talenty i zasługi.

Tym, co leży u podłoża tych zmian, jest radykalna transformacja kapita-

lizmu. Zarządzany przez państwo kapitalizm ery powojennej ustąpił miejsca nowemu modelowi – kapitalizmowi nieorganizowanemu, globalistycznemu i neoliberalnemu. Feminizm drugiej fali powstał jako ruch krytyczny wobec kapitalizmu starej daty, by po latach przejść na służbę jego nowego wcielenia.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, łatwo dostrzec, że ruch wyzwolenia kobiet zmierzał jednocześnie do dwóch możliwych wersji przyszłości. W wersji pierwszej dążył do świata, w którym emancypacja kobiet szła ręką w rękę z demokracją uczestniczącą i solidarnością społeczną; w wersji drugiej obiecywał nową formę liberalizmu, w którym kobiety i mężczyźni mieli się cieszyć większą autonomią, szerszym zakresem wyborów życiowych i realną szansą na awans społeczny w nagrodę za talent i osobiste zasługi. W tym sensie feminizm drugiej fali był ruchem politycznie ambivalentnym, zgodnym z obiema wizjami społeczeństwa i przyjaznym różnym scenariuszom historycznym.

W ostatnich latach ta polityczna ambivalencja osłabła, a przewagę zyskał scenariusz liberalno-indywidualistyczny. Jednak nie stało się tak dlatego, że byliśmy biernymi ofiarami uwodzicielskiej siły neoliberalizmu. Wprost przeciwnie! Same się czynnie przyczyniliśmy do takiego rozwoju sytuacji, wnosząc do nowego modelu kapitalizmu trzy ważne idee.

Pierwszą z nich była nasza krytyka „pensji rodzinnej” i kluczowego dla tradycyjnego kapitalizmu modelu społecznego, w którym mężczyzna jest żywicielem rodziny, a kobieta gospodynią domową. Feministyczna krytyka tego modelu legitymizuje dzisiaj „kapitalizm elastyczny”. Wszak współczesna, neoliberalna forma kapitalizmu zależy w wielkiej mierze od pracy zarobkowej kobiet, zwłaszcza za od niskopłatnej pracy w usługach i w produkcji, wykonywanej nie tylko przez młode i nie-

zamężne kobiety, ale również przez kobiety zamężne i posiadające dzieci; nie tylko przez kobiety dyskryminowane rasowo, ale przez kobiety wszystkich narodowości i ze wszystkich grup etnicznych. Gdy kobiety na całym globie masowo wkroczyły na rynek pracy, tradycyjny model pensji rodzinnej zastąpiony został przez model nowszy i bardziej nowoczesny – model rodziny z dwójkiem żywicieli, najwyraźniej usankcjonowany przez współczesny feminizm.

I nikogo zdaje się nie obchodzić, że wspierany przez nowy model rodziny neoliberalny kapitalizm oznacza spadek przeciętnej płacy, mniejsze bezpieczeństwo zatrudnienia, obniżający się poziom życia, gwałtowny wzrost liczby godzin pracy zarobkowej, więcej pracy na dwie, trzy lub nawet cztery zmiany i wzrost ubóstwa w rodzinach, w których funkcję „głowy” coraz częściej pełnią kobiety. Neoliberalizm robi, co może, by „wróbel stał się kanarkiem” (1), akcentując coraz bardziej potrzebę tzw. wzmocnienia narracji o upodmiotowieniu kobiet. Powołując się na feministyczną krytykę pensji rodzinnej dla usprawiedliwienia wyzysku, nowy kapitalizm zaprzęga marzenie o emancypacji do lokomotywy akumulacji kapitału.

Nie jest to jedyna koncepcja, jaką feminizm wniósł do neoliberalnego etosu, przyczyniając się tym samym do jego umocnienia. W epoce kapitalizmu zarządzanego przez państwo, słusznie krytykowałyśmy lewicę za myślenie tak bardzo skupione na walce klas, że nie chciała ona dostrzec żadnych form niesprawiedliwości „nieekonomicznej”, takich jak przemoc w rodzinie, nadużycia seksualne lub ograniczanie praw reprodukcyjnych. Odrzucając ideologiczny „ekonomizm” i upolityczniając to, „co prywatne”, feministki przesyłały zakres tego, „co polityczne”, rzucając wyzwanie tradycyjnym hierarchiom

społecznym, powstałym na bazie kulturowo skonstruowanych różnic pomiędzy płaciami. Konsekwencją tych zmian powinno być rozszerzenie zakresu walki o sprawiedliwość, tak, by objęła ona i kulturę, i ekonomię. Jednak stało się inaczej. Feministyczna krytyka skupiła się całkowicie na „tożsamości płciowej” kosztem troski o podstawowe źródła utrzymania. Co gorsza, feministyczny zwrot ku polityce tożsamości połączył się ściśle z umacnianiem się neoliberalizmem, który chciał tylko jednego: całkowitego wyparcia z pamięci idei równości społecznej. W efekcie doszło do absołutyzacji krytyki kulturowego seksizmu, a stało się to dokładnie w tym momencie, gdy okoliczności wymagały, by zdwoić wysiłki na rzecz krytyki ekonomii politycznej.

W końcu feminizm wniósł niemały wkład w upowszechnienie kolejnej idei neoliberalizmu: krytyki paternalizmu państwa opiekuńczego. Ta niezaprzecalnie postępową myśl w dobie kapitalizmu organizowanego przez państwo weszła później do arsenału neoliberalnych argumentów w wojnie przeciwko koncepcji „państwa-niańki”. W ostatnich latach neoliberalne państwo wciąż z niej korzysta, cynicznie akcentując rolę organizacji pozarządowych i przekazując im swoje obowiązki.

Wymownym przykładem tych przemian jest koncepcja mikrokredytu – programu udzielania niewielkich pożyczek bankowych ubogim kobietom z krajów globalnego południa. Stworzony jako oddolna alternatywa wobec rządowych, biurokratycznych programów umocnienia pozycji kobiet, mikrokredyt reklamowany jest jako feministyczne antidotum na problem ubóstwa i poddaństwa kobiet. Nie dostrzega się przy tym niepokojącego zbiegu okoliczności: mikrokredyty stały się popularne dokładnie wtedy, gdy państwa zaczęły rezygnować z makrostrukturalnych programów zwalczania ubóstwa – pro-

gramów, których drobne pożyczki nie mogą w żadnym razie zastąpić. I w tym przypadku dawna idea feministyczna została przejęta przez neoliberalizm. Koncepcja mająca pierwotnie na celu demokratyzację władzy państwowej w celu upodmiotowienia obywateli, jest obecnie wykorzystywana jako argument na rzecz urynkowania i obniżenia kosztów funkcjonowania państwa.

We wszystkich tych przypadkach dwoistość polityczną feminizmu za stał się neoliberalny indywidualizm. Jednak nie znaczy to, że dawny, solidarystyczny scenariusz jest całkiem martwy. Obecny kryzys stwarza wręcz szansę na ponowne podjęcie jego głównych idei łączących marzenie o wyzwoleniu kobiet z wizją społeczeństwa solidarnego. W tym celu jednak feministki muszą zerwać niebezpieczne związki z neoliberalizmem i użyć swoich dawnych idei na rzecz własnych celów.

Po pierwsze musimy zerwać fałszywy związek pomiędzy naszą krytyką pensji rodzinnej i modelem kapitalizmu elastycznego, przekonując do kultury mniej skupionej na pracy zarobkowej, a wyżej niż dotąd ceniącej zajęcia niezarobkowe, a wśród nich – między innymi – prace opiekuńcze. Po drugie, możemy odwrócić procesie, jakie się dokonało od krytyki ekonomizmu do polityki tożsamości przez połączenie obu nurtów w feminizmie: walki o zmianę porządku społecznego opartego na wartościach kultury patriarchalnej z walką o sprawiedliwość ekonomiczną. W końcu musimy się rozprawić z fałszywym poglądem łączącym naszą krytykę biurokracji z wolnorynkowym fundamentalizmem. Powinniśmy powrócić do idei demokracji uczestniczącej jako narzędzia umacniającego oddolną władzę obywateli, niezbędna do ograniczania wpływów kapitału w imię sprawiedliwości społecznej.

(1) Zdanie to jest trawestacją przysłowia „Kto się wróblem urodzi, kanarkiem nie zdechnie”. (Przyp. tłum.)
tłum. Andrzej Dominiczak
przedruk za: *Le Monde Diplomatique*, nr 11/93

.....
Nancy Fraser – profesor socjologii na Uniwersytecie Chicagowskim oraz filozofii i teorii politycznej w New School for Social Research w Nowym Jorku. Napisała m.in. *Scales of Justice: Reimagining Political Space in a Globalized World* (2008). W Polsce ukazała się jej praca pt. *Redystrybucja i uznanie* (wraz z Axelem Honnethem, 2005).

ciąg dalszy z poprzedniej strony

Jak proces finansjalizacji ma się do dynamiki kapitalizmu? Czy przypadkiem właśnie w ten sposób nie ujawniają się jego wrodzone cechy?

To jest kapitalizm. W tym właśnie kontekście przychodzi mi na myśl dorobek francuskich socjologów, Boltanskiego i Chiapello, i ich książka, *The New Spirit of Capitalism*. Twierdzą oni, że kapitalizm jest siłą napędzaną żądzą ekspansji i odkrywania nowych rynków. Ta siła jest w stanie wchłonąć swoją krytykę, to znaczy, że każdy ruch przeciwko kapitalizmowi wywoła odpowiednie przekształcenia systemu, które są w stanie go unieszkodliwić. W momencie gdy państwo dobrobytu staje się problemem i przestaje się rozwijać, system odkrywa nowe rozwiązania i proponuje, że powinniśmy zachęcać ludzi, by brali kredyt.

Podobnie jest w przypadku mikrofinansów i mikrokredytów. Zamiast wyciągać ludzi z ubóstwa, wprowadza się ich do systemu finansowego...

To ekspansja rynku...

Tak, to ekspansja rynku, a nie ruch działający w kontrze do niego. Uważam, że diagnoza Boltanskiego i Chiapello jest wyjątkowo trafna, bo to dobrze widać na przykładzie poszczególnych procesów. Bardzo trudno jest oprzeć się procesowi absorpcji i integracji z systemem, a później również trudno jest z niego wyjść.

Czyli finansjalizacja po prostu napędza ruch kapitału, który tradycyjnie krążyłby, dokonując ekspansji geograficznej lub podboju nowych branż.

Ale to także proces, który tłumi ludzką świadomość. Bo nie masz powodu, by krytykować system, dopóki możesz łatwo dostać kredyt na zakup ładnego domu i fajnych rzeczy, które sprawiają, że jesteś szczęśliwy. Dopiero gdy wybucha kryzys finansowy, ludzie nagle zdają sobie sprawę z tego, co system z nimi zrobił i jaka jest ich pozycja względem tak potężnych, sił jakimi są światowe rynki finansowe.

Niektórzy badacze twierdzą, że obserwowana przez ostatnie dekady

konsumpcja dzięki rynkom finansowym i podtrzymywanie państwa dobrobytu przez finansowe aktywa stanowiły ogromną siłą depolityzującą. Dopiero w ostatnich kilku latach poznaliśmy prawdę i mierzymy się z konsekwencjami działania systemu, który jest bardzo niezrównoważony. Wiele osób zastanawia się, co teraz robić, jakie są alternatywy.

Finansjalizacja sprawia też, że możemy tracić poczucie odpowiedzialności za nasze pieniądze. Składki kierowane do funduszy emerytalnych mogą finansować przedsięwzięcia szkodliwe dla ludzi i środowiska.

To ciekawy wątek, szczególnie w przypadku sektora funduszy emerytalnych. Jakże cele mu stawiamy? Czy ma wypracować jak najwyższe zyski, a może powinien też służyć realizacji celów społecznych, np. inwestować w miejsca pracy, realizować cele ochrony środowiska i budować czysty system energetyczny? Oczywiście na to pytanie padają różne odpowiedzi.

Przedstawiciele ruchu ekologicznego powinni uczestniczyć w wal-

nych zgromadzeniach akcjonariuszy i nakłaniać przedsiębiorstwa, by produkowały w bardziej zrównoważony sposób. Dobrym przykładem jest ruch pracowniczy, który bardzo aktywnie dba o to, żeby środki na ich przyszłe emerytury nie były inwestowane w firmy, które źle traktują swoich pracowników. Inni mogą powiedzieć, że to bez sensu i że jedynym zadaniem funduszu emerytalnego jest wypracowanie jak największego zysku. Pojawiają się też głosy, że stawianie celów innych niż ten jest nielegalne.

Kampanie wykorzystujące ten mechanizm wydają mi się bardzo ciekawe, promują alternatywę wobec zastanej rzeczywistości.

Są one szczególnie obiecujące, gdy w zwalczaniu zmian klimatu niespecjalnie można polegać na sektorze prywatnym i tradycyjnych mechanizmach rynkowych.

Fundusze zrobiły jednak ogromne postępy w tym, co nazywa się impact investment, np. w projekty ochrony środowiska. Mimo to wciąż jest to problem, gdy pojawiają się in-

westycje z dodatkową motywacją, właśnie taką jak cele środowiskowe lub społeczne. Trzeba udowodnić, że taki projekt nie jest mniej opłacalny od zwykłych inwestycji, czyli że oprócz czynienia czegoś dobrego jest w stanie wypracować odpowiedni zysk dla inwestorów. To jest niełatwe i przez to największe fundusze unikają tego typu przedsięwzięć.

To musi być trudne, skoro zyski zwykle czerpie się z przedsięwzięć o zupełnie innym charakterze..

Dokładnie. W szczególności jeśli prezentujesz ekonomiczne podejście do wartości i mierzysz wszystko w kategoriach finansowych. Wartość może przecież być tworzona w inny, alternatywny sposób.

.....
Natascha van der Zwan wykłada ekonomię polityczną na Uniwersytecie w Lejdzie (Holandia). Bada polityczny wymiar finansów i kapitalizmu, stosunki między pracownikami a pracodawcami, a także przebieg reform emerytalnych

KRYZYSY GLOBALNEJ GOSPODARKI

ciąg dalszy ze str.2.

Trzeba pamiętać, że kłopoty wenezuelskiej gospodarki pojawiają się wtedy, kiedy kraje globalnego południa zaczynają coraz mocniej odczuwać skutki globalnego kryzysu ekonomicznego, który zaczął się w 2007 roku w Stanach Zjednoczonych na rynkach finansowych, a potem rozszerzył się na tzw. gospodarkę realną. Kiedy Stany Zjednoczone i państwa europejskie odczuwały największe skutki kryzysu, kraje Ameryki Łacińskiej, łącznie z Wenezuelą, przeżywały bardzo efektywny okres rozwoju ekonomicznego i społecznego, być może największy w ostatnich kilkudziesięciu latach.

Kiedy można było zaobserwować pierwsze oznaki kryzysu?

Jeszcze lata 2012-2013 to jest okres bardzo dobrych wyników gospodarek latynoamerykańskich, ale także gospodarki chińskiej, indyjskiej, południowoafrykańskiej i innych gospodarek wschodzących. Załamanie przychodzi w momencie, kiedy skutki kurczenia się wzrostu gospodarczego, inwestycji, a także rynku kredytowego w Europie i Stanach Zjednoczonych zaczynają docierać do krajów, które znajdują się na peryferiach systemu globalnego, ale które odgrywają istotną rolę w łańcuchach dostaw.

Wenezuela jest krajem, któremu nie udało się uwolnić od monopolu surowcowego. Uzależniona jest od ropy naftowej, której ceny mocno poszły w dół, co ma również bardzo negatywny wpływ na sytuację gospodarczą w tym kraju. To nie jest oczywiście jedyny powód kryzysu. Można je znaleźć w samym projekcie chavezowskim, a właściwie postchavezowskim. Tym niemniej, jeśli mówimy o powiązaniach globalnych, to warto zwrócić uwagę na to, że problemy Wenezueli występują w tym samym czasie, w którym problemy ze zmniejszonym wzrostem gospodarczym mają Chiny, Indie, Brazylia, Argentyna i wiele innych krajów z globalnego południa.

W ostatnich latach coraz częściej do władzy w krajach centrum pod hasłami narodowego egoizmu dochodzi prawica. Brak solidarności sprawia, że globalnie mamy do czynienia z sytuacją równowagi. Bogaci się bogacą, a biedni mają coraz mniej. Procesy zachodzące 20-30 lat temu tylko się pogłębiają...

W pewnym sensie tak jest. Wynika to z tego, że neoliberalizm nie jest w stanie się reformować. Interesy korporacyjne nie pozwalają na zmianę status quo. Doszło do takiego powiązania władzy ekonomicznej, politycznej i korporacyjnej, że niezdolność tego modelu do reform będzie tylko narastać. Trzeba pamiętać, że w skali globalnej doświadczamy bardzo poważnych zjawisk dowodzących, że hegemonia tradycyjnych euroatlantyckich ośrodków kapitalizmu znajduje się w poważnych tarapatach. Stany Zjednoczone, jako jedyne supermocarstwo, również przeżywają kryzys. Mamy do czynienia z epoką przejściową. Widzimy wzrost znaczenia takich państw jak Chiny czy Indie.

Spójrzmy na to, co dzieje się w Ameryce Łacińskiej. W latach 80. żadna lewicowa fala nie byłaby możliwa. Stany Zjednoczone prze-



prowadziłyby szereg udanych zamachów stanu, które zakończyłyby nieprzychylnie im lewicowe rządy. Teraz udało się obalić Amerykanom władzę tylko w Hondurasie. Próba obalenia rządu w Wenezueli w 2002 roku zakończyła się niepowodzeniem...

Dlaczego wpływy Stanów Zjednoczonych w Ameryce Łacińskiej słabną?

Epizod kilkunastoletnich rządów lewicowych w Ameryce Łacińskiej jest bardzo optymistyczny. Udało się zrobić dużo dobrego, ekonomicznie i społecznie. Był to czas wielkiego wzrostu gospodarczego, a zarazem zmniejszania się długu publicznego, gigantycznego wzrostu nakładów na cele społeczne, likwidacji głodu i biedy na niespotykaną dotąd skalę. To spowodowało, że np. Brazylia zmieniła miejsce w międzynarodowym podziale pracy. To jest efekt zachodzących w regionie zmian. Oczywiście wszystko to miało swoją cenę, ale to już jest inna kwestia.

Podobne procesy zachodziły w Chinach i innych państwach Azji. Oczywiście kryzys ekonomiczny, który tak mocno uderzył w ośrodek euroatlantycki i w dalszym ciągu trzyma go w stanie stagnacji, jednocześnie odciska się piętnem na tym, co się dzieje w krajach globalnego południa. Tym niemniej sam fakt, że mamy różnicowanie, jeśli chodzi o dynamikę ekonomiczną, dowodzi, że mamy inną sytuację niż w latach dziewięćdziesiątych. Wtedy mieliśmy supremację Stanów Zjednoczonych oraz ich sojuszników, co przejawiało się w narzucaniu krajom globalnego południa umów wolnohandlowych i globalne rządy organizacji takich jak rządy WTO. Po 2003 roku to się skończyło. Teraz Zachód będzie starał się powrócić do tego, ale trzeba obiektywnie stwierdzić, że ten powrót jest już na nieco mniejszą skalę. Dziś już nie próbuje się narzucić wielostronnego porozumienia na skalę globalną, ale raczej stara się to zrobić w skali kontynentalnej lub regionalnej. Inaczej wyglądają układy sił geopolitycznych i ekonomicznych niż w latach dziewięćdziesiątych. Inna jest pozycja Stanów Zjednoczonych, na które jeszcze w latach siedemdziesiątych przypadła połowa produkcji światowej. Dziś jest to 20 procent lub nawet mniej. Chiny produkują więcej

i mają w związku z tym inną pozycję negocjacyjną.

Nie sposób chyba wyobrazić sobie przewyższenie kryzysu bez reformy systemu finansowego?

Dziś jest to już problem nie tylko systemu finansowego, ale również gospodarki realnej. System finansowy należałoby poddać demokratycznej kontroli i zmienić zasady jego funkcjonowania. Problem w tym, że regulacje, które udało się wprowadzić po kryzysie z 2009 roku, znajdują się pod ostrzałem administracji Donalda Trumpa, a w UE w ogóle nie wprowadzono żadnych regulacji ograniczających spekulacje. Rozdzielenie działalności inwestycyjnej banków od działalności komercyjnej nadal nie zostało zrealizowane. Bez tego rodzaju posunięć sektor finansowy będzie tykającą bombą, która będzie wywoływała coraz częstsze i coraz bardziej głębokie kryzysy finansowe.

Problem polega też na kluczowej kwestii gospodarki produkcyjnej, jaką jest stagnacja. W ramach logiki kapitalistycznej trudno znaleźć sposób na przełamanie toru stagnacyjnego, na którym znalazła się gospodarka. Sposobem na radzenie sobie ze stagnacją jest neoliberalizm. Pogodziliśmy się z tym, że nie potrafimy wytworzyć większego bogactwa i żeby ratować zyski, stosujemy strategię coraz bardziej nierównego i niesprawiedliwego dzielenia tego, co jest. Dokonujemy również skoku na dobra wspólne, które jeszcze nie zostały skomercjalizowane.

Problemem gospodarki światowej jest postępująca monopolizacja. Coraz większa władza przechodzi w ręce coraz mniejszej grupy korporacyjnych graczy. Podmioty te skupiają dziś w swoich rękach nie tylko władzę ekonomiczną, ale również polityczną. Mają na nią ogromny wpływ, ale również mają władzę symboliczną, ideologiczną.

Coraz częściej pojawiają się pytania o granice wzrostu. Czy kapitalizm na obecnych zasadach może się jeszcze długo rozwijać?

Bez wzrostu kapitalizm upadnie. W latach trzydziestych były prowadzone w Niemczech badania, które wykazały, że przy ówczesnym poziomie wydajności moż-

na było skrócić pracę pracowników do sześciu godzin dziennie i wynagradzać ich godziwie. Dziś podejrzewam, że ta konieczna praca, którą powinniśmy wykonywać, aby gospodarka się rozwijała, mogłaby trwać jeszcze krócej. Sęk w tym, że kapitalizm musiałby się pogodzić z utratą swoich wpływów politycznych. Kapitał musiałby zrezygnować ze swojej uprzywilejowanej pozycji, którą utrzymuje dzięki temu, że zamiast redystrybuować korzyści ze wzrostu gospodarczego, które są już tak wielkie, że pozwalają już nam myśleć o jakości życia, a nie o ciągłym wzroście produkcji, woli produkować więcej, ponieważ dzięki temu może dyscyplinować klasy podporządkowane. Myślę, że klucz leży w konflikcie klasowym.

Nowa administracja amerykańska zamierza wycofywać się z rozwiązań przyjętych przez poprzedników w zakresie ochrony środowiska. Ekologia jako hamulec wzrostu ekonomicznego?

Nie jestem zaskoczony. To jest dokładnie to, z czym mieliśmy do czynienia, kiedy George Bush jr. obejmował władzę. Narodowa strategia energetyczna Stanów Zjednoczonych, wypracowana przez Dicka Cheney'a, całkowicie porzuciła pomysł poszukiwania alternatywnych źródeł energii na rzecz wzmocnienia amerykańskiej kontroli nad istniejącymi złożami ropy naftowej. Konsekwencją takiego sposobu myślenia była inwazja na Irak i zaangażowanie się na Bliskim Wschodzie. Dziś widzimy skutki tamtych decyzji. To są bardzo złe wiadomości. Nie tylko dla przyrody, ale przede wszystkim dla ludzi. Przyroda sobie poradzi, my bez środowiska nie przetrwamy.

Postępowanie zgodnie z takim ekstraktywistycznym myśleniem o zasobach, które reprezentuje obecna administracja Stanów Zjednoczonych, prowadzi nas do katastrofy. Tym bardziej że mamy przed sobą bardzo realną perspektywę kryzysu klimatycznego. To będzie w najbliższej przyszłości kluczowa kwestia, ponieważ będzie się ona wiązała z narastającym problemem konfliktów zbrojnych, z głodem, migracjami, uchodźcami itd. Posunięcia ekipy Donalda Trumpa są skrajnie nieodpowie-

dzialne i skrajnie niebezpieczne. Za rozwiązaniami, jakie promuje dziś amerykańska administracja, stoi potężny lobbujący przemysł wydobyczy. Klasie politycznej niełatwo go zignorować w sytuacji, kiedy amerykański system polityczny jest strukturalnie skorumpowany przez finansujący go wielki biznes.

Czy w takiej sytuacji dojdzie do pogłębienia konfliktu pomiędzy globalną północą a globalnym południem?

Na pewno zwiększy się presja wielkich korporacji wydobywczych na kraje globalnego południa. Dziś jest to już bardzo poważny problem. Kopalnie odkrywkowe w Kongo czy w Ameryce Łacińskiej wywołują negatywne skutki, które odczuwają całe społeczeństwa. Nakładają się na siebie konsekwencje klimatyczne, polityczne i ekonomiczne. Co ważne, skutki kryzysu klimatycznego rozkładają się nierówno. Kraje centrum, które najbardziej się do niego przykladają, w mniejszym stopniu ponoszą jego konsekwencje. Z przyczyn wewnętrznych nie chcą oczywiście wziąć na siebie odpowiedzialności. Na kryzys klimatyczny powinniśmy patrzeć nie tylko przez pryzmat zmian samego klimatu, ale także poprzez narastające problemy społeczne.

Gospodarka zdominowana przez wielkie korporacje wymyka się demokratycznej kontroli. Czy w takiej sytuacji możemy z optymizmem patrzeć w przyszłość?

Neoliberalizm nie lubi demokracji. Unia Europejska w obecnym kształcie cierpi na ogromny deficyt demokratyczny. A to wszystko w imię skuteczności ekonomicznej, redukowanej do skuteczności finansowej. Przy czym skuteczność ta rozumiana jest bardzo partykularnie, jako realizacja interesów bardzo wąskich grup. To jest bardzo poważny problem, który ma oczywiście swój odpowiednik w krajach globalnego południa. Tyle że tam przekada się to na daleko bardziej posuniętą erozję demokracji, widoczną na większej liczbie poziomów życia społecznego. Nie tylko jeśli chodzi o demokratyczne procedury podejmowania strategicznych decyzji, ale życie tych społeczności. Stąd dzisiaj mamy paradoks. Formalnie demokracja jest w większości krajów na świecie, ale realnie jej nie ma. Dominuje dyktatura ekonomiczna. Posługuje się ona formą demokratyczną, chociaż w gruncie rzeczy przekształcona jest już we władzę oligarchii.

Przemysław Wielgosz – Redaktor naczelny polskiego wydania *Le Monde diplomatique* i serii książkowych *Biblioteka Le Monde diplomatique* oraz *Biblioteka Alternatyw Ekonomicznych*. Jest autorem książki *"Opium globalizacji"* (Warszawa 2004), redaktorem i współautorem książki *"Koniec Europy jaką znamy"* (Warszawa 2013) i *"TTIP – pułapka transatlantycka"* (Warszawa 2015) oraz współautorem książki: *"Media i władza"* (Warszawa 2006), *"Zniewolony umysł 2"* (Kraków 2007), *"Futuryzm miast przemysłowych"* (Kraków 2007), *"Na okrągło 1989-2009"* (BWA Wrocław, Kraków/Wrocław 2009), *"Afirmacja czy kontestacja? Dylemat społeczeństwa kapitalistycznego w kryzysie"* (Bielefeld 2014).

MARKS NAPISAŁ WIELE KART ZIELONYM ATRAMENTEM

ciąg dalszy ze str. 2.

Jak później rozwijała się ekonomiczna refleksja nad ekologią?

Niemal wszystkie te pozytywne trendy teoretyczne uległy zahamowaniu, a nawet odwróceniu z chwilą zapanowania paradygmatu ekonomii neoklasycznej, która – wbrew swej nazwie – więcej ma wspólnego z ekonomią wulgarną, jak Marks i Engels trafnie określali zdroworozsądkowe, najczęściej powodowane różnymi pozamerytorycznymi przesłankami, potoczne wyobrażenia o gospodarce, niżli z ekonomią klasyczną Ricardo i Smitha.

Ekonomia neoklasyczna uważana jest tymczasem za podrechnikowy wzorzec naukowe podejścia do gospodarki...

Wniosek ten podpira się najczęściej przesłankami formalnymi: wysokim stopniem zmatematyzowania, o jakim mogą jedynie marzyć inne nauki społeczne. Ale poskrobmy nieco, a pod formalną czy też formalistyczną – jak by na pewno powiedzieli zwolennicy szkoły austriackiej – pozłotą kryją się komunały i iluzje na temat samorównoważającego się rynku, doskonałej konkurencji i inne podobne platońskie byty, jednym słowem obraz tego, jak mały Kazio wyobraża sobie strukturę i funkcjonowanie gospodarki. Banal czy fałsz odziany w szatę logiki formalnej lub rachunku różniczkowego nie przestaje przez to być twierdzeniem banalnym bądź fałszywym.

Na czym więc polega problem z ekonomią neoklasyczną?

Centralne znaczenie ma fakt pominięcia przez modelowe ujęcie neoklasyczne tzw. efektów i tym samym kosztów zewnętrznych, w tym dotyczących oddziaływania na środowisko. Podam tu prosty przykład. Zaliczenie na konto producentów ropy i innych paliw kosztów, jakie ponosi całe światowe otoczenie z tytułu rekompensowania skutków ich działalności, wystarczyłoby do tego, aby zmienić oblicze świata takiego, jakim go znamy. Cena ropy, a za nią i benzyny musiałaby się wówczas bowiem podnieść – odzwierciedlając po raz pierwszy rzeczywisty społeczny rachunek wytwarzania danych paliw. Tym samym przesunęłyby to jeszcze bardziej szalę na korzyść „zielonych” źródeł energii: siły wiatru, energii słonecznej itp., które i tak w ciągu ostatnich lat zyskują niepomniernie na atrakcyjności; dość powiedzieć, że w ciągu stosunkowo niedługiego odcinka czasu ceny owej energii ze źródeł niekonwencjonalnych zmalały o połowę. Są to przy tym dziedziny nauki- i pracochłonne, co oznacza, iż stanowią skuteczne generatory miejsc pracy.

Czy świadomość tych mechanizmów ma jakiś wpływ na decyzje polityczne?

Idee te z trudem i w różnym stopniu przebijają się do świadomości decydentów gospodarczych w różnych krajach.

Obecny prezydent USA uczynił prezesa największego koncernu

naftowego Exxon-Mobil ministrem spraw zagranicznych w swoim rządzie. No cóż, będziemy mogli dzięki temu przekonać się doświadczalnie, na ile prawdziwe jest popularne ongiś hasło: „Co jest dobre dla General Motors, jest dobre dla Ameryki”. Trump zobowiązał się też wobec swojego często robotniczego lub bezrobotnego elektoratu, że doprowadzi do odrodzenia w USA wydobycia węgla. Clinton chciała kopalnie zamykać, a ludziom znaleźć inne zatrudnienie, podczas gdy jej zwyczajny rywal odwrotnie – chce otwierać nowe.

Przekonamy się, na ile rzeczywiste posunięcia będą odpowiadały tym deklaracjom, ale pewne inne fakty kazałyby je traktować raczej serio. Stany Zjednoczone zamierzają np. wycofać się z udziału w niedawno podpisanych umowach paryskich, które mimo swych słabości stanowią pozytywny krok na drodze do łagodzenia (bo o ich likwidacji marzyć na razie nie można) szkodliwych dla środowiska skutków wzrostu gospodarczego.

Wzrost gospodarki to wieczny „ruchomy cel”, jaki stara się zrealizować społeczeństwo, nigdy go w praktyce nie osiągając. Tak jak w słynnym paradoksie Zenona z Elei: kiedy zając zbliży się dostatecznie do żółwia, ten posuwa się znowu o krok, i znowu powstaje potrzeba nowego celu do wytyczenia i kolejnej za nim pogoni. Wzrost stanowił dotąd i wciąż w znacznej mierze stanowi nadal jeden z niezachwianych pewników teorii, polityki i praktyki gospodarczej.

Ostatnio pojawiła się jednak idea zerowego, a nawet ujemnego wzrostu.

Wspomniane naruszenie równowagi ekologicznej, połączone z „buntem konsumenta”, antymaterialistycznymi i, przynajmniej implicite, antyburżuazyjnymi nastrojami klas pracowników, zwłaszcza intelektualnych, stanów młodzieżowych itp., doprowadziły do wyłonienia się interesujących inicjatyw w nurcie ekonomii teoretycznej. Nie tylko działacze ruchu konsumenckiego czy ekologicznego, ale również niektórzy przedstawiciele nauk społecznych coraz śmielej zaczęli promować ideę zerowego wzrostu.

To tylko papierowa koncepcja, czy są już jakieś próby realizacji?

Czy naprawdę Japonia, pogrążona – wedle obiegowej diagnozy – w długoletniej stagnacji gospodarczej oraz podlegającą fluktuacjom otoczkę – otoczkę niewielkiego do niedawna udziału kobiet na rynku siły roboczej oraz przywiązania do własnej swoistości idącego tak daleko, że praktycznie wykluczają-



Ilustracja za zgodą Erica Rudera z SocialistWorker.org

cego jakkolwiek bardziej masową migrację. A byłaby ona wskazana z powodu rysującego się składu demograficznego ludności, też skądinąd będącego świadectwem niebywałego sukcesu, a nie klęski tego społeczeństwa, w którym żyje stosunkowo najwięcej ludzi w podeszłym wieku. I tych emerytów pełno na pokładach rozmaitych luksusowych liniowców, odbywających wycieczki po wszystkich krajach świata – co raczej nie dowodzi ich finansowej nędzy.

Kiedyś był taki pomysł, że Polska mogłaby być „drugą Japonią”. Wydaje się jednak, że ten model nie jest łatwy do skopionania, każdy kraj ma własną specyfikę.

Oczywiście, twierdzenie powyższe trzeba ujmować w odpowiednim kontekście. Zróznicowanie to musi dotyczyć również samego zbioru społeczeństw wysoko rozwiniętych, bo bynajmniej nie wszystkie dają się podciągnąć pod jeden strychulec. O ile gospodarka USA opiera się przede wszystkim na rynku wewnętrznym, to niemiecka stanowi model gospodarki nastawionej na eksport, a sami Niemcy na pewno nie należą do przodowników w rankingu konsumpcji; wymowny jest niechętny stosunek ludności do kart kredytowych, bez których trudno sobie wyobrazić funkcjonowanie gospodarki amerykańskiej.

Niemcy dostarczają również bodaj najbardziej pozytywnego przykładu polityki ekonomiczno-ekologicznej. Japońska Fukushima tak zraziła Niemców do elektrowni jądrowych, że nie tylko nie wybudowano odtąd w RFN żadnej

nowej elektrowni atomowej, ale pozamykano wszystkie dotychczas istniejące. Wycofując się także z węgla jako paliwa energetycznego, w zamian Niemcy najbardziej konsekwentnie realizują model gospodarki opartej na niekonwencjonalnych źródłach energii.

A gdzie na tej mapie sytuuje się Polska?

Polsce bliżej niestety do USA (zwłaszcza tych idealnych, w przyszłości wyczarowanej przez charyzmatycznego [?] przywódcę) niż do zachodniego sąsiada. Przez lata socjalizacja w Polsce obejmowała pewnik, iż „Polska węglem [z ewentualnym dodatkiem siarki] stoi”. Socjologicznym przedłużeniem tego aksjomatu był i jest nadal górnictwo, bardzo bojowy oddział klasy robotniczej, z którym nie chce zadzierać żaden polityk. I tak to się toczy, metodą kopania puszki po piwie brzegiem drogi, małymi, stopniowymi kroczkami, które podobno mają nam zagwarantować realizację unijnych dyrektyw w tej mierze. Na razie zatem łączy się kopalnie, dając załogom gwarancję zatrudnienia, zamiast jej zamykać. Czy zrekompensują ten brak zdecydowanych posunięć w tej gałęzi bardziej podobno przyjazne środowisku technologie, wdrażane w rodzimym przemyśle węglowym?

Naturalnie z punktu widzenia socjologa nie można nie dodać, że rady o zamykaniu zakładów smrodzących, dymiących itd. łatwo się wypowiada, ale realizuje o wiele trudniej. Nie tylko z racji jakiegoś oportunistycznego polityków. Górnictwo węgla kamiennego stanowi szczególnie dobitny

przykład roli środowiska pracy w zadzierzgananiu silnych więzi społecznych. Tak, praca górnik jest ciężka, ciągle niebezpieczna, a mimo to ludzi tych trzyma pod ziemią przywiązanie do swojej klasy, jej pięknych i długich tradycji, całej narosłej obyczajowości ze swoistym dialektem na czele.

Zamykanie kopalń kojarzy się w Polsce z brutalną polityką Leszka Balcerowicza i Jerzego Buzka.

Utrata takich miejsc pracy może być wynikiem decyzji technokratycznej. W Polsce już raz mieliśmy u steru rządów rzekomo technokratyczną ekipę Leszka Balcerowicza. Z wiadomymi rezultatami. Jeśli technokratyzm ma oznaczać bezstronną fachowość, to w odniesieniu do Leszka Balcerowicza oba te określenia można i należy zakwestionować.

Jak zdradził doradca Tadeusza Mazowieckiego, Balcerowicza obsadzono w roli naczelnego „prywatyzatora” i „reformatora” nowo powstałej Rzeczypospolitej, kierując się tylko jedną jego cechą. I nie była to znajomość ekonomii, tę w stopniu co najmniej jednakowym posiadał cały zastęp innych ekonomistów w kraju. Podstawową zaletą Balcerowicza z punktu widzenia drastyczności zadania, jakie miano mu postawić, był osli upór, przekładający się, można uzupełnić, na kompletny brak społecznej, socjologicznej wyobraźni. Tylko ktoś taki mógł się zdecydować na – i przeprowadzić bez drgnienia oka – strategię rozbicia nienawistnych PGR-ów.

ciąg dalszy na następnej stronie

ciąg dalszy z poprzedniej strony

Ironicznie można powiedzieć, że tzw. reformy Balcerowicza z pewnego punktu widzenia wdrożono zbyt wcześnie; gdyby w tym czasie panowała już moda na ekologię, wówczas rodzimy „terminator” mógłby się powołać, jako pretekst do zamykania „socjalistycznych sowchozów”, na ciężkie brzemię, jakim kładzie się na środowisku wielkostadnie, zindustrializowane rolnictwo i hodowla, będąca w szczególności wybitnym producentem metanu.

Czy to znaczy, że w polskich warunkach „wolny rynek” i ekologia są naturalnymi sojusznikami?

Pokazowych epizodów ekologicznych związanych z dziejami rodzimej prywatyzacji należy szukać gdzie indziej. Ot, choćby w prowadzonej przez długie lata bezkarnie szkodzącej środowisku naturalnemu działalności senatora Stokłosy, a jeszcze wyraźniej w podobnie bezczelnych działaniach polskiego „króla żelazny”. Rzecz jasna, moja uwaga wyrażająca żal, że w epoce Balcerowicza nie było jeszcze „zielonej mody”, była żartobliwa. Mieliliśmy w kraju wystarczająco wielu naukowców i ekspertów, zdolnych przewidzieć odbijające się na środowisku skutki podjęcia lub zaniechania określonego typu aktywności gospodarczej.

Transformacja oznaczala nie tylko zamykanie fabryk i prywatyzację, lecz również oparcie rozwoju kraju na bezpośrednich inwestycjach zagranicznych. Jak wpłynęło to na warunki ekologiczne?

A jak z tego punktu widzenia przedstawia się bilans korzyści zrodzonych przez inwestycje w kraju kapitału obcego? Wdrażane w polskich filiach technologie stanowiły w najlepszym wypadku rozwiązania typu „second best”, tzn. nie były to rozwiązania pierwszej świeżości, które mogłyby stanowić realną konkurencję dla zagranicznego „dobrodziejstwa”. To ostatnie wyrażenie ma charakter ironiczny; spróbujcie, Czytelnicy, przymierzyć je np. do aktywności zagranicznych inwestorów w naszym przemysle drzewnym. I ogólniej, zło raczej niż dobroczynienie przejawiało się pod wieloma postaciami: m.in. zamykano polskie ośrodki naukowo-badawcze, hamując na lata, miast rozwijać, nauki stosowane, praktyczne i wdrożeniowe, nie mówiąc już o badaniach podstawowych.

Polskim dotąd przedsiębiorstwom narzucano zagranicznych kooperantów, wygaszano takie ich części, które stwarzały ryzyko konkurencji dla spółki macierzystej. Generalnie, miast radykalnej modernizacji, dzięki której mieliśmy doganiać Europę i świat, obcy właściciele przeprowadzali najchętniej płytkie, bezinwestycyjne usprawnienia w celu poprawy wydajności pracy: szczególnie mobilizowano rezerwy kryjące się w lepszej organizacji procesu pracy oraz wzmożeniu dyscypliny, do czego dołączyły wszelkie inne metody wyciskania wartości dodatkowej, wartości, której znikomy ułamek pozostawał w kraju: w formie akumulacji, tj. reinwestycji zysków, pracowniczych płac, podatków.

Zagraniczni kapitaliści opanowali w stopniu prawie doskonałym sztukę wytransferowywania zysków z Polski na własne konta bankowe; jednym ze standardowych narzędzi tego procederu były ceny transferowe. W rezultacie pojawiały się takie „dziwożony”, jak znane na świecie koncerny, które u nas w kraju jakby zapomniały, jak się robi biznes. Tak przynajmniej wynikało z ich ksiąg i składanych sprawozdań. Robiące bokami, wpadające jedno

za drugim pod kreskę, nieszczęśliwe te przedsiębiorstwa nie zyskiwały, lecz straty. Kto głupi, niechaj wierzy.

Pamiętam, że w latach 90. mówiło się, że zagraniczni inwestorzy pomogą nam „dogonić Europę”.

Inwestycje te utrwaliły, miast je przeobrazić, miejsce Polski w międzynarodowym procesie pracy i produkcji. Nasz kraj obsadzono tam w roli manufaktury Europy, roli, jaką graliśmy z największym zaangażowaniem, na jakie nas było stać. Do tej pory słyszy się argument, że podstawowa zaleta inwestowania w Polsce to tania siła robocza. Tak weszło to w krew, że przetrwało do wieku XXI, ery sztucznej inteligencji. Ale aby powtarzać te ideologiczne banialuki, żadna – naturalna czy sztuczna – inteligencja nie jest potrzebna. Wręcz przeciwnie. Uruchomienie tej mentalnej władzy natychmiastowo zamknęłyby usta piewcom walorów taniego polskiego robotnika.

A jak oceniać z tego punktu widzenia „plan Morawieckiego”?

Opublikowany właśnie długofalowy plan ministra Morawieckiego zakłada cele tak ambitne, że aż strach pomyśleć, co się stanie, gdy te mrzonki faktycznie się ziszczą: dogonienie europejskiej średniej w ciągu iluś tam lat. Autor strategii tak jakby przejął efekty czy wyniki rozwoju azjatyckich „tygrysów”, wszelako bez szczegółowej specyfikacji instrumentarium nieodzownego do osiągnięcia owych celów. Ogólne powoływanie się na „aktywną rolę państwa”, co się naszemu PiS-owi w modelu azjatyckim najbardziej podoba, nie wystarczy.

Czego więc brakuje?

Nie ma tu mowy o „kapitalizmie dla interesariuszy”, o stosunku do robotnika jako kluczowego członka procesu produkcji, o kółkach jakościowych, oddolnym ruchu wynalazczym, albo pochodzących z pokrewnego modelu nadreńskiego kapitalizmu radach zakładowych – kluczowym filarze niemieckiego pokoju klasowego, jaki leży u podstaw ich „cudu gospodarczego” i wszelkich późniejszych sukcesów. Podobno autorami planu było kilkaset osób; tyle że za robotę miano im zapłacić (niemal), nie dając nijakiej gwarancji, że cokolwiek z tej twórczości zostanie wykorzystane w końcowym opracowaniu. Tak że nie wiadomo, czy planu nie napisał na kolanie np. dwóch zaufanych ekonomistów partyjnych-rządowych. W tym patrymonialnym królestwie nic dziwić wszak nie może.

I już zupełnie na koniec: jednego, czego ministrowi nie należy życzyć (co nie znaczy niestety, że stać się nie może) to wpadnięcia w pułapkę zastawioną przez Zenona z Elei: zającowi wydaje się, że biegnie szybko, szybkiej od żółwia, ale każdorazowo, gdy jest już w połowie drogi, jaka dzieli go od tego powolnego płaza, żółw robi mały kroczek naprzód. I wszystko na nic.

.....
Jacek Tiffenbrun - profesor zwyczajny Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu o specjalności socjologia gospodarki i struktury społecznej, socjologia ogólna. Autor ponad 300 publikacji naukowych, m.in. Z deszczu pod rybną: meandry polskiej prywatyzacji (2007), Gospodarka w społeczeństwie. Zarys socjologii gospodarki i socjologii ekonomicznej w ujęciu strukturalizmu socjoekonomicznego (2012), Kolonizacja nauki i świata przez kapitał. Teoria światów równoległych w wydaniu socjologii wiedzy (2014), Concepts of Capital: The Commodification of Social Life (2014)



Public domain, Wikimedia Commons

NIE MA JEDNEGO ROZWOJU



O powstawaniu wskaźników rozwoju i ich wpływie na rzeczywistość z dr Kubą Krysiem rozmawia Jan Chudzyński

W jaki sposób wskaźniki używane do mierzenia poziomu rozwoju mogą wpływać na rzeczywistość?

Wskaźniki są narzędziami. I tak jak pilot dzięki nim jest w stanie bezpiecznie pilotować samolot, tak wskaźniki pomagają decydentom. To, jaką rzeczywistość kreują decydenci, zależy więc od narzędzi, którymi się posługują. Na razie posługują się głównie narzędziami skupiającymi się na wzroście gospodarczym, ewentualnie czasem ktoś zerknie na HDI (Human Development Index), czyli narzędzie, które oprócz wzrostu gospodarczego mierzy jeszcze długość życia i poziom edukacji. A jeśli podsunie im narzędzie, które jest uwrażliwione na inne kwestie, to mam nadzieję, że zaczną to odpowiednio zmieniać rzeczywistość.

No właśnie, mylimy rozwój z rozwojem gospodarczym, a ten z kolei ze wzrostem gospodarczym...

Błędnie je utożsamiamy. Warto zastanawiać się nad różnymi celami rozwoju oraz ścieżkami, które do tych celów prowadzą. Jeżeli decydenci i decydentki utożsamiają wzrost gospodarczy z podnoszeniem poziomu szczęścia czy poprawą jakości życia, to nie do końca trafnie to diagnozują. Od wielu lat wiemy, że wzrost PKB tylko trochę podnosi szczęście, i też tylko do pewnego poziomu.

Warto zacząć się zastanawiać, co jest celem rozwoju, a co jest środkiem, drogą do danego celu. Jeśli celem ma być podniesienie materialnego poziomu życia, to być może wzrost ekonomiczny jest jakąś (choć na pewno niewystarczającą) drogą do tego, ale czy to jest jedyny cel? Może są inne cele? No i jakie są koszty poszczególnych dróg?

I dlatego od lat 70-tych XX wieku PKB jest pod ostrzałem. Przez ten czas pojawiło się sporo wskaźników, których celem jest mierzenie rozwoju, a ty jesteś jednym z autorów kolejnego. Moim zdaniem jest w nim coś szczególnego, przyjęliście zupełnie inną logikę.

Tak. Trzeba zacząć ważyć cele preferencjami społeczeństwa.

Przejawia się to w tym, że to nie twórcy tego wskaźnika decydują o tym, co jest ważne, najważniejsze i w których sferach powinniśmy dokonać tej maksymalizacji.

Tak. Chodzi o zrelatywizowanie kulturowe tego, czym ma być rozwój i jak ma być mierzony, lub, inaczej mówiąc, o ważenie ścieżek rozwoju preferencjami społecznymi. To chyba najprostszy opis tej idei.

Dotychczas istniejące indeksy włączają koszty środowiskowe do PKB lub tak jak w przypadku HDI – próbują uwzględnić dodatkowe aspekty życia.

Przyjęty w Butanie i stosowany tam w planowaniu rozwoju tzw. wskaźnik szczęścia Narodowego (Gross National Happiness) uwzględnia 33 aspekty życia i łączy je w jeden wskaźnik. Każdy z tych indeksów przyjmuje jednak, że wszystkie społeczeństwa mają dokładnie ten sam zestaw celów rozwoju, że wszyscy z tą samą intensywnością te cele rozwoju życzą sobie realizować i podążają tą samą drogą ich realizacji. Tu nie ma zróżnicowania na różne społeczności, na społeczeństwa.

Z kolei nasz zespół proponuje, żeby jednak zacząć myśleć, że warto różnicować. W przypadku wskaźnika HDI, który jest średnią geometryczną trzech składowych, proponujemy zabieg sprawiający, że będzie on kulturowo wrażliwy. Wystarczy zrobić średnią geometryczną ważoną preferencjami społeczeństwa. To jest proste do zrobienia, tylko trzeba znaleźć odpowiednie wagi, odpowiednio je zmierzyć.

Jak działa ten zabieg ze średnią ważoną?

Idea jest taka, żeby wszelkie wskaźniki, które miałyby służyć do mierzenia rozwoju społecznego, zacząć uwrażliwiać na zróżnicowanie kulturowe, preferencje rozwoju. Czyli na przykład jeśli w społeczeństwie A 70% ludzi chciałoby żeby skupić się na rozwoju gospodarczym, a 30% ludzi wolałoby skoncentrować się na rozwoju duchowym, a w innym społeczeństwie proporcje są odwrócone, to twierdzę, że warto by zacząć konstruować wskaźniki tak, żeby to odzwierciedlać. Czyli w społeczeństwie A 70% wagi przyłożyć do rozwoju ekonomicznego, a 30% do duchowego, a w społeczeństwie B odwrotnie. Tak?

OK. Czyli tak naprawdę dla każdego z krajów wskaźnik jest inny, bo inaczej są skonstruowane ze

względu na wagę poszczególnych celów. A skąd bierzecie dane o preferencjach społeczeństw?

Na razie bawimy się danymi zastanawiając, żeby próbować pokazywać, jak to może działać, ale to wszystko jest dopiero do opracowania. To jest praca na lata. Póki co posługiwaliśmy się wartościami skwantyfikowanymi przez Shaloma Schwartza, który zebrał dane z ponad pięćdziesięciu krajów. Ale wyszukujemy je też z innych źródeł.

Patrzę na ten pomysł jako coś, co może stymulować debatę nad wartościami, krytyczne spojrzenie na rzeczywistość. Ciekawi mnie, jeżeli chcesz się tym podzielić, jakie były motywacje waszych działań?

W latach 60-tych ONZ przyjęła rezolucję dekolonizacyjną, w której zapisano: *wszystkie ludy mają prawo do samostanowienia; na mocy tego prawa określają według własnej woli swój status polityczny i swobodnie rozwijają swoje życie gospodarcze, społeczne i kulturalne*. To wszystko, co się dzieje w dzisiejszym świecie, to jest trzecia faza dekolonizacji. W latach 60-tych była dekolonizacja polityczna, gdzie Afryka i Azja Południowo-Wschodnia zapęły się niezależnymi bytami politycznymi. Druga faza, nieudana, czyli dekolonizacja gospodarcza: prawie wszystkie kraje, które dawniej były koloniami nadal są pod silnym wpływem ekonomicznym dawnych „macierzy”. A teraz dekolonizacja kulturowa. Ryszard Kapuściński pisał, że dawniej będąc w Afryce czy Azji widywał pilotów głównie europejskich, na uniwersytetach europejskich profesorów, europejskie hotele, a w kioskach europejskie gazety. Jednak z czasem zaczęło się to zmieniać, pojawili się lokalni piloci, profesorowie i profesorki na uniwersytetach są już coraz częściej lokalni. Czyli zachodzi proces dekolonizacji kulturowej, i ja to sobie bardzo chwaleb.

Ta idea przywrócenia ludziom wolności i równości. To są być może zbyt szumne hasła, ale jeżeli pytasz o inspiracje, to gdzieś tam w tle coś takiego się pojawia.

Funkcja performatywna wskaźników, fajnie by było, żeby ona.

...przyniosła swój skutek zamierzony, żeby coś się zadziało. Świat zawsze się zmieniał, więc cieszymy się, że zaczynamy o tym pisać i cieszymy się, że to może wejść do dyskursu.

.....
Dr Kuba Kryś – bada naukowe ramy narzucane jednostkom przez kulturę, zawodowo realizuje się w Instytucie Psychologii PAN.

ROZWÓJ GOSPODARCZY I JEGO CENA



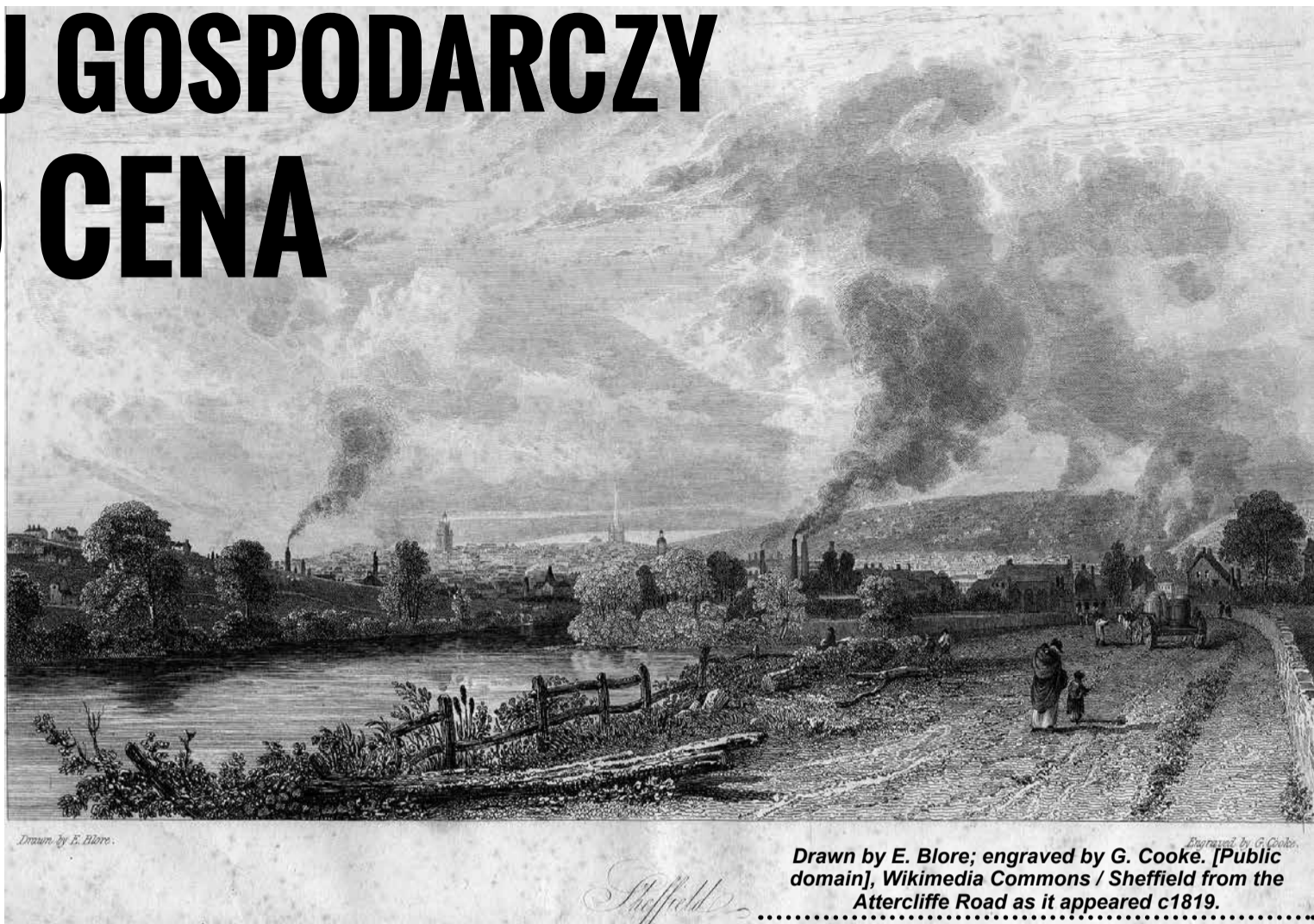
O gospodarce, społeczeństwie i środowisku naturalnym na przestrzeni wieków w redakcyjnej rozmowie z dr hab. Grzegorzem Myśliwskim.

Czy można powiedzieć, że początkiem rozwoju gospodarczego w Europie był XV wiek?

Wielki rozwój gospodarczy przeżyła Europa średniowieczna wcześniej, przede wszystkim w okresie od X–XI w. do początku XIV w. W Polsce zaczął się on później, w XII w., i trwał przez całą epokę. Natomiast to, czy wiek XV stanowił okres odrodzenia gospodarczego porównywalnego z najpomyślniejszym wiekiem XIII, było przedmiotem wielkiej dyskusji. Niektórzy twierdzili, że w XV w. trwała stagnacja po kryzysie wieku poprzedniego, jednak częściej przyjmuje się dzisiaj, że XV wiek był rzeczywiście okresem „odbicia” gospodarczego. Tu pojawia się oczywiście pytanie o skalę, bo nie mamy tak dokładnych danych, żeby obliczyć na przykład wzrost PKB. Dodatkowo trzeba pamiętać, że nie cała Europa Zachodnia przeżywa wówczas rozkwit, gdyż przez część XV wieku toczyła się choćby wojna stuletnia Francji z Anglią. Sądzę, że wiek XV jest najbardziej zagadkowym stuleciem z punktu widzenia historii gospodarczej średniowiecznej Europy.

Jak można scharakteryzować relacje, na jakich opierała się ówczesna gospodarka? Były to relacje feudalne, czy może protokapitalistyczne?

Może wyjaśnimy, co oznacza pojęcie „feudalny”, bo feudalizm to jeden z najbardziej wieloznacznych terminów w nauce. Budzi więc wiele kontrowersji, stąd pojawiały się nawet postulaty, by w ogóle przestać go używać. Jest jednak użyteczny i z powodu długiej tradycji stosowania stał się mimo intelektualnych ataków. W znaczeniu marksowskim oznacza on po prostu stosunki oparte na poddaństwie (głównie chłop–szlachcic), w przeciwieństwie do znaczenia alternatywnego, gdzie ta zależność wynikała z umowy lennej zawartej wyłącznie przez „ludzi miecza” (wojowników, później rycerzy o różnym znaczeniu). Status ludności w XIV czy XV wieku był oczywiście różny, czego dobrym przykładem są wsie na ziemiach polskich. We wsiach na prawie niemieckim chłopcy byli wolni osobnicie, mieli odrębny status prawny i podlegali pewnej zależności, ale raczej ekonomicznej. Mieli namiastkę samorządu w postaci ławy sądowej, no i rozliczali się na nowocześniejszych zasadach (dorczy czynsz zamiast wielu danin w naturze). We wsiach, które nie przyjęły prawa niemieckiego, działało się podobnie, z tą różnicą, że nie było namiastki samorządu, tylko sądownictwo pańskie. Chłopi w tych wsiach byli formalnie bardziej zależni od właściciela wsi. Natomiast pracownicy spółek handlowych w większych miastach,



Drawn by E. Blore.

Engraved by G. Cooke. [Public domain], Wikimedia Commons / Sheffield from the Attercliffe Road as it appeared c1819.

choć często tytułowali właściciela firmy „panem”, byli ludźmi wolnymi, członkami samorządnej gminy miejskiej, których obowiązywała indywidualna, na ogół niespisana umowa z właścicielem.

Czyli w tej kwestii sytuacja na ziemiach Polski nie odbiegała znacznie od warunków na zachodzie Europy?

W średniowieczu sytuacja ludności wiejskiej w Polsce była porównywalna do sytuacji chłopów na zachodzie i północy Europy. To zaczęło się zmieniać później. Klasyfikacja teza mówi o dualizmie społeczno-gospodarczym Europy i wykształceniu się jej podziału na dwie części mniej więcej wzdłuż rzeki Łaby. Wedle tej tezy na Zachodzie przetrwała wolność osobista chłopów, natomiast tutaj na „wschodzie” doszło do refeudalizacji, czyli po prostu do uzależnienia chłopów, których zmuszono do darmowej pracy w folwarku pańszczyźnianym. Jednak w ostatnich dziesięcioleciach ten podział poddaje się rewizji, zwracając uwagę na to, że część Europy na wschód od Łaby nie była jednolita, a wewnętrzne różnice były znaczne. W niektórych krajach (Czechy, część Węgier) przez długi czas przetrwały chłopskie gospodarstwa indywidualne, a nie folwarki. W związku z tym część historyków uważa wręcz, że ta tradycyjna teza o dualizmie gospodarczym Europy w okresie nowożytnym jest po prostu błędna.

Jak ten podział przekładał się na sferę materialną?

Różnice były widoczne już wcześniej, choćby pod względem cen. Europę łacińską dzieliła już nie na dwie, lecz na cztery strefy cenowe. Ten podział mówi także o możliwościach mieszkańców danej strefy. Europa Środkowa w XV wieku, łącznie z państwem krzyżackim, to strefa najniższych cen. Niemcy i Skandynawia miały już ceny wyższe, a reszta Europy Zachodniej była trzecią strefą – cen jeszcze wyższych. Z kolei Włochy i świat śródziemnomorski to strefa cen największych. Różnice w poziomie bogactwa widać także porównując kapitały największych spółek. Dla przykładu, największa firma

w Wrocławiu w XV wieku dysponowała kapitałem około 21 tys. florenów, spółka Diesbach & Watt ze Szwajcarii miała dwa razy większe zasoby, a kapitały Medyceuszów szły już w setki tysięcy florenów.

Te różnice w rozwoju gospodarczym z czasem doprowadziły do widocznego gołym okiem podziału na centrum i peryferie.

Pamiętając o podważaniu teorii o podziale Europy na dwie części, rzeczywiście zbyt generalizującej, rozwój przemysłu czy rzemiosła oraz handlu na Zachodzie przebiegał dynamicznie (także dzięki wielkim odkryciom geograficznym). Natomiast w Europie Środkowo-Wschodniej działało się inaczej. Kontynuowano to, co było w średniowieczu, niewiele rozwijano. Jeśli chodzi o podział na centrum i peryferie, to dodajmy, że peryferie nie były marginesem bez znaczenia, lecz stanowiły niezbędną część międzynarodowego systemu gospodarczego. Ziemie polskie odgrywały rolę jako eksporter głównie zboża, drewna, kopalni i niewiele więcej. Jedną z przyczyn takiego obrotu spraw oczywiście był uwiąd miast, który zaczął się od uzależnienia mieszczaństwa i miast od szlachty. Jej część na przełomie XV i XVI wieku przenosiła się do miast, by jeszcze aktywniej, bezpośrednio prowadzić handel, ale wskutek antymiejskich ustaw sejmowych w XVI w. ten trend ustał. Później zadowolala się eksploatacją swoich folwarków i poddanych, nie inwestując w inne dziedziny gospodarki. A w miastach prosperity skończyła się po XVI w. (wyjątkiem jest Gdańsk) i nie było komu inwestować, tym bardziej że mieszczaństwo miało zakaz nabywania dóbr ziemskich. To wszystko miało dalekosiężne skutki.

Jeszcze w XVI wieku sytuacja zdaje się wyglądać nieźle, ale gospodarka polska była, patrząc z punktu widzenia całej Europy, monokulturowa. Gdy kończyła się koniunktura na zboże, nie było za bardzo czym go zastąpić. Można było tylko bardziej wyzyskiwać chłopów, by nadrobić spadek koniunktury zwiększonym eksportem zboża. Ale i to przestało wystarczać.

Zresztą opowieć panu ciekawostkę. Dziennikarz poprosił kiedyś profesora Henryka Samsonowicza o ułożenie rankingu stuleci w dziejach Polski od najlepszego do najgorszego. Profesor Samsonowicz za najgorszy w dziejach Polski uznał wiek XVII, choć dawniejsza tradycja historiograficzna nazywa go „srebrnym wiekiem”. Oczywiście nie chodziło tu o zaprzeczanie polskim osiągnięciom w dziedzinie literatury, sztuki czy politycznej kraju w Europie, w sumie nadal znaczącej. Jednak zdaniem Samsonowicza był to okres, kiedy dzieje Polski zaczęły bieć w innym kierunku niż historia wielu krajów Europy Zachodniej. W części państw zachodnich następuje wówczas rozkwit nauki i kultury, również rozwój gospodarczy, czego sztandarowym przykładem jest Francja czasów Ludwika XIV w. A tu u nas właściwie ciągle wojny, fanatyczna kontroformacja, która choć mniej drastyczna i mniej okrutna niż w innych krajach, to kulturowo szkodliwa, bo tolerancję poprzednich stuleci i tę różnorodność kulturową właściwie zniszczyła. Również jej wpływ na edukację był fatalny. To wszystko składa się na początek długiej drogi do upadku Rzeczypospolitej.

A na zachodzie Europy już niedługo miał nastąpić przełom. Poza rozwojem gospodarki rewolucja przemysłowa miała jednak swoje negatywne konsekwencje dla ludzi i środowiska.

XVIII wiek to okres rewolucji przemysłowej w Anglii, no i oczywiście początek jej bardzo dynamicznego rozwoju. Przy czym zwróćmy tutaj uwagę za Witoldem Kulą na to, że był to jedyny kraj, gdzie te procesy na tak wielką skalę nastąpiły w sposób spontaniczny, naturalny. Wszędzie indziej rewolucja przemysłowa była narzucana odgórnie, po to, żeby po prostu Anglii czy rozwijającym się później innym krajom dorównać.

To oczywiście wpływało na życie ludzi w różny sposób. My postrzegamy rewolucję przemysłową nie tylko jako wielką transformację, ale też jako proces, który miał i swoją ciemną stronę. Oprócz wielu opra-

cowań przywołać tu można wstrząsające sceny z filmu Andrzeja Wajdy „Ziemia obiecana”, gdzie widać jak fabrykanci traktowali robotników. Rewolucja przemysłowa wiąże się też oczywiście z wielkim karcznikiem lasów i zmianami w krajobrazie naturalnym, z ogromnym wzrostem ludności miejskiej w stosunku do wiejskiej. Te rozrastające się miasta nie były czyste, czym są dzisiaj, to były brudne, cuchnące molochy. To rzeczywiście okres nieliczący się z niczym dzikiego kapitalizmu.

Wracając do dojrzałego i późnego średniowiecza, jaki wpływ na środowisko miała ludzka działalność w tamtym okresie?

Kolonizacja skutkowałą przekształcaniami krajobrazu naturalnego, wycinkami lasów na wielką skalę. Odkrycia kopalni prowadziły do powstania miast i budowy nie tylko kopalni, ale i zatruwających środowisko kuźnic i hut. Ale już w XIII wieku pojawia się pierwsza refleksja na ten temat, a w południowych Niemczech zaczyna się planowe zalesianie. W Austrii, w okolicach Salzburga, gdzie znajdowały się wielkie zasoby soli, do której warzenia potrzebowano masy drewna, zorientowano się, jakie są tego konsekwencje ekologiczne i zaczęto zalesianie. Niestety, w tym przypadku nie dało to dużych efektów, bo warzenie solanek wymagało ogromnych ilości opału. Z kolei w XIII wieku w Anglii zamiast węgla drzewnego próbowano stosować węgiel kamienny, ale w 1307 roku w Londynie zakazano jego stosowania, gdyż w czasie spalania dymiał, emitował fetor, i do tego jeszcze wolno się palił. Wrócono więc do węgla drzewnego. Do węgla kamiennego wrócono kilkadziesiąt lat później, gdy wykarczowano już tyle lasów, że drewna po prostu zabrakło... Słowem, rozwój gospodarczy miał swoją wysoką ekologiczną i społeczną cenę.

.....
Grzegorz Myśliwski – historyk, doktor habilitowany, adiunkt w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się historią gospodarczą, historią kultury średniowiecza i wczesnej nowożytności oraz społeczeństwami tradycyjnymi.

KU PIENIĄDZOWI PUBLICZNEMU



**Krzysztof
Lewandowski**

Wstrząsy gospodarcze, z jakimi boryka się świat, są rezultatem fałszywej doktryny. Doktryna ta opiera się na pojęciu niedostatku, któremu, jako ratunek przed nim, towarzyszy zalecenie pełnego zatrudnienia i jak największej produkcji, co ma owemu niedostatkowi zapobiegać.

Kłopot polega na tym, że ludzkie potrzeby są nieograniczone, zaś świat jest ograniczony, zwłaszcza w swoim przejawie biologicznym. Niszczenie lasów, przyrody, gatunków, naturalnych krajobrazów to pochodna coraz większej niedokonsumpcji tego, co się coraz wydajniej produkuje.

Zalew kultury powoduje, że dewaluują się dzieła, na które mamy coraz mniej czasu, aby je kontemplerować. Zalew tandety powoduje, że wyrzucamy na śmietnik prawie całkiem dobre pralki czy ciuchy. Nasze ograniczone możliwości konsumpcji sprawiają, że konsumpcja ta staje się płytka i powierzchowna, a niestrawione resztki zaśmiecają środowisko, redukując z niego życie biologiczne, czyli także nas.

Fałszywy obraz niedostatku (zamiast obrazu coraz większego nadmiaru dóbr nie w pełni konsumowanych) przekłada się na zgubny imperatyw produkcyjny. Mamy coraz więcej produkować, bo jest nas coraz więcej i każde z nas ma rosnące potrzeby – takie jest uzasadnienie dla tego imperatywu. Wyrazem owej filozofii "jeszcze więcej" jest PKB jako główna miara postępu. Jądrzem filozofii "jeszcze więcej" jest dziś korporacja. To ona, zajęta głównie zastępowaniem ludzi robotami, nakręca spiralę wydajności, ona rozrasta się i rozlewa po całej Gai niczym rak. Człowiek jest elementem coraz bardziej zbędnym, piaskiem w trybach korporacyjnej maszyny produkcyjnej, co wykazały niedawne doświadczenia, przeprowadzone w Chinach. Pełna robotyzacja nowoczesnej linii produkcyjnej spowodowała tam trzykrotne zwiększenie wydajności fabryki.

Antycypując niedaleką przyszłość, należałoby już dziś badać zagrożenia wynikające z tego, że poprzez eliminowanie ludzi z produkcji przez systemy sztucznej inteligencji już niedługo będzie można znaczenie zwiększyć tempo zrabowania środowiska na odpady, a ludzi na niewolników rosnącej niedokonsumpcji. Do tego w sposób nieuchronny prowadzi obraz niedostatku i zaszyty w nim imperatyw wykładniczego wzrostu gospodarczego, powiązany pętlą dodatniego sprzężenia zwrotnego z patologicznym modelem syste-

mu monetarnego, na którym opiera się funkcjonowanie współczesnego rynku.

Koroną gospodarki jest korporacja bankowa. To ona steruje procesem "jeszcze więcej" produkcji. Źródłem jej omnipotencji jest przywilej kreacji "z powietrza" kredytu, czyli quasi-pieniądza – środka transakcyjnego, nieodróżnialnego od pieniądza państwowego, tworzonego w każdym banku komercyjnym drogą operacji księgowej.

Możliwość tworzenia "z powietrza" kredytu wynika z zawężonej interpretacji Konstytucji RP przez twórców prawa bankowego. Słowo "pieniądz" z Konstytucji 1997 roku zostało w prawie

W wyniku przyznania komuś kredytu bilans banku powiększa się o kwotę kredytu, a do obiegu wchodzi nowy pieniądz, a raczej niby-pieniądz, będący produktem czystej księgowości. Ten niby-pieniądz, honorowany przez kartel bankowy na równi z pieniądzem gotówkowym, jest na rynku nieodróżnialny od pieniądza publicznego, emitowanego przez bank centralny.

Niby-pieniądz kredytowy, podszuwający się pod pieniądz konstytucyjny, to dziś główny, 85-procentowy składnik podaży pieniądza. Z jego niewielkiego pokrycia kapitałem realnym banków biorą się notoryczne problemy sektora finansowego, który my, obywatele, cyklicznie ratuje-

za zaleńcym (bo wykładniczym) tempem wzrostu gospodarczego.

Oddanie tego zadania bankierom to olbrzymia strata dla polskiej gospodarki, choć nie jedyna, która wynika z prywatnej kreacji ex nihilo quasi-pieniądza zwanego kredytem. Poprzez kreację pieniądza kredytowego środowisko prywatnych biznesmenów z sektora bankowego przejęło kontrolę nad podstawowym dobrem publicznym – pieniądzem. Koszty społeczne tego przejęcia kontroli są ogromne.

Dotkliwymi skutkami prywatnej kreacji pieniądza są bańki spekulacyjne, np. na rynku nieruchomości, i kryzysy, układające się w cykle koniunkturalne splecione z fluktuacjami podaży pieniądza. Straty gospodarcze obywateli na grach prowadzonych w finansowym kasynie – jak nazywa się miejsce "pracy" (a właściwie stacjonowania) pieniędzy spekulacyjnych tworzonych w prywatnych bankach – są trudne do oszacowania, choć wielkie. W Polsce dotyczą one między innymi właścicieli kredytów frankowych i polisokat, którzy dali się namówić na toksyczne instrumenty pochodne zawarte w kontraktach.

Dodatkowo, jak wynika z obliczeń niemieckiego ekonomisty Helmuta Creutza, skumulowana ilość od-

nie rzecz biorąc, kredyty są spłacane tylko wtedy, gdy stopa wzrostu gospodarczego jest wyższa od stopy kredytu.

Priorytetem elit bankowych, dążących do jak najwyższych wpływów z odsetek od zaciąganych kredytów, wybrukowane jest piekło światowej gospodarki. To dlatego, aby – w celu możliwości spłacania kredytów – rosło PKB, lodówki i żarówki psują się dużo częściej, niż powinny się psuć, samochody jeżdżą na dłuższych trasach, niż wynosiłoby to z racjonalnej organizacji lokalnych gospodarek, a środowisko zmagają się z postępującą degradacją i zaśmiecaniem go resztkami po coraz większej niedokonsumpcji.

Receptą na zahamowanie bezrozumnego niszczenia planety przez coraz wydajniejsze maszyny jest przede wszystkim odkłamanie ekonomii i zmiana systemu monetarnego na taki, w którym nie byłby zaszyty imperatyw wzrostu wykładniczego, który wcześniej czy później zniszczy każdy ekosystem. W systemie powinien być zaszyty imperatyw wzrostu jakościowego, a nie ilościowego.

Pieniądz umożliwiający przestawienie gospodarki na zero-wzrostową i proekologiczną, to pieniądz publiczny, emitowany w całości przez banki centralne lub banki komunalne, będące własnością lokalnych społeczności. W ramach reformy monetarnej, którą postulują ruchy Positive Money czy Vollgeld, obecny kredyt generowany przez banki komercyjne zostałby zastąpiony pieniądzem banku centralnego. Zysk z towarzyszącej tej transformacji pierwotnej emisji pieniądza w Polsce można szacować na 1,000 mld zł. To więcej niż cały nasz dług narodowy, od którego rok w rok płacimy bankom i instytucjom finansowym haracz oprocentowania w wysokości ok. 30 mld zł. [1]

Jak wykazują ekonomiści w najnowszych pracach, powstałych po 2008 roku, zastąpienie emisji kredytu, opartej na rezerwach częstkowych, emisją pieniądza w pełni publicznego, tworzonego wyłącznie przez bank centralny, doprowadziłoby do stabilizacji gospodarczej, eliminacji długu publicznego, zniknięcia kryzysów, panik bankowych i innych patologii, wynikających z dysfunkcji obecnego systemu monetarnego. Dokonanie tej reformy to zadanie dla nowych elit.

Przypisy:

[1] Kreowane przez siebie pieniądze bank centralny mógłby wprowadzać do obrotu bezpośrednio, poprzez wydatki własne czy np. dywidendę obywatelską, lub pożyczać (na procent) bankom komercyjnym.

Zysk z emisji (inaczej nazywany senioratem) byłby jednorazowy i dotyczyłby pieniądza bezdłużnego, emitowanego bezpośrednio na rynek, a nie pieniądza pożyczanego. Jakie proporcje przyjmie rynek bankowy po reformie, trudno dziś zgadnąć, zwłaszcza że emisja bezpośrednia przez NBP wymaga zmiany konstytucji. Wydaje się, że 1000 mld zł to górna granica senioratu do pozyskania przez NBP w okresie transformacji. Z dostępnej po polsku literatury na ten temat wymienię:

- 1) Sigurjonsson, F.; "Reforma monetarna", 2016
- 2) KPMG; "Emisja pieniądza", 2017
- 3) Werner, R.; "Straczone stulecie w ekonomii", 2016

.....
Krzysztof Lewandowski: mgr inż. środowiska, autor, publicysta, tłumacz, redaktor, wykładowca ekonomii społecznej, aktywista ekologiczny, członek stowarzyszenia Polska Sieć Dochodu Podstawowego.



Fot: Flickr.com / Richard Grandmorin

bankowym – a więc w ustawie niższej rangą od Konstytucji – zastąpione słowem "znak pieniężny", przez co wyłącznie do znaku pieniężnego (banknoty, bilon) zawężono prerogatywę kreacji pieniądza przez NBP. A znaku pieniężnego jest obecnie w pieniądzu 15%.

Jak powstaje pieniądz nie będący znakiem pieniężnym? W renomowanych podręcznikach ekonomii od stu lat faszeruje się studentów fałszywymi teoriami, z których wynika, że bank komercyjny udziela kredytu, czerpiąc środki na ten cel ze zdeponowanych wcześniej oszczędności innych klientów.

Niedawne publikacje Banku Anglii (2014), Deutsche Bundesbanku (Raport z kwietnia 2017 roku) czy najnowsze publikacje naukowe zadają jednak kłam temu twierdzeniu i wykazują, że kredyt tworzony jest przez banki komercyjne ex nihilo, "z powietrza". Żeby udzielić komuś kredytu, banki nie muszą mieć uprzednio żadnych pieniędzy zdeponowanych przez klientów. Kreacja nowego kredytu dokonuje się drogą księgową. Aktywa banku powiększają się o taką samą kwotę, jak pasywa, a zobowiązaniem spłaty kredytu staje się równocześnie czymś depozytem.

my z opresji pieniędzmi publicznymi – ku naszemu dalszemu samozatruceniu w tym wadliwym systemie.

Ostatecznego obalenia mitu o banku będącym pośrednikiem finansowym dokonał w roku 2015 prof. Richard Werner z Uniwersytetu Southampton w Wielkiej Brytanii, posługując się danymi austriackiego banku Raiffeisen. Wniosek z jego badań bankowości, po raz pierwszy prowadzonych metodą indukcyjną, jest jednoznaczny: bank komercyjny kreuje "z powietrza" nowy quasi-pieniądz za każdym razem, gdy udziela komuś kredytu. Tą drogą bilans banku wzrasta. Wzrasta też agregat monetarny szerokiego pieniądza M3, którym posługujemy się – my, obywatele, oraz firmy – na co dzień.

Wraz ze wzrostem gospodarczym odpowiednio powinna rosnać też ilość pieniądza. Jeśli gospodarke polską z PKB 1,8 bln złotych obsługuje 1,2 bln pieniądza, to wzrost o 3 proc. rocznie (1,8 bln zł x 0,03 czyli 54 mld zł) powinien spotkać się z proporcjonalną dodatkową emisją pieniądza, a więc 36 mld zł (bo 1,2 bln zł x 0,03 to 36 mld zł). Tyle nowego środka płatniczego powinno się rocznie wstrzykiwać do obiegu, aby nadażać

setek, uwzględniających wszystkie szczeble łańcucha produkcyjnego, a więc płaconych przez elektrownię dostarczającą fabryce prąd, przez dostawców surowców, podwykonawców, hurtowników i detalistów, waha się w zakresie od 30 do 70% ceny produktu finalnego.

Jeszcze trudniej jest oszacować straty wynikające z naruszenia tkanki społecznej, będącego rezultatem prywatnej kreacji i koncentracji kapitału oraz środków produkcji w rękach malejącej grupy bankowych elit. Pochodną prywatnej kreacji kredytu jest też mizéria nauk ekonomicznych, serwujących studentom fałszywe teorie monetarne, zaciemniające prawdziwy obraz powstawania pieniądza i uniemożliwiające naprawę systemu.

Jednak ignorancja ekonomiczna mas obserwujących degradację środowiska naturalnego i rosnące nierówności społeczne nie będzie trwać wiecznie. Nie tylko bowiem z ośrodków akademickich, ale także z ulic Zurichu, Amsterdamu czy Londynu płynie coraz donośniejszy głos wzywający do opamiętania i zmiany systemu bankowego na taki, który nie zawierałby w sobie imperatywu wzrostu gospodarczego, wymuszającego odsetkami od zaciąganych kredytów. Imperatyw ten bierze się stąd, że, teoretycz-

KOMU I PO CO POTRZEBNY JEST DŁUG?



Justyna
Szambelan

Powinności, pieniądze i długi

Nie da się mówić o kredycie i długu bez powiedzenia kilku słów o tym, czym jest pieniądź. Przed rozpowszechnieniem pieniądza metalowego i papierowego większość wymiany ludzie prowadzili po prostu z krewnymi i sąsiadami, w ramach wspólnoty. Zobowiązania jednych wobec drugich regulowały zasady społeczne, a nie rachunki. Taki system wykluczał sprzedaż czyjegoś zobowiązania obcej osobie – istniały powinności, ale nie długi. Te ostatnie pojawiły się dopiero z powstaniem pieniądza, który pozwolił po pierwsze określić wartość długu liczbowo, a po drugie przeniósł ciężar egzekwowania długu ze wspólnoty na zewnętrzną organizację przymusu – państwo.

W starożytności nie było rzadkością że człowiek ubogi, który nie dopełnił zobowiązań wobec innego obywatela, żeby spłacić dług musiał sprzedać nie tylko swój dobytek, ale też swoje dzieci, żonę i samego siebie w niewolę. Przez całe średniowiecze aż do nowoczesności ludzie, którzy nie mogli spłacić długu, trafiali do więzień, gdzie tkwili dopóty, dopóki ich rodzina nie uzbierała pieniędzy na spłatę. Oczywiście zamknięcie dłużnika w więzieniu nie zwiększa prawdopodobieństwa spłaty długu, często więc była to niewola z możliwością albo nawet koniecznością pracy. Dzisiaj wydaje się, że mamy mniej barbarzyńskie prawo, które nie pozwala rodzicom sprzedawać dzieci w niewolę ani zamykać dłużników w więzieniach. Musimy jednak pamiętać, że to twórcy i wykonawcy prawa ostatecznie określają, jakie są granice roszczeń wierzycieli.

Władza po stronie dłużników czy wierzycieli?

Niespłacony dług jest zawsze sporem wierzyciela z dłużnikiem. To władza rozsądza spór i decyduje o tym, kto jest „winny”, czyli kto musi ponieść koszt niespłaconej pożyczki. Do władzy należy również wyegzekwowanie tej decyzji środkami przymusu.

Zastanówmy się co by było, gdyby „winny” był co do zasady dłużnik – wtedy wierzyciele nie mieliby żadnej motywacji, aby sprawdzić, czy pożyczają pieniądze osobie zdolnej do spłaty pożyczki w przyszłości! Co gorsza, mieliby motywację, żeby każdym możliwym sposobem starać się wcisnąć kredyt komukolwiek, bo wiedzieliby, że państwoowy aparat przymusu zawsze stanie po ich stronie, aby pieniądze z odsetkami wyegzekwować z powrotem. Natomiast gdyby „winny” był co do zasady wierzyciel... wtedy każdy zastanowiłby się kilka razy, komu i na jakich warunkach pożycza pieniądze. Być może nawet nikt nie pożyczalby nikomu pieniędzy, bo dłużnik mógłby całkowicie bezkarnie ich po prostu nie oddać. Realnie obecna sytuacja w Polsce i na świecie jest jednak dużo bliższa tej pierwszej skrajności – cała odpowiedzialność ciąży na dłużniku, niezależnie od tego, czy wierzyciel wiedział od początku, że dana osoba ma niewielkie możliwości spłaty pożyczki.

Dług – dobry, zły czy efektywny?

W swoim gronie ekonomiści nie rozmawiają o długu jako o kwestii moralnej, ale jako o narzędziu pozwalającym na efektywne wykorzystanie środków. Z perspektywy ekonomisty dzięki kredytowi środki, które w przeciwnym razie leżałyby zgromadzone w sejfie, można udostępnić na potrzeby nowych

przedsięwzięć. Na studiach ekonomicznych uczy się przede wszystkim o kredycie inwestycyjnym, obudowanym narracją o akumulacji kapitału, rozwoju i wzroście. Kiedy pożyczamy środki na inwestycję, zamiar jest taki, żeby je pomnożyć. Z tych dodatkowych środków można więc następnie dług spłacić z korzyścią zarówno dla pożyczkobiorcy, jak i pożyczkodawcy – taka historia z happy endem wydarza się oczywiście często, ale happy end nigdy nie jest pewny. Każda inwestycja obciążona jest ryzykiem, a jeśli ryzyko się ziszczy, powstaje spór o to, kto zawinił.

Natomiast o kredycie konsumpcyjnym się nie uczy, bo nie ma on wpływu na realną gospodarkę, czyli na to, ile dóbr i usług faktycznie wyprodukujemy w gospodarce. Ma jedynie wpływ na to, czy osoba biorąca kredyt będzie mogła sobie na nie pozwolić dziś, za miesiąc, czy za rok. Skoro zaś kredyt konsumpcyjny nie prowadzi do pomnożenia środków, to nie ma z czego go oddawać.

Kredyt inwestycyjny

Pomyślmy więc na chwilę o kredycie inwestycyjnym – jeśli pozwala on na powstanie nowych przedsiębiorstw albo na wdrożenie nowych technologii, które przynoszą materialną korzyść, wtedy jest on efektywny. Zawsze pozostaje oczywiście pytanie: dla kogo efektywny? Jeśli są to technologie, które pozwalają właścicielom kapitału ograniczyć liczbę pracowników, to jest efektywny dla klasy posiadającej. Jeśli są to technologie pozwalające ograniczyć zanieczyszczenie środowiska, to jest on efektywny dla wszystkich.

Niestety kapitalizm nie zawiera mechanizmów, które oceniałyby, jak rozkładają się korzyści z danej inwestycji w społeczeństwie. Jedynym mechanizmem oceniającym, czy inwestycja się opłaca,

czy też nie, jest finansowa stopa zwrotu. Dlatego inwestycje w produkty zwiększające dobrobyt ludzi bogatych (np. kosmetyki, leki na choroby cywilizacyjne) są finansowane chętniej, niż inwestycje w produkty zwiększające dobrobyt ludzi biednych (np. leki przeciw malarii, tanie filtry do wody).

Kredyt inwestycyjny: finansjalizacja

Nie każda „inwestycja” realnie zwiększa jednak dobrobyt. Przyszliśmy się, że banki „inwestują” w papiery wartościowe albo waluty obce, chociaż te inwestycje nijak się mają do rozbudowy infrastruktury czy mocy produkcyjnych, a jedynie wykorzystują wahania kursów. Innymi słowy, nie ma znaczenia, czy przedsiębiorstwo wdraża jakiś przyszłościowy projekt, znaczenie ma, czy kupujący wierzy, że akcje tego przedsiębiorstwa pójdą w górę. W ten sposób giełda staje się kasynem oderwanym od rzeczywistości.

Co więcej, banki „inwestują” nasze pieniądze nie tylko w papiery wartościowe albo waluty obce same w sobie, ale też opcje, swapy, kontrakty terminowe... Współcześnie produkty finansowe są tak skomplikowane, że trudno ocenić stojące za nimi ryzyko (zwłaszcza jeśli agencje ratingowe mają interes, aby poświadczać nieprawdę!). A jeśli taka „inwestycja” okaże się bez pokrycia, wtedy z rynku wyparowują obiecane korzyści, które już zdążyły się zmaterializować w formie pieniędzy i kilkakrotnie zmienić właścicieli. Może to doprowadzić do kryzysu finansowego, jak np. w latach 2008/2009 w USA, kiedy to rząd musiał przekazać prywatnemu sektorowi ogromne kwoty, żeby oddalić groźbę załamania gospodarki. W ten sposób podatnicy zapłacili za niefrasobliwość banków przy udzielaniu pożyczek.

Kredyt konsumpcyjny

W odróżnieniu od kredytu inwestycyjnego – kredyt konsumpcyjny w ogóle nie ma wpływu na to, czy w gospodarce powstaną jakieś nowe dobra i usługi. Kredyt konsumpcyjny służy wyłącznie przesunięciu konsumpcji w czasie, tj. skonsumowaniu dóbr, zanim się na nie zarobi. Np. sfinansowaniu drogich studiów, które jesteśmy w stanie spłacić dopiero po kilkunastu latach pracy w dobrym zawodzie, albo kupieniu mieszkania, które jesteśmy w stanie spłacić dopiero po trzydziestu latach pracy.

Brzydka tajemnica kapitalizmu jest taka, że system ten potrzebuje kredytu konsumpcyjnego. Pomyślmy, co by było, gdyby developer musiał czekać trzydzieści lat, zanim uda mu się sprzedać mieszkanie – bo tyle potrzebuje przeciętny pracownik, żeby odłożyć na nie z pensji. Gdyby nie kredyt, kapitaliści nie mieliby komu sprzedać wyprodukowanych dóbr i nie dałoby się wygenerować zysku, a w każdym razie działałoby się to znacznie wolniej. Kredyt konsumpcyjny służy przyspieszeniu akumulacji kapitału.

Problem w tym, że przyszłość jest niewiadoma. Czy można być pewnym, że po studiach znajdzie się dobrą pracę? Czy można być pewnym, że przez kolejne trzydzieści lat będzie się miało dobrze płatne stanowisko? A co, jeśli nadejdzie recesja albo wydarzy się katastrofa ekologiczna? Kredyt jest igraniem z niepewną przyszłością. Koniunktura gospodarca albo zdarzenia losowe nie zależą od nikogo z osobna, można by się więc spodziewać, że ich koszty społeczeństwo będzie ponosić wspólnie. Obecnie jednak to na pożyczkobiorcy spoczywa odpowiedzialność za znalezienie pracy i płacy w recesji.

.....
ciąg dalszy na następnej stronie



ciąg dalszy z poprzedniej strony

Pożyczkodawca w trudnych czasach tak samo jak w czasach dobrych domaga się spłaty, a jeśli zarobków nie ma, może przejąć własność tych, którzy są recesją bezpośrednio dotknięci.

Kredyt konsumpcyjny: zniewolenie za długi

Po odkryciu Ameryk biedni ludzie, wiedzeni nadzieją na lepsze życie, zaciągali długi, aby dostać się do Nowego Świata, a po przybyciu na miejsce odpracowywali je, niestety przez wiele lat. Trudno nie dostrzec, że to samo dzieje się dzisiaj np. z Polakami, którzy zaciągają długi, żeby wyjechać do Wielkiej Brytanii pracować w magazynie albo do Włoch zbierać pomidory. Na miejscu okazuje się, że mają fatalne zakwaterowanie i wyżywienie, którego cena znacznie przewyższa ich niską płacę. Ten mechanizm wyzysku jest jeszcze bardziej rozpowszechniony w krajach rozwijających się. Organizacja Anti Slaveiry International udokumentowała sytuację w przemyśle produkcji cegieł w prowincji Pendżab w Indiach, gdzie migrantom ekonomicznym z uboższych części Indii oferuje się pożyczkę w zamian za pracę. Migranci nie otrzymują jednak gotówki do ręki, od hipotetycznej kwoty pożyczki odliczane są wyplaty, ale za to doliczane są kary za niewypracowanie wyśrubowanych norm. W ten sposób wkrótce tracą kontrolę nad swoim długiem. Co gorsza, dług przechodzi z pokolenia na pokolenie. W ten sposób zupełnie współcześnie ludzie wpadają w zniewolenie za długi.

Kredyt konsumpcyjny: gdzie zaczyna się oszustwo?

Jaka jest różnica między sytuacją, w której nieuczciwy pracodawca z zagranicy namawia do podjęcia pracy w niekorzystnych warunkach, a sytuacją, gdy sprzedawca namawia do pożyczki na nieko-

rzystnych warunkach? Albo do zakupu na raty garnków czy kołder, których cena jest absurdalnie wysoka? Efekt końcowy jest podobny: człowiek znajduje się w pętli zadłużenia, którego nie może spłacić mimo ciężkiej pracy. Osoby w pętli zadłużenia nęcane są przez windykatów i komorników, co realnie ogranicza ich wolność. Tak jak kilka wieków temu dłużnicy byli formalnie w więzieniu, ale umożliwiano im załatwianie swoich interesów lub pracę, tak i dzisiaj zadłużeni załatwiają swoje sprawy i pracują, ale dług dominuje nad ich życiem. Władza niestety najczęściej w takich sytuacjach nie interweniuje, a co gorsza staje po stronie nieuczciwych wierzycieli.

Proceder wciskania niekorzystnych pożyczek lub zakupów ratalnych jest znany z wszechobecných plakatów reklamujących „chwilówki” oraz natarczywych telefonicznych zaproszeń na pokaz różnych produktów. Ich sprzedawcy żerują w sposób oczywisty na ludziach, którzy mają trudności z rozpoznaniem oszustwa, jakim w istocie są te propozycje – albo dlatego, że mają ograniczone zdolności poznawcze (np. starszych, niewykształconych), albo na ludziach w sytuacji bez wyjścia. I oczywiście, jeśli chodzi o „chwilówki”, na ludziach biednych – takich, którzy nie mają nawet 1000 zł oszczędności (czyli środków na ok. pięć tygodni biologicznego przetrwania), bo takiego rzędu najczęściej są te pożyczki. Pożyczkodawcy argumentują, że „chwilówki” są przydatne, żeby utrzymać płynność finansową przy nieregularnych dochodach, a także są ratunkiem w przypadku nieplanowanych wydatków. Trzeba zapytać, czy ludzie, którzy balansują na krawędzi ubóstwa, powinni dodatkowo płacić pośrednikom finansowym haracz? Logika sprawiedliwości społecznej podpowiada, że dla osób w trudnej sytuacji poduszka finansowa powinna być bardziej przystępna. Natomiast według logiki kapitalizmu osobom najbardziej przypartym do ściany można narzucić najwyższe odsetki

i opłaty.

Myli się jednak ten, kto sądzi, że oszustwu ulegają wyłącznie osoby w złej sytuacji materialnej albo gorzej wykształcone. Jak wspomniałam wcześniej, współczesny system kapitalistyczny jest napędzany obrotem coraz bardziej złożonymi produktami finansowymi. Wnikliwa wiedza o ryzyku, jakie się z nimi wiąże, dostępna jest wyłącznie specjalistom, i nie ma na to rady. Stąd szerokie grupy ludzi w zawodach, które skądinąd wymagają dobrego wykształcenia i dają im dobre zarobki, gospodarując swoim majątkiem, muszą wspierać się doradztwem finansowym, najczęściej oferowanym przez banki. Tutaj tkwi jednak konflikt interesów – jak bank, którego interesem jest sprzedaż produktów finansowych, może rzetelnie doradzać klientowi? Często więc „doradztwo” sprowadza się do akwizycji produktów banku.

A gdyby tak skreślić wszystkie długi?

Wielu osobom marzyłoby się, żeby nadszedł dzień, w którym wszystkie długi zostaną unieważnione. Dłużnicy mogliby wtedy zacząć życie z czystą kartą. Jednak takie rozwiązanie w praktyce okazuje się nie tylko trudne do wprowadzenia, ale też niesprawiedliwe.

Gdyby zbliżająca się data unieważnienia długów była znana, wierzyciele zrobiliby wszystko, żeby odzyskać swoje należności przed jej nastaniem. Ze sporym wyprzedzeniem przestaliby też przyznawać kredyty w ogóle, a to zahamowało by prawdopodobnie rozwój wielu dobrze rokujących przedsięwzięć i odcięłoby wiele osób od gotówki potrzebnej w kryzysowych sytuacjach. A więc odpuszczenie długów musiałoby zostać ogłoszone niespodziewanie.

Oczywiście łatwo wyobrazić sobie gorycz tych, którzy akurat w przeddzień swoje długi spłacili, kosztem różnych wyrzeczeń. Od razy rozgorzałaby debata, czy sprawiedliwe

było, aby jednym zostało odpuszczone, a innym nie. Taki problem miał miejsce na Islandii. W latach kryzysu gospodarczego 2008-2009 wartość kredytów mieszkaniowych gwałtownie wzrosła, aż o 30%. Partia progresywna wygrała wybory z postulatem, że wartość kredytów należy skorygować w dół. „Korekta” została wprowadzona w życie w 2013 r. Objęła jedną czwartą populacji kraju, umorzono zostało w sumie 1,25 mld dolarów. Wyznaczono oczywiście datę graniczną i osoby, które wzięły pożyczkę przed tą datą graniczną, np. w 2006 r., nie skorzystały z umorzenia. Poza tym korekta objęła tylko kredyty mieszkaniowe, a nie np. kredyty studenckie.

Z podobnym problemem borykamy się w ostatnich miesiącach w Polsce. Kiedy wartość kredytów we frankach poszybowała w górę, pojawiły się inicjatywy pomocy frankowiczom. W mediach przetoczyła się kłótnia o tym, kto zwinął – banki, które nie informowały o ryzyku wzrostu ceny franka, czy może klienci, którzy podejmowali lekkomyślnie ryzyko? Odezwali się też ci, którzy wzięli kredyty w złotych i przez wiele lat spłacali wyższe odsetki. Czy to sprawiedliwe, że pomoc miałyby być udzielona tym, którzy podjęli bardziej ryzykowną decyzję i zyskiwali na niej przez kilka lat?

Oprócz problematycznej decyzji, komu przyznać pomoc, a komu jej odmówić, pozostaje jeszcze pytanie, kto za tę pomoc powinien zapłacić. Oczywiście każdy w pierwszym odruchu zakrzyknie, że banki. W końcu to one zyskiwały na odsetkach i spreadach. Ale gwałtowne obciążenie banków dużymi stratami może zdestabilizować system bankowy, tzn. sprawić, że banki gwałtownie będą wycofywać pieniądze z innych inwestycji i wstrzymywać się z udzielaniem kredytów. To powoduje recesję w gospodarce – mniej się inwestuje i produkuje, a wtedy znikają miejsca pracy, a nawet następują bankructwa firm, przy czym z systemu może wyparować sporo pieniędzy.

Np. jeśli bank był winny pieniądze naszemu funduszowi emerytalnemu, bankructwo oznacza, że nigdy ich nie zobaczymy. W ten sposób również mogą przepaść nasze oszczędności. Co prawda depozyty do 100 000 zł są ubezpieczone i zawsze je odzyskamy, ale te wyplaty obciążają Bankowy Fundusz Gwarancyjny, który nie jest nieograniczony. Żeby zapobiec upadkowi banków i tego konsekwencjom, państwo może dosypać bankom gotówki z budżetu, tylko że są to oczywiście pieniądze z naszych podatków, a te można by wykorzystać na inne cele. Czy to nam się podoba czy nie, problemy w systemie finansowym dotyczą całej gospodarki i każdego z nas.

Jaki z tego morał?

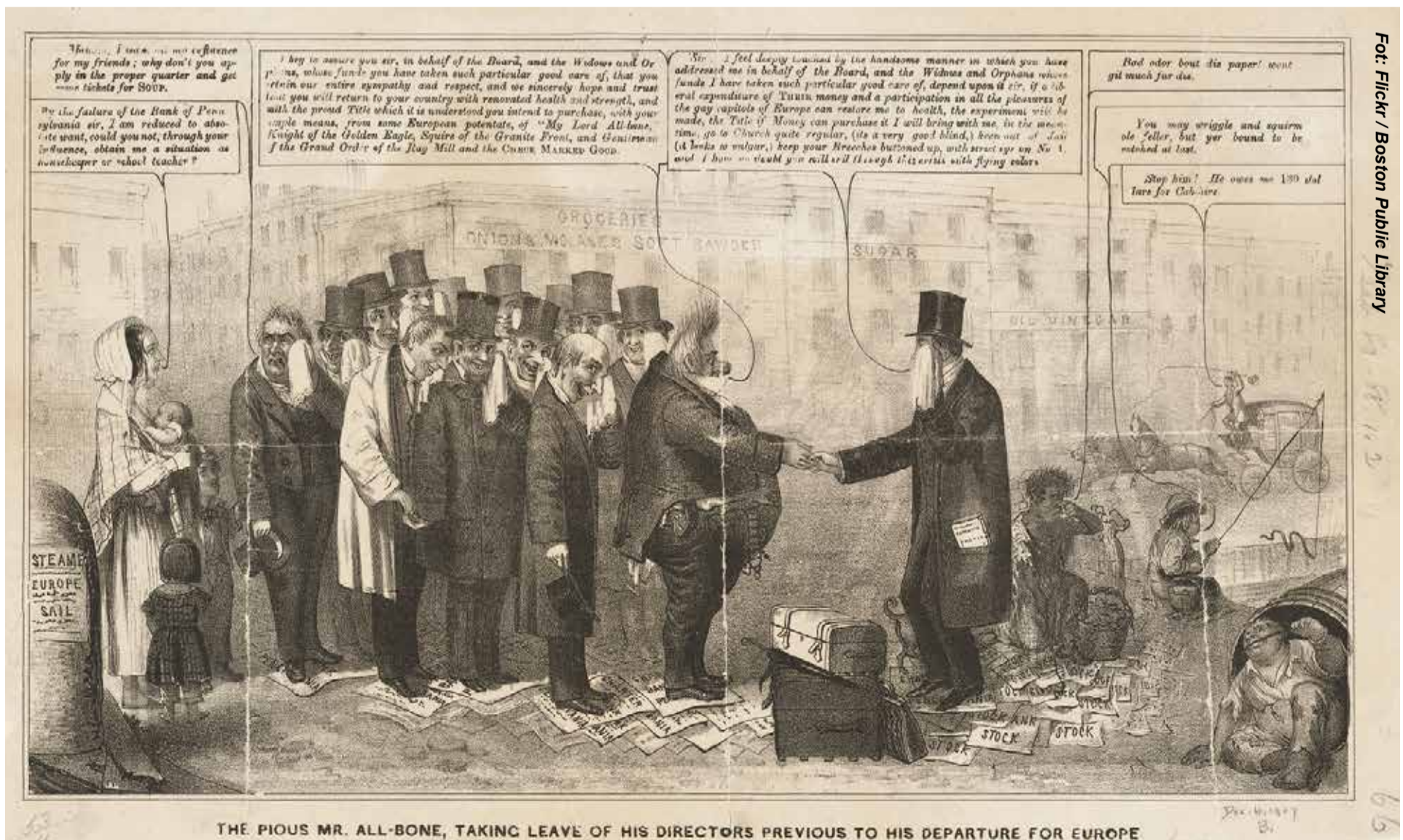
Z powyższych rozważań najważniejsze są dwie prawdy.

Po pierwsze, to władza, w więc współcześnie politycy, decydują o tym, gdzie są granice powinności dłużnika i praw wierzyciela. Zarówno udzielanie pożyczek na siłę lub podstępem, jak i bezwzględne ściganie dłużników, są przejawami niesprawiedliwego uprzywilejowania wierzycieli.

Po drugie, kredyt może służyć rozwojowi i społecznie pozytywnym celom i rolą kredytodawców powinno być dbanie właśnie o to – niestety większość z nich kieruje się tylko kryterium finansowego zysku. Jeśli zaś pożyczka przynosi odsetki, ale w żaden sposób nie powiększa zasobu realnych dóbr i usług, to jest ona wyłącznie zagarnięciem części istniejących zasobów przez właścicieli kapitału.

.....
Justyna Szambelan jest ekonomistką związaną z organizacjami pozarządowymi działającymi na rzecz odpowiedzialnych wzorców konsumpcji i produkcji oraz współpracy rozwojowej z krajami globalnego Południa.

Tekst pierwotnie ukazał się w zeszytach trzecim "Abc kapitalizmu"



Fot: Strajk dozorców w Santa Monica, USA / Autor: Steve Lyon / Wikimedia / CC BY-SA 2.0



STRZAŁKA CZASU I WALKA KLAS



Jarosław
Urbański

Wszystko ciągle się zmienia czy nic nie ulega zmianie? To jeden z socjologicznych dylematów, na jakie wskazuje Immanuel Wallenstein w swojej książce „Koniec świata jaki znamy”. Dotyczy on zagadnień przeobrażeń klasowych i walki klas. Czy klasy ulegają transformacji, czy też zasadnicze podziały pozostają trwałe? Konflikty klasowe nasilają się czy zanikają? A może zmieniają swoją formę? Jedni mówią, że mamy do czynienia z nową formacją - prekariatem. Inni argumentują, że coś takiego jak prekariat nie istnieje. Albo, że istniał zawsze, choć nie zawsze był tak nazywany.

Wszystko zależy od tego z jakiej perspektywy spojrzymy na problem i jaki cel ma nasza analiza. Oczywiście w swoich podstawowych formach walka klas trwa od wielu stuleci, a z ogółu społeczeństwa zawsze da się wyodrębnić antagonistyczne względem siebie klasy: rządzących i rządzonych, bogatych i biednych. Dla kogoś przywiązanej do haseł wolnościowych i egalitarnych, myśl, że hierarchiczne struktury władz i ekonomicznego ucisku pozostają tak trwałe, może być frustrująca.

Z dylematem „zmienia się – nie zmienia się” starano się porządzić na różne sposoby. Mówiono, że każda walka przybliży nas do upragnionego społeczeństwa bezklasowego, poprawia położe-

nie tamszonych klas; że rewolucja nie jest jednorazowym aktem, ale ma permanentny charakter; że „ruch jest wszystkim, a cel niczym”. Wiara w postęp stała się nie tylko jednym z fundamentów rewolucyjnej żarliwości, ale też obietnicą składaną klasom pracującym. Ostatecznie progres postrzegano liniowo, a zwycięstwo było tylko kwestią czasu, nagromadzenie zmian ilościowych miało przesądzić o zmianie jakościowej. Pod presją protestów skracano przecięt czas pracy, wprowadzano zabezpieczenia socjalne, wdemokratyzowano ustroje polityczne.

Złudzenie postępu

Jednak kryzys „starej lewicy”, porażka państw realnego socjalizmu i zawód jakie sprawiły ruchy antykolonialne, mocno podkopaly wiarę w nieuchronność zmian, w postęp. Z perspektywy krajów położonych względem centrum gospodarek kapitalistycznych peryferyjnie, nie był on wcale oczywisty. Lewicujący ekonomiści z Ameryki Łacińskiej zaczęli podkreślać, że sukces europejskiej socjaldemokracji i amerykańskiego liberalizmu, jeżeli miał miejsce, to kosztem innych społeczeństw - rozwój „centrum”, odbywał się dzięki niedorozwojowi „peryferii”. W sensie nie tylko ekonomicznym, ale też politycznym. Autorytarne „peryferia” pracowały i były wyzyskiwane na korzyść demokratyzującego się „centrum”. Możemy zatem mówić o „rozwoju niedorozwoju”. Podobne hipotezy wysuwali polscy historycy jak Marian Małowist i Witold Kula. Źródłem problemów gospodarczych i politycznych upatrywali w pewnego typu

wielowiekowym uzależnieniu Polski od gospodarki Zachodu, specyficznej pozycji naszego kraju w międzynarodowym podziale pracy, gdzie byliśmy przede wszystkim źródłem tanich surowców rolnych i kopalnych oraz taniej siły roboczej. Bilans wielowiekowych zmagani klasowych mógł zatem inaczej wyglądać z różnej perspektywy. Warto o tym pamiętać, kiedy zastanawiamy się, dlaczego koncepcja walki klas w sensie politycznym współcześnie straciła na znaczeniu. Nie jest to wynikiem tylko głoszonych haseł solidaryzmu społecznego, ataku na marksistowski i lewicowy dyskurs, ale także „wewnętrznego kryzysu” samej teorii.

Jak sobie z tym rodzi Immanuel Wallenstein? Można wymienić trzy istotne punkty jego argumentacji. Po pierwsze zakłada on, że wszystkie systemy, w tym społeczne, ulegają entropii. Nieuchronnie zmierzają do swojego końca. Po drugie, stabilność systemu jest rzeczą zmienną. Są okresy, kiedy system jest stabilny i nawet wielkie ruchy społeczne nie przynoszą zasadniczych przeobrażeń. Są także momenty, kiedy system jest niestabilny, a wówczas działania nawet relatywnie niewielkich grup społecznych, mogą doprowadzić do istotnych przeobrażeń. Po trzecie, kiedy wybucha kryzys i system załamuje się, kierunek zmian nie jest przesądzony, pojawia się bifurkacja, rozwidlenie, transformacja może podążać w różnym kierunku, nie zawsze przez nas požądanym. Zmiany są zatem nieuchronne, ale nie zawsze „idą na lepsze”.

Sądzę, że ww. kwestie mają zasadnicze znaczenia dla dzisiejszego rozumienia walki klas. Do tej

pory mieliśmy do czynienia z raczej „romantycznym” na jej temat wyobrażeniem, jako starcia „sił dobra” z „siłami zła”, walki postępu z zacofaniem, wolności z tyranią, równości z ze społecznymi podziałami itd. Postmodernizm przyniósł pogląd, że nie tyle podlegamy władzy, podziałom klasowym, co je współtworzymy, w tym sensie, że replikujemy je na mikro poziomie, na co dzień, w różnych relacjach i sytuacjach, że to raczej kwestia nie hierarchicznej struktury, ale pewnych strategii i taktyk działania. Konflikt dotyczy także naszego prywatnego świata. Prywatne stało się polityczne. Ważyć zaczęły kwestie pfc, formy konsumpcji, potoczne dyskursy. Nie wystarczy królowi odciąć głowę, żeby życie zmieniło się na lepsze. Wydaje mi się, że sytuanciści starali się pogodzić obie perspektywy, kiedy nawołując do rewolucji jednocześnie zaznaczali, że jeżeli nie dotyczy ona życia codziennego, to mówi językiem śmierci. Hakim Bey miał wątpliwości, odrzucając w pewnym momencie ideę „wielkiej rewolucji” i głosząc możliwość jedynie „lokalnych rewolt”.

Cykle i cyrkulacje walk

Walka klasowa nie toczy się zawsze z tym samym napięciem. Pojawiają się fale wzrostów i odpływu protestów oraz napięcia społecznego. Jedne z nich są związane z cyklami krótkimi, około dziesięcioletnimi, podobnymi cykлом koniunkturalnym w gospodarce. Inne, o radykalniejszym charakterze pojawiają się w takt cykli nazywanych sekularnymi, trwającymi kilka dziesięcioleci. Wiosnę Ludów można postrzegać jako kulminację

wrzenia rewolucyjnego w Europie i na świecie (pamiętajmy o np. zwycięskiej rewolucji haitańskich niewolników), którego początek pojawił się na przełomie XVIII i XIX wieku. Po 1848 roku nastąpiły przynajmniej dwie dekady względnego spokoju społecznego. Podobnie po wrzeniu, którego kulminacja przypadła na przełom lat 60. i 70. ubiegłego stulecia, w latach 80. i 90. fala konfliktów znacznie opadła (choć oczywiście nie wygasła całkowicie).

Koncepcje postmodernistyczne pojawiły się w momencie od pływu napięcia społecznego pod koniec XX wieku. Być może dlatego, że zaobserwowano spadek konfliktowego napięcia w skali makro, starano się je wskazać na poziomie mikro. Szybko jednak – co zapewne nie było intencją m.in. takich myślicieli jak Michel Foucault czy Gilles Deleuze – postmodernistyczny dyskurs wzmocnił narrację „końca historii”, która zakładała, że wyczerpał się potencjał walk klasowych, że nie ma co liczyć na jakies fundamentalne przeobrażenia społeczne, bo wszystko co się mogło zmienić, już się zmieniło. Obecny system nie ma już alternatyw. Na tym gruncie pojawiły się też koncepcje „post-polityki” sugerujące, że dotychczasowe osie konfliktów straciły ważność, a nowe się nie pojawiły. Te które jeszcze istnieją są efektem nieusuwanego sprzeczności i naszej rywalizacji jako jednostek, o dogodniejsze warunki życia i samorealizacji. Tradycyjne podziały sceny politycznej zanikły, a zaangażowanie polityczne straciło sens. Władze trzeba powierzyć merytokracji, która oceni co dla społeczeństwa

.....
ciąg dalszy na następnej stronie

ciąg dalszy z poprzedniej strony

jest najlepsze.

Ostatni wzrost napięcia społecznego, pojawienie się wielkich wystąpień i rewolucyjnego wrzenia w wielu miejscach na świecie, zadał kłam tym teoriom. Jeżeli teraz pytamy na czym polega walka klasowa i czym się odróżnia od walk poprzednich, pytamy de facto o charakterystykę ostatniej fali protestów społecznych. Odpowiedzieć nie jest łatwo, ponieważ ten proces trwa. System uległ destabilizacji, pojawiły się bifurkacje, alternatywne ścieżki zmian społecznych. Raz to do głosu dochodzi lewicowy alterglobalizm, innym razem nacjonalizm i ksenofobia. Ale bynajmniej nie różnice światopoglądowe będą miały tu decydujące znaczenia, a szeroko rozumiane interesy materialne. Interpretacje sytuacji utrudnia nam dodatkowo fakt, że widzimy ją „od środka”, jako uczestnicy i uczestniczki zdarzeń, a nie obserwatorzy i obserwatorzy patrzące z pewnej historycznej perspektywy, która zawsze oznacza uproszczenia, a często mitologizację przeszłości.

Podmioty zmian

Analizy kolejnych wystąpień społecznych, będących przejawem walki klasowej, często koncentrują się na kwestii tego, kto jest podmiotem ruchu emancypacyjnego. Możemy śmiało powiedzieć, że jak przedtem, tak teraz głównym aktorem nowych walk jest klasa pracująca. Kwestia ta nie zawsze i nie dla wszystkich jest tak oczywista. Jeszcze niedawno zakładano, że pojawiły się tzw. nowe ruchy społeczne, które miały się wyodrębnić nie ze względu na swoje interesy materialne, ale wyznawane poglądy, wartości. Tymczasem widzimy, że liczba i natężenia wystąpień pracowniczych i na tle ekonomicznym, wyraźnie wzrosła. Czy jednak klasa pracownicza, która dzisiaj protestuje, jest tą samą klasą pracowniczą, która buntowała się dziesiątki lat wcześniej? Podobnie jak na poprzednie pytanie możemy odpowiedzieć: „i tak, i nie”. Tak - w sensie najbardziej ogólnym są to pracownicy najemni, których głównym, a często jedynym źródłem dochodu i utrzymania jest praca ich własnych rąk; nie posiadają środków produkcji, kapitału, aby uruchomić własny biznes, dzięki któremu mogliby zatrudnić wielu innych pracowników najemnych i żyć dzięki cudzej pracy. Nie - bowiem wraz z kolejnymi etapami rozwoju kapitalistycznej gospodarki, zmieniają się istotne cechy charakterystyczne dla kolejnych formacji klasowych.

W jaki sposób zmienia się struktura gospodarki kapitalistycznej, a wraz z nią położenie klasy pracowniczej? Często zakłada się, że jest to spowodowane rozwojem sił wytwórczych, postępem technologicznym. Co jest jego przyczyną? Odpowiedź może być różna: konkurencja kapitalistyczna, presja demograficzna, naturalna innowacyjność ludzkiego gatunku czy jego zdolność adaptacyjna do zmiennych warunków ekologicznych (np. klimatycznych) itd. Po części każda z tych koncepcji może mówić prawdę, ale sądzę, że zmienność gospodarki kapitalistycznej jest rezultatem przede wszystkim walki klasowej pracowników, ich żądania polepszenia warunków pracy i wyższych wynagrodzeń. Kapitaliści, a zatem ci, którzy posiadają dostateczne środki materialne, aby wyzyskać wielu pracowników, pod ich presją zmuszeni są do nieustannej modyfikacji swojej działalności.



Fot: Strajk w Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego, 18 sierpnia 1980
Autor: Stefan Cieślak (Archiwum autora) [CC BY 3.0, Wikimedia Commons]

Chcąc uwolnić się od nacisków robotników i robotnic, przenoszą zakłady pracy lub zmieniają branże i rekrutują zatrudnionych od nowa, zmieniają technologie i zwalniają znaczną ich część, inaczej organizują sposób proces produkcji (dóbr materialnych i usług) prowokując nowe podziały w klasie pracowniczej itd. Za każdym razem kiedy siła pracowniczego ruchu rewindykacyjnego rośnie, walka klas się wzmacnia, dochód społeczny ulega bardziej sprawiedliwemu podziałowi, to kapitaliści w pogoni za zyskami zmieniają strukturę produkcji. Organizują potrzebną im nową siłę roboczą, tak aby lepiej ją kontrolować i wyzyskiwać niż te dotychczasowa, stara, zrewoltowana. Kapitał reorganizując, przenosząc i technicyzując produkcję, nie może jednak na dłuższą metę uwolnić się od presji pracy, która jest niezbędnym źródłem ich zysku. Wraz z rozwojem kapitalistycznej produkcji, zmienia się skład technicznej klasy robotniczej, a co za tym idzie także formy jej zbiorowego oporu. Z czasem pojawia się zatem coraz to nowa formacja klasy robotniczej, różniąca się pod pewnymi cechami od dotychczasowej.

Jakie możemy wyróżnić specyficzne cechy klasy pracowniczej, która jest obecnie siłą napędową nowych wystąpień społecznych? Co do tego istnieje również wiele poglądów. Niektórzy dowodzą, że charakter pracy zmienił się tak, iż obecnie większości z pracowników i pracownic jest uwikłana w produkcję niematerialną. Inni piszą o klasie kreatywnej, digitariacie, mówią, że tradycyjna klasa pracownicza w ogóle zanikła. Osobiście odrzucam wszystkie tezy sugerujące koniec „typowej” pracy fizycznej. Pomijając fakt, iż rozróżnienie pracy fizycznej i umysłowej jest w wielu aspektach problematyczne, to dodatkowo w ujęciu globalnym, tezy o końcu pracy fizycznej są nieprawdziwe. Jedną z podstawowych zmian w składzie obecnej klasy pracowniczej, jest wynikiem

głębokiego międzynarodowego podziału pracy w sferze produkcji przemysłowej. Choć w krajach centrum kapitalizmu liczba zatrudnionych przy pracach fizycznych spada, to biorąc pod uwagę kraje peryferyjne (jak Indie, Chiny, Bangladesz itd.), tak naprawdę obecna klasa robotnicza jest w jeszcze większym stopniu od poprzednich jej wcieleń mobilna - w każdym tego słowa znaczeniu, w tym także przestrzenie. Wahadłowy charakter migracji zarobkowej stał się wyróżnikiem współczesnych kondycji pracowników najemnych.

Prekariat versus proletariat

Niektórzy mówią, że mamy do czynienia z nową jakością i proponują, aby nową klasę pracowniczą nazwać prekariatem. Wiele osób w tym przypadku oponuje. Osobiście uważam, że nowe zjawiska, potrzebują nowych pojęć. Prekariat możemy rozumieć na dwa sposoby. Po pierwsze, nazwa ta będzie dotyczyć dzisiejszej klasy „wstępującej” na arenę wystąpień klasowych, kiedy równolegle ulega dekompozycji dotychczasowa, stara, „zstępująca” formacja, która jednak w poważnej części także ulega prekaryzacji; robotnice i robotnicy na nowo, i na innych warunkach, rekrutowani są do pracy w warunkach kapitalistycznego wyzysku. Po drugie, sięgając po pojęcie „prekariat” mamy jednak na myśli inne od dotychczasowego rozumienie klasy robotniczej. Kiedy Karol Marks pisał: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”, był przekonany, że w wyniku rozwoju kapitalistycznej

gospodarki wszyscy pracownicy zostaną uprzedmiotowieni i sprowadzeni do podobnej roli. Zakładał, że dokona się unifikacja pracowników najemnych tak, że zanikną wszystkie między nimi podziały nie tylko z uwagi na narodowość, ale także np. na płeć (w sensie oczywiście społeczno-zawodowym i kulturowym, a nie biologicznym) czy posiadane kwalifikacje. Wprowadzając pojęcie „proletariat” chciano podkreślić, że wszyscy pracownicy o odmiennym położeniu np. chłoporobotnicy, czy czeladnicy, prędzej czy później zostaną wchłonięci przez system fabryczny i sprowadzeni do podobnej kondycji. W zasadzie oznaczało to degradację. Dlatego wielu chłopów i rzemieślników broniło się przed zatrudnieniem w fabrykach. Karol Marks zdawał sobie sprawę, że zawsze istnieją pracownicy o lepszym i gorszym położeniu, ale dla niego najważniejsze było podkreślenie tendencji unifikacyjnych.

Dopiero z biegiem czasu proletariat, rozumiany już najczęściej jako wielkoprzemysłowa klasa robotnicza, zaczął być postrzegany w kategoriach dodatnich, a praca w przemyśle odczytywana była jako forma awansu społecznego. Oczywiście wiązało się to z faktem, że wielkoprzemysłowa klasa robotnicza zdołała się zorganizować i niejednokrotnie dyktować warunki kapitałowi, poprawić środowisko pracy i poziom życia.

Wraz z krytyką „starej lewicy”, związków zawodowych, socjaldemokracji i realnego socjalizmu, zaczęto podkreślać, iż jednorodność klasy robotniczej była pewnym mitem. Szczególnie ruch feministyczny zwracał na to uwagę, że wykoreowany na przełomie XIX i XX wiek obraz klasy robotniczej jest mocno zmaskulinizowany, a w obrębie kapitalistycznego sposobu produkcji kobiety były i są zawsze gorzej traktowane od mężczyzn. Podobnie robotnicy-cudzoziemcy byli zawsze gorzej traktowani niż robotnicy-tuziemcy. I tak dalej. Unifikują-

ce spojrzenie czyniło niewidocznymi istotne z wielu względów podziały i de facto utrudniało prowadzenie skutecznej walki. Dlatego prekariat można odczytywać jako pojęcie, które eksponuje pewnego typu podziały wewnątrz klasy pracowniczej, aby łatwiej było je przewyciężyć przy podejmowaniu działań zbiorowych, kiedy klasa pracownicza „w sobie” staje się klasą pracowniczą „dla siebie” - organizuje się i przechodzi do ataku politycznego, domagając się polepszenia warunków pracy i płacy, a także ostatecznego zniesienia wyzysku.

Pojęcie „prekariat” jako pewien kontrapunkt dla „proletariatu”, pozwala nam - przynajmniej tak zakładam - na lepszą wzajemną identyfikację przedstawicieli i przedstawicielek szeregu różnych segmentów współczesnej klasy pracowniczej. W takim samym stopniu 150 i więcej lat temu pojęcie proletariat było kontrapunktem dla organizacji cechowych i produkcji w manufakturach. Niektórzy dziewiętnastowieczni robotnicy fabryczni tęsknili za dawnym rzemiosłem i cechami, które przecież były tak naprawdę systemem wyzysku czeladników przez mistrza oraz ekonomicznego wykluczenia kobiet, jak i całego miejskiego plebsu. Jak jednak twierdzi Immanuel Wallenstein w „Końcu świata jakim znamy”, entropia systemów wiąże się ze „strzałąką czasu” - nie ma powrotu do przeszłości.

.....
Jarosław Urbański - socjolog i działacz społeczny, związany ze środowiskiem poznańskiego Rozbratu i Federacją Anarchistyczną. Działacz Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Inicjatywa Pracownicza. Autor książek i licznych publikacji dotyczących współczesnych problemów społecznych.

Tekst pierwotnie ukazał się w zeszytach pierwszym „Abc kapitalizmu”.

PRZYCZYNA LEŻY W LUDZKIM ZACHOWANIU



O ekonomii ewolucyjnej i jej przydatności na drodze do zrównoważonego rozwoju z dr hab. Karoliną Safarzyńską rozmawia Jan Chudzyński.

Ekonomia ewolucyjna - to brzmi egzotycznie. Czym to podejście różni się od innych?

Sama nazwa nawiązuje do biologii i biologii ewolucyjnej, z których to podejście czerpie mechanizmy służące do wyjaśnienia dynamiki procesów zachodzących w gospodarce. W ekonomii ewolucyjnej analizujemy systemy dynamiczne, czyli jak system zmienia się w czasie – i to właśnie odróżnia ją od ekonomii neoklasycznej, która jest bardziej statyczna, patrzy na optymalny punkt równowagi, a nie jak do niego dochodzi.

Jaki jest główny przedmiot badań ekonomii ewolucyjnej?

Ekonomia ewolucyjna, podobnie jak neoklasyczna, może być użyta, aby badać wiele problemów, np. ewolucję współpracy, żeby zrozumieć, jak różne branże zmieniają się w czasie w analizie przemysłu, czy endogeniczne [wewnętrzne – przyp. red.] procesy wzrostu gospodarczego. Nelson i Winter w 1982 r. opublikowali pracę, w której badali wzrost gospodarczy, analizując innowacyjne procesy wielu indywidualnych firm, a nie na podstawie jednej firmy reprezentującej całą gospodarkę czy sektor, tak jak to się robi w dzisiejszych modelach makroekonomicznych.

Ekonomia ewolucyjna jest często mylona z ekonomią złożoności (complexity economics), bo ciężko ustalić między nimi granicę, choć ta druga dominuje raczej w finansach. Na przykład, pozwala ona na analizę sektora finansów na podstawie interakcji pomiędzy bankami oraz patrząc, jak bankructwo jednego banku może spowodować kaskadę bankructw w innych bankach i firmach. Właśnie tu przydaje się takie podejście. Pozwala ono na analizę heterogenicznych firm i innych podmiotów gospodarczych i sieci ich wzajemnych powiązań. Żadna inna metoda, np. ekonomia neoklasyczna, nie pozwala nam na badanie tych sieci powiązań. A okazuje się, że to właśnie to, jak ludzie, konsumenci, firmy, producenci wchodzi z sobą w interakcje, determinuje makroekonomiczne zjawiska.

To inaczej niż w większości standardowych modeli, w których każda jednostka jest taka sama.

Czyli tak zwana reprezentacyjna jednostka. To takie uproszczenie, ale jest oczywiście bardzo nierealistyczne. Jest jeden konsument, który maksymalizuje konsumpcję. I jest tym szczęśliwszy, im więcej konsumuje, a dodatkowo nigdy się tą konsumpcją nie sasyca. To takie bardzo kla-



Fot: Flickr.com / by tracyschaun

syczne punkty krytyki tego modelu.

W ekonomii ewolucyjnej jest zupełnie inaczej. Jest wiele jednostek, każda jest inna, ma inne potrzeby. I co w kontekście moich badań, czyli problemów ekologicznych, jest bardzo ważne, te jednostki siebie naśladują.

Dlaczego jest to tak istotne?

Wiele problemów ekologicznych wynika z tego, że ludzie próbują naśladować standard życia innych ludzi i więcej konsumują. Te potrzeby są eskalowane przez chęć udowodnienia statusu społecznego.

Czyli pojawia się tu też psychologia.

Kolejna cecha, która odróżnia ekonomię ewolucyjną od neoklasycznej to założenie, że jednostka ma ograniczoną racjonalność. Ludzie nie są w stanie zachowywać się w pełni racjonalnie – każdy robi jakieś błędy poznawcze, używa heurystyk, prostych reguł wnioskowania, nawyków. Bardzo ciężko jest cały czas zastanawiać się, co jest dla nas najlepsze, dlatego w ciągu dnia, żeby nie obciążać pracy mózgu, do głosu dochodzą nawyki. Gdy idę do sklepu, nie myślę za każdym razem, ile wydać pieniędzy, tylko często kupuję to, co zwykle. Działają zwyczajowe procedury myślowe. Nowe nurty w ekonomii ewolucyjnej i behawioralnej patrzą na odkrycia psychologii i oceniają, które z zachowań mają znaczenie dla makroekonomii.

Czy w takim razie uzasadnione są obawy, że badanie takich poważnych problemów, jak zmiany klimatu, przy użyciu metod ekonomii neoklasycznej nie jest najlepszym pomysłem?

To dosyć skomplikowany problem. W ekonomii ewolucyjnej dopiero pracujemy nad modelami, w których sprawdzamy jak zachowania ludzkie wpływają na efektywność finansowych instrumentów polityki klimatycznej, np. podatku węglowego. Takie instrumenty często nie dają zamierzonych efektów i okazuje się, że przyczyna leży w ludzkim zachowaniu. Nawyki

powodują, że przy nałożeniu niewystarczająco wysokiego podatku niektórzy nawet go nie zauważają, a w standardowej analizie ignorujemy nawyki przy obliczaniu, ile taki podatek powinien wynieść.

Z mojego punktu widzenia o wiele lepiej jest badać te problemy w ujęciu ewolucyjnym, bo dzięki temu patrzymy też na długookresowe dostosowania, np. to, jak zmieniają się preferencje ludzi, gdy pojawiają się nowe energooszczędne technologie, jak ludzie wpływają na siebie, czy jak nowe technologie pojawiają się na rynku.

Niewielu ekonomistów zajmuje się ekonomią ewolucyjną. Nie jest to chyba zbyt popularne podejście?

Na świecie jest sporo centrów badań złożoności i zwykle tam są zajmujący się tym ekonomiści. Rzeczywiście bardzo trudno znaleźć ich na mainstreamowym wydziale ekonomii. Co ciekawe, ostatnio na konferencji w Wielkiej Brytanii jeden z ekonomistów zaprotestował przeciwko uleganiu studentom domagającym się zmiany w programach nauczania. A studenci właśnie chcą poznawać różne podejścia, nowe nurty. Trudno mi powiedzieć, dlaczego tak uważa, nie rozumiem tego oporu. Tym bardziej, że dużo nowych wniosków i odkryć pochodzi właśnie z kierunków poza głównym nurtem. A ekonomia neoklasyczna ma bardzo uproszczony model, który nie pozwala przebadać wielu rzeczy. Na przykład kluczowego z punktu widzenia zrównoważonego rozwoju tzw. problemu koordynacji, czyli tego, że nie jesteśmy w stanie nagle, masowo zmienić zachowań.

Zajmujesz się modelowaniem zmian prowadzących do zrównoważonego rozwoju. Czy w tym kontekście ujawniają się jakieś dodatkowe istotne różnice między podejściami ewolucyjnym a neoklasycznym?

W odróżnieniu od ekonomii neoklasycznej, w ekonomii ewolucyjnej mamy do czynienia z tzw. path

dependence, czyli uzależnieniem ewolucji systemu od jego poprzedniego stanu. Mechanizmy zwrotne, np. efekt skali, sprawiają, że jeśli jakaś technologia (nawet przez przypadek) okaże się dominująca, to doprowadza to do zjawiska trwałej dominacji (lock-in). Z reguły im czegoś jest więcej i jest taniej produkowane, tym bardziej jest popularne i ludzie bardziej temu ufają. Przez to mogą chętniej inwestować np. w technologie węglowe, zamiast w energię odnawialną. W ekonomii ewolucyjnej dużo czasu poświęca się analizie sprzężeń doprowadzających do zjawiska dominacji produktów lub technologii i tego, jak go uniknąć.

W jednej z moich prac pokazuję, że ekonomia neoklasyczna pomija tzw. efekty sieciowe, które są istotne w badaniach rozprzestrzeniania się energooszczędnych technologii. Te efekty mogą spowodować spowolnienie procesu ich rozprzestrzeniania, co z kolei zwiększa prawdopodobieństwo zjawiska odbicia (rebound effect), czyli sytuacji, gdy zwiększona efektywność energetyczna wcale nie powoduje proporcjonalnego zmniejszenia zużycia energii. A to wszystko zależy od sposobu, w jaki konsumenci wchodzi z sobą w interakcje, imitując innych.

To są zagadnienia, których nie jesteśmy w stanie przebadać standardowymi metodami.

Czy w takim razie metody ekonomii neoklasycznej, które nie uwzględniają czynników psychologicznych, mogą dawać zbyt optymistyczne wyniki?

To zależy od badanego problemu. Modele ewolucyjne i behawioralne pozwalają analizować, w jakich okolicznościach podatki, np. węglowy, są niedoszacowane, ponieważ są obliczane na podstawie modeli neoklasycznych, które nie uwzględniają realistycznych zachowań.

To tak, jakbyśmy mieli do czynienia z dwoma światami. Jeden prawdziwy, a w drugim nie istnieje np. tarcie.

Ludzie zajmujący się modelami neoklasycznymi wcale nie myślą, że właśnie tak wygląda świat. Po prostu uważają, że to jest wystarczające uproszczenie, żeby obliczyć wartość podatku. I tu pojawia się pytanie, jak duży jest ten błąd wynikający z uproszczenia. Coraz częściej widzimy, że są to duże błędy.

W pewnym sensie jest to ewaluacja metody służącej do formułowania polityki klimatycznej...

Można tak powiedzieć. Oprócz tego próbujemy odkryć nowe kombinacje różnych polityk, zarówno finansowych, jak i bardziej miękkich, czyli interwencji behawioralnych. A tego nie da się analizować w modelach neoklasycznych.

A jak z perspektywy ekonomii ewolucyjnej wygląda kwestia wprowadzenia odnawialnych źródeł energii?

Ostatnio zajmowaliśmy się szacowaniem powiązań pomiędzy sektorem bankowym a finansowaniem inwestycji w energię odnawialną. Chodziło o optymalną ścieżkę dojścia do gospodarki niskoemisyjnej z uwzględnieniem stabilności finansowej. Badania pokazują, jak ryzyko związane z inwestycjami w odnawialne źródła energii może rozprzestrzenić się na rynku i może powodować niestabilność w gospodarce w zależności od tego, jak zróżnicowana jest energia w produkcji elektryczności na początku transformacji.

Co jest źródłem tej niestabilności?

Są różne opinie na ten temat. Ale moim zdaniem energia odnawialna jest po prostu droga. Niektórzy mówią, że powinniśmy wprowadzić ją jak najszybciej, zamykając elektrownie węglowe i nuklearne, jednak bardzo ciężko jest to zrobić od strony finansowej. Dodatkowo nałożenie wysokiego podatku węglowego może spowodować, że wartość firm posiadających aktywa związane z sektorem energetycznym spadnie, a nie możemy doprowadzić do gwałtownego załamania. OZE należy wprowadzić jak najszybciej i w możliwie jak największej ilości, ale robić to rozsądnie. Modele ewolucyjne mówią nam, gdzie są zagrożenia.

W świetle tego wszystkiego niepokoi mnie, że dopiero w ostatnim, piątym raporcie (AR5) Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatycznych (IPCC) w modelach ekonomicznych uwzględniono wyniki z badań behawioralnych.

Cudownie, że w ogóle to uwzględniono. Wydaje mi się, że one będą coraz częściej brane pod uwagę. Badania na tym polu są bardzo dynamiczne.

.....
Karolina Safarzyńska od 2013 roku pracuje na Wydziale Nauk Ekonomicznych, gdzie prowadzi zajęcia z ekonomii i finansów behawioralnych. Tytuł doktora uzyskała na Free University w Amsterdamie za pracę na temat modelowania ewolucyjnego procesów transformacji w kierunku zrównoważonego rozwoju. Pracowała na WU Vienna University of Economics and Business. Odbiła wizyty badawcze w zagranicznych ośrodkach naukowych takich jak Oxford INET, Santa Fe Institute oraz staże w ONZ, WTO, czy Banku Światowym. Jest autorką prac publikowanych w międzynarodowych czasopismach naukowych, m.in. w Research Policy, Journal of Economic Behavior and Organization, Climate Policy, oraz Energy Policy.

EKONOMIA JEST POLITYCZNA



O źródłach powstawania idei ekonomicznych i współczesnej matematyzacji ekonomii z Jędrzejem Malko rozmawia Jan Chudzyński.

Chciałbym porozmawiać z tobą o tym, jak ekonomia i ekonomiści widzą świat. Zaczynając od A. Smitha..

Zacznijmy od tego, że nie ma jednej ekonomii. Szkół myślenia o gospodarce jest wiele, i różnią się od siebie diametralnie. Natomiast można powiedzieć, że zarówno w przeszłości, jak i dziś, w debacie dominują te szkoły, które nie starają się zrozumieć świata, tylko na niego wpłynąć. Ekonomiści kreują wyobrażenia światu załudnione przez modele i metafory często po to, by uzasadnić jakąś politykę.

Zauważmy przy tym, że Adam Smith żadnym ojcem ekonomii nie był. To duża strata, że wrabiamy Smitha w ojcostwo i zapominamy o tym, co się działo wcześniej. Przed nim także zastanawiano się, jak działa gospodarka i co robić, aby działała sprawniej. Już u Ksenofonta, ucznia Sokratesa, znajdziemy rozważania nad tym, jak poradzić sobie z ateńskim deficytem.

Czyli źródła współczesnej ekonomii powinniśmy szukać w Grecji?

Zastanówmy się lepiej, po co w ogóle chcemy szukać tych źródeł. Myślę, że warto porzucić myślenie o historii idei ekonomicznych w kategoriach linearnego rozwoju: od pierwszych, archaicznych intuicji do współczesnych, twardych ustaleń naukowych. Natomiast warto studiować wielowiekową historię debat o gospodarce, ponieważ dzięki temu można dostrzec, jak raz za razem w podobnych warunkach gospodarczych pojawiają się podobne dyskusje. Mamy więc do czynienia nie tyle z liniowym rozwojem ekonomii, co z historią powtarzających się napięć społecznych, którym towarzyszą powtarzające się idee.

Jakie okoliczności doprowadziły do powstania nowożytnej ekonomii?

Bardzo rzecz upraszczając, nowe motywy w refleksji ekonomicznej zaczęły się pojawiać wraz z dynamizacją życia gospodarczego. Choć dopiero po rewolucji przemysłowej europejska gospodarka poznała zjawisko wzrostu, to jeszcze w średniowieczu, na długo przed wynalezieniem maszyny parowej i latającego czółenka, w wielu miastach handel był żywy, a zjawiska rynkowe powszechne. Żyjący w tych miastach akademicy, ludzie zajmujący się administracją pierwszych uniwersytetów, pobieraniem opłat od studentów, a więc bardzo zanurzeni w praktyce, zaczęli w pewnym momencie odchodzić od myślenia o świecie i gospodarce w statycznych, konserwatywnych kategoriach.

Konserwatywne chrześcijaństwo w tamtym czasie opisywało świat w sposób dość czarno-biały. Był grzech i zbawienie,

prawda i fałsz, cena sprawiedliwa i cena złodziejska – stany pośrednie były w pewnym sensie niewyobrażalne. W tej wizji świata, jeżeli kupiłeś bochenek chleba za 10 szylingów, a sprzedałeś go za 11, to zgrzeszyłeś, byłeś oszustem. Sprawiedliwa cena była rozumiana jako wyraz prawdziwej natury tego bochenka – jego wewnętrzną, prawdziwą, wartością było albo 10 szylingów, albo 11, wartość nie mogła być raz taka, a raz taka.

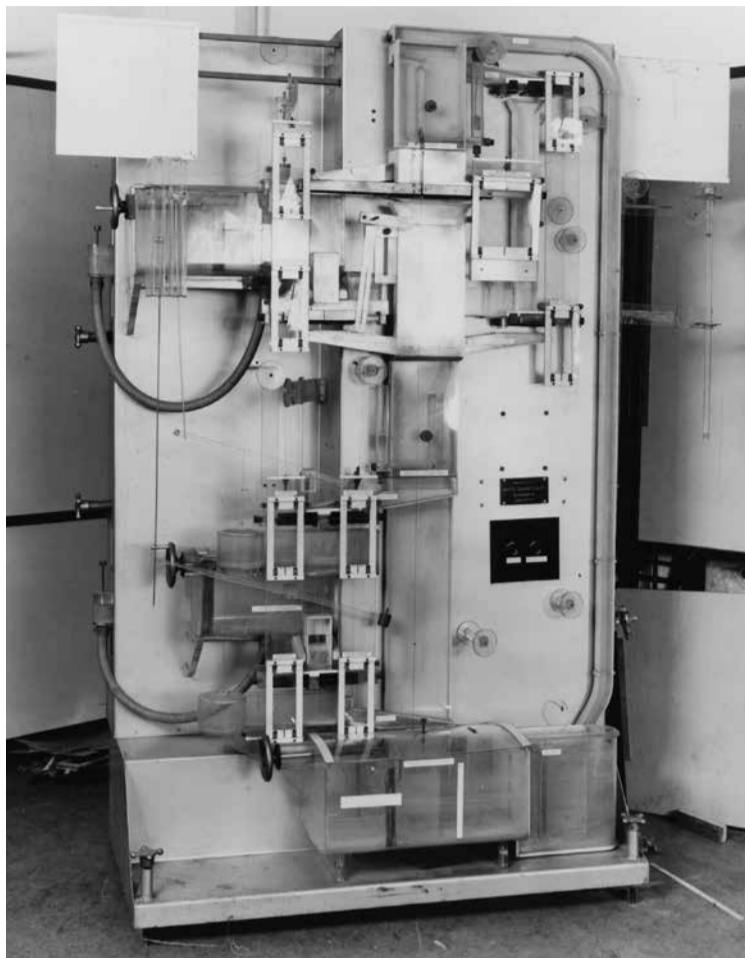
Potem cena zaczyna być elementem gry między stronami. Ktoś chce kupić, ktoś chce sprzedać i chodzi o to, aby oni między się sobą dogadali. Z naszej perspektywy wydawać się to może czymś banalnym, ale pojawienie się sprawiedliwości, która nie wynika z rozpoznania wewnętrznej prawdy o bochenku chleba, ale z dynamicznej gry sił pomiędzy piekarzem a kupującym, było rewolucyjne.

Czyli uwolnienie cen pozwoliło zwiększyć dynamikę.

Myślę, że przejście od gospodarki statycznej do dynamicznej i narodziny ekonomii nowożytnej lepiej od historii cen ilustruje ewolucja podejścia do lichwy. Mało który temat emocjonował ludzkość dłużej i bardziej niż pożyczanie na procent. Przez wieki „pieniądz, który rodzi pieniądz” był postrzegany jako godne potępienia wynaturzenie. Jeśli pieniądz ma umożliwiać wymianę, musi być neutralny, jeśli ma być miarą wartości, nie może sam swojej wartości zmieniać. Jeżeli ktoś pożyczal ci 10 szylingów, a żądał z powrotem 11 szylingów, to ewidentnie naruszał naturę rzeczy – podobnie jak z tym bochenkiem chleba. Szyling musiał być wart nie mniej i nie więcej jak szyling.

W średniowieczu metafizyczne obiekty przeciwko lichwie splatały się z interesami największego w Europie posiadacza ziemskiego, czyli kościoła katolickiego, a w pewnym sensie także z interesem rolniczych społeczności. Ogłaszając procent składany diabelskim wynalazkiem i żądając kary śmierci dla lichwiarzy, kościół bronił się przed konkurencją, czyli rodzącym się mieszczaństwem. Zarazem w gospodarce nieznaną zjawiska wzrostu pożyczanie na procent istotnie uderzało w biedniejszych. Kiedy pożyczka służyła nie wzbogacaniu się, a pokryciu nieplanowanych wydatków, często wynikających z nieszczęścia, na przykład gdy potrzebne były pieniądze, bo spaliła się stodoła czy ktoś zachorował, oprocentowanie pożyczki raziło jako niemoralne. Obowiązkiem bliźniego jest przecież pomóc drugiemu w chorobie, a nie zarabiać na cudzym nieszczęściu.

Wraz z rozwojem handlu i rozpowszechnianiem się zjawisk rynkowych uznano jednak, że gospodarka nie musi być grą o sumie zerowej, a pieniądz może stać się kapitałem, który przynosi zysk, a więc można oczekiwać od niego procentu. Myślę, że przemiana pieniądza w kapitał i uznanie prawomocności oprocentowanego kredytu to kamień węgielny nowożytnej ekonomii. Wraz dostrzeżeniem produktywności kapitału pojawiło się bowiem pytanie, jak się tym nowym bogactwem dzielić.



Zbudowana przez Williama Phillipsa w 1949 roku maszyna MONIAC. Hydrauliczny system i przepływająca plastikowymi rurkami woda miały przedstawiać zależności występujące w gospodarce.

Fot. Flickr.com / LSE Library

Jednak prawdziwa wartość w ekonomii pochodzi z ziemi, przynajmniej tak twierdzili fizjokraci.

Tak. Dla nich jedynym prawdziwie produktywnym sektorem był sektor rolniczy. Reszta zajmowała się tylko przetwarzaniem tego, co dała natura. To jest zresztą idea, która szybko zniknęła z głównego nurtu myśli ekonomicznej, a może szkoda, bo dziś mogłaby pomóc nam przemyśleć kwestię ekologii. To natomiast, co od fizjokratów z nami zostało, to przekonanie, że skoro natura jest źródłem wartości ekonomicznej, to rządzi się ona się prawami naturalnymi, analogicznymi do praw chemii czy fizyki. Do dziś takie przekonanie trzyma się mocno.

Co się potem wydarzyło? Teraz możemy wrócić do Adama Smitha, który argumentując, że wartość bierze się z pracy, atakował post-feudalne, gwarantowane przez państwo monopole, które według niego nie pozwalały na taki właśnie „naturalny” rozwój i sprawiedliwe wynagradzanie pracy. W swoich czasach był uważany za rewolucjonistę, inspiratora rewolucji francuskiej i burzyciela porządku społecznego. Kilka tygodni przed ukończeniem „O bogactwie narodów” policja przechwyciła jego rękopis. Podobno tylko cudem ocalał z rąk cenzorów. Ludzie mieli świadomość, że Smith uderza w interesy klas uprzywilejowanych. Zanim więc jego myśl została wykastrowana z emancypacyjnego potencjału i wciągnięta na sztaendary brytyjskiego kolonializmu, Smith był uważany za przyjaciela biedoty.

Kontynuując tę przebieżkę po stuleciach debat gospodarczych: potem mamy kolejnego rewolucjonistę, Karola Marksa. Ten z kolei dowodził, że tak jak feudalizm nie wynagradzał ludzi za to, co wytwarzali, tak nie robi tego kapitalizm. Bo ka-

pitalista wyzyskuje, okrada pracowników, jak wampir wysysający wartość z żywej ludzkiej pracy.

Koncepcja wartości pracy pomogła w rozbijaniu paternalistycznych, konserwatywnych argumentów przeciwko kapitalizmowi. Gdy starcie to zostało rozstrzygnięte na korzyść kapitalizmu, zagadnienie wartości pracy zniknęło z centrum myśli ekonomicznej. Bardzo rzecz upraszczając, można powiedzieć, że potencjał polityczny teorii wartości opartej na pracy został wyzyskany do momentu, w którym służyła ona rozwojowi kapitalizmu. Gdy zaczęła mu zagrażać, została odrzucona na margines. W dwudziestowiecznej ekonomii wartość nie jest już obiektywna. To po prostu wszystko to, co ktoś z pełnym portfelem uznaje za wartościowe.

Wspomniałeś, że o gospodarce myślano jak o naturalnym systemie, poszukując rządzących nią praw. Czy dzisiaj jest podobnie?

Ekonomia nigdy nie była nauką eksperymentalną, więc siła argumentacji zawsze była w niej budowana na różnych chwytach retorycznych. Przez wieki, aby się uprawomocnić, rozważania nad ekonomią były wyrażane w języku teologii, potem anatomii, później fizyki, jeszcze później matematyki. Ślady tego są widoczne w ekonomii do dziś. Inflacja czy konsumpcja to terminy przyjęte z medycyny, oznaczały kolejno opuchliznę i gruźlicę. Pierwsze modele cyrkulacji pieniądza wprost odwoływały się do odkrytego przez Williama Harvey'a krwioobiegu. Z fizyki została nam np. metafora equilibrium. O religijnym rodowodzie „niewidzialnej ręki rynku” nie wspominając.

Każdy z tych etapów odcisnął się nie tylko w języku, ale też w sposobie myślenia. Z metafor medycy-

nich zostało nam postrzeganie gospodarki jako organizmu, który działa, bo taka jest jego natura, a kłopoty mogą pojawiać się jedynie wtedy, gdy organizm jest atakowany przez jakieś zewnętrzne czynniki: wirusy, bakterie, polityków, coś co zakłóca naturalne działanie rynku. Gdy mówimy o kryzysie roku 1997 jako o „azjatyckiej grypie” to sugerujemy, że kryzys jest przychodzącą z zewnątrz chorobą, anomalią, a nie wynika z wewnętrznej dynamiki kapitalizmu. Z fizyki newtonowskiej zostało nam myślenie w kategoriach atomistycznych, przez pryzmat których ludzie zdają się być całkowicie od siebie odrębnymi ciałami, które mogą na siebie oddziaływać, ale nigdy nie są związane w bardziej trwały sposób. Mogłbym tego typu przykładów podać znacznie więcej.

Dzisiaj najciekawsze wydaje mi się to, jak bardzo ekonomia się zmatematyzowała. A matematyka jest czystą formą. Odwołuje się wyłącznie sama do siebie. Podobnie, zmatematyzowana ekonomia nie legitymizuje się już poprzez otwarte apele do autorytetu teologii, medycyny czy fizyki. Jak gdyby nie potrzebowała szukać swojego uprawomocnienia gdzieś na zewnątrz. Natomiast coraz częściej obserwujemy, że inne nauki zaczynają szukać swojego uprawomocnienia, stosując ekonomiczną metaforykę maksymalizacji zysku. Widać to w dziedzinach tak od siebie różnych, jak historia, kryminologia czy biologia.

Matematyzacja w ekonomii jest krytykowana, zresztą tak jak prymat głównego nurtu, który pomija szereg ujęć. W ostatnich latach pojawiają się postulaty zwiększenia pluralizmu w nauczaniu ekonomii.

I dobrze, że się pojawiają, bo wielogłos wciąż jest usuwany z ekonomii. Na uniwersytetach udajemy, że jest tylko jedna ekonomia, a nie dziesięć skłóconych ze sobą szkół ekonomicznych. Każda z nich ma swoje założenia i metodologię i ukazuje inne aspekty rzeczywistości gospodarczej. Czasem szkoły te dochodzą do podobnych wniosków, często jednak do zgoła odmiennych. Tymczasem żyjemy w złudzeniu, że albo ktoś się po prostu na ekonomii zna, albo nie.

Na głębszym poziomie pluralizm usuwany jest z ekonomii także w tym sensie, że eliminowana jest z niej świadomość istnienia sprzecznych interesów i politycznych napięć. Wielowarstwowe zjawiska gospodarcze są spłaszczane do opowieści o gospodarce, której produkt krajowy brutto ma po prostu rosnąć. Tymczasem PKB to gigantyczne uogólnienie. Sprowadza każdą aktywność do wspólnego mianownika i sumuje wszystko ze wszystkim. A my, kiedy się zapałamy w schludny wykres produktu krajowego, tracimy z oczu różnorodną, zagmatwaną i fascynującą materię życia społecznego.

Jędrzej Malko - nauczyciel ekonomii w liceum IB 2SLO w Warszawie, analityk Fundacji Kaleckiego, jako dziennikarz związany z Krytyką Polityczną, doktorant w SGH, w 2016 wydał książkę Economics and Its Discontents ("Ekonomia jako źródło cierpień").

CZĘŚĆ EKONOMISTÓW nie chce zmiany



**Hannah
Dewhirst**

**Cahal
Moran**



O studenckim ruchu na rzecz pluralizmu w ekonomii - w rozmowie redakcyjnej z Hannah Dewhirst i Cahalem Moranem.

Czym jest grupa Post-Crash Economic Society i w jaki sposób jest ona związana z Rethinking Economics?

Cahal Moran: Post-Crash Economic Society jest kołem studenckim z Manchesteru, które powstało, żeby wesprzeć kampanię na rzecz zmian w edukacji ekonomicznej. To było trzy, cztery lata temu i w tym samym czasie pojawiły się też koła na innych uniwersytetach w Wielkiej Brytanii. Ich założyciele skończyli studia, po czym zdecydowali się stworzyć Rethinking Economics, która funkcjonuje dziś jako organizacja pożytku publicznego. Lobbują oni za zmianami w szkolnictwie wyższym i rozwiązaniami na rzecz wprowadzenia bardziej pluralistycznych programów studiów w dziedzinie ekonomii. Działają też jako wsparcie dla lokalnych grup, dbają o to, by pomimo ciągłej rotacji powodowanej ukończeniem studiów przez członków grup wiedza była zachowywana i przekazywana dalej.

Z kolei sieć ISIPE (Międzynarodowa Inicjatywa Studentów na rzecz Pluralizmu w Ekonomii) nie jest formalnie organizacją. To platforma dla międzynarodowego ruchu studentów i składa się z grup z całego świata, od Chile przez Wielką Brytanię, Ugandę, aż po Australię. Opublikowany na stronie ISIPE list podpisały nie tylko grupy studentów, ale też uznani wykładowcy, jak na przykład Thomas Piketty.

Hannah Dewhirst: Od początku chciano zmienić programy studiów na kierunkach ekonomicznych, uważano je bowiem za zbyt wąskie i oderwane od rzeczywistości. Z czasem pojawił się też postulat demokratyzacji ekonomii i przybliżenia jej opinii publicznej. Staramy się to robić poprzez zmianę używanego przez ekonomistów języka i nakłanianie ich do kontaktów z ludźmi spoza ich środowiska. W zeszłym roku udało nam się stworzyć portal internetowy Economy (www.ecnmy.org), gdzie można znaleźć artykuły i nagrania o tematyce gospodarczej dla osób, które nigdy nie studiowały ekonomii.

Udało wam się dotrzeć do szerszej grupy odbiorców?

Hannah Dewhirst: Mieliśmy wsparcie i byliśmy widoczni w mediach, udało nam się trafić do ogólnokrajowych gazet. To podnosi świadomość, ale teraz ważne jest by przekuć to na aktywność. A to już zadanie dla lokalnych grup na uniwersytetach, które powinny prowadzić kampanie i docierać do studentów i wykładowców.

Czy studiowanie ekonomii wywołało kiedyś u was poczucie rozczarowania?

Cahal Moran: O tak. Pierwszy rok studiów nie jest wymagający i bardzo przypomina zajęcia z ekonomii w liceum. Za to na drugim, gdy

w mediach. Tymczasem na studiach w ogóle się tym nie zajmujesz.

Hannah Dewhirst: W Manchesterze jestem na studiach magisterskich, a wcześniej zrobiłam licencjat w Oxfordzie. Kiedy szłam na ekonomię, chciałam uczyć się historii społecznej i dowiedzieć się więcej na temat gospodarczych ruchów społecznych w przeszłości, jednak niczego takiego w programie moich studiów nie było. A gdy badając zagadnienia z obszaru

którego nawet gdyby się zgodzili, to i tak nie mają wystarczającej wiedzy w tym zakresie, by wykladać poszerzony materiał. Zresztą takie zmiany nie dokonały się jeszcze ani w Manchesterze, ani na innych uniwersytetach. Ale wprowadzenie bardziej praktycznego i bliższego rzeczywistości podejścia, więcej historii gospodarczej i historii myśli ekonomicznej czy zajęć z komunikacji, to postulaty, które da się zrealizować, i to widać na przykładzie Manchesteru. Pojawił się bowiem

**HEY
MR. ECONOMICS PROFESSOR,**

How come the financial meltdown of 2008 caught almost all of you academics, policy makers and think tanks flat-footed, shaking your heads in disbelief? How is it possible that not even one in a hundred of you saw the crisis coming?

THE NEW YORK TIMES MAGAZINE HOW DID ECONOMISTS GET IT SO WRONG?

BUSINESS WEEK WHAT GOOD ARE ECONOMISTS ANYWAY?

THE FINANCIAL TIMES SWEEP ECONOMISTS OFF THEIR THRONE!

ATLANTIC MAGAZINE WILL ECONOMISTS ESCAPE A WHIPPING?

MONEY MAGAZINE HOW TO REBUILD A SHAMED SUBJECT*

No scientific discipline has ever suffered such a devastating blow to its credibility ... so Mr. Professor, how come nothing has changed? Why are we still being taught the same old stuff? Shouldn't a basic reassessment of the curriculum be happening at our university?

* Courtesy of Ed Fullbrook, How to Bring Economics into the 21st Millennium by 2020.

Projekt Kick it Over, AdBusters. <http://kickitover.adbusters.org/>

zaczynają się już konkretne teorie i modele, przerabia się kolejne moduły bez sięgania do dowodów empirycznych. To po prostu abstrakcja. W czasie gdy byłam na studiach licencjackich, ani razu nie wspomniano o szalejącym wówczas kryzysie strefy euro. Wprawdzie o wcześniejszym kryzysie finansowym kilka razy napomknięto, ale i tak nie studiowaliśmy go zbyt szczegółowo na makroekonomii.

To właśnie czuli założyciele PCES. Byli zaskoczeni, czym jest ekonomia. Gdy szli na uniwersytet, spodziewali się, że będą w stanie rozumieć zdarzenia, o których słyszą

ekonomii politycznej, byłam zmuszona zapisać się na przedmiot z wydziału nauk politycznych, nie mogłam uwierzyć, że takie zajęcia nie są ujęte w programie studiów na wydziale ekonomii.

Skoro już mówimy o wydziale ekonomii, z jakimi reakcjami spotykają się tam wasze działania? Jest opór?

Cahal Moran: Tak, wciąż natykamy się na opór. Opowiadamy się za pluralizmem i uwzględnieniem większej ilości perspektyw teoretycznych, na to jednak wielu ekonomistów się nie zgadza. Są też tacy,

nowy przedmiot dotyczący polityk publicznych, a część wykładów została odświeżona, tak by były bardziej interesujące, jednak jeśli chodzi o te poważniejsze kwestie, to wszystko pozostało po staremu. Trudno jest przeforsować zmiany na wydziale, jeśli mogą być zablokowane przez samotne veto. Poza tym tak naprawdę nigdy nie wiadomo, jakie opinie przeważają wśród wykładowców.

Ale chyba można znaleźć jakieś pozytywne przykłady? Słyszeliśmy, że Uniwersytet Kingston pod tym względem radzi sobie całkiem niezle...

Hannah Dewhirst: Poziom pluralizmu w nauczaniu ekonomii na brytyjskich uniwersytetach jest różnicowany. W Manchesterze wciąż dominuje nurt neoklasyczny, jednak niektóre uniwersytety przez ostatnie lata sporo się zmieniły. Tak się stało między innymi we wspomnianym przez ciebie Kingston. Z kolei grupy studentów na Goldsmiths czy SOAS (Szkoła Studiów Orientalnych i Afrykańskich Uniwersytetu Londyńskiego) biorą udział w kampanii jedynie w celu wsparcia działań ogólnokrajowych, bo na tych wydziałach ludzie są raczej zadowoleni z programu studiów.

Cahal Moran: Zmiany zaszły na uniwersytetach, które wcześniej i tak były już bardziej pluralistyczne w nauczaniu ekonomii. I dlatego nigdy nie doświadczyły większych protestów ze strony studentów.

Hannah Dewhirst: I właśnie dlatego sieciowanie grup z całego kraju ma sens. Ludzie z bardziej pluralistycznych uniwersytetów mogą dzielić się doświadczeniami z osobami, które nie mają takiego szczęścia. To dobry impuls do działania.

Czy wiecie coś na temat podobnych grup działających w Polsce?

Hannah Dewhirst: Nie słyszałam o żadnych grupach działających w Polsce, ale w ostatnim miesiącu otrzymałam kilka maili od Polaków, którzy chcą zostać członkami Rethinking Economics.

Cahal, jesteś jednym z autorów książki Ekonokracja (The Econocracy). Twierdzenie w niej, że pozostawianie ekonomii ekspertom jest nierozsądne.

Cahal Moran: Książka ma dwa ważne przesłania. Po pierwsze, przedstawiamy opinie ruchu studenckiego na temat wszystkich niedomagań ekonomii i dokonujemy przeglądu programów nauczania ekonomii na siedmiu najlepszych brytyjskich uniwersytetach. Po drugie, pokazujemy że te problemy z ekonomią są naprawdę istotne dla świata. Bo oczywiście paleontologia jako dziedzina też może mieć swoje problemy, ale nie jest to aż tak ważne dla świata, ponieważ to ekonomia dominuje w polityce i w mediach. Ekonomia jest językiem raportów think-tanków, używa się jej w zarządzaniu bankami centralnymi i instytucjami takimi jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Poprawa edukacji ekonomicznej z jednej strony sprawiłaby, że eksperci byłiby lepsi, a z drugiej pomogłaby odzyskać ekonomię z ich rąk i zachęcić do społecznego dialogu.

Hannah Dewhirst – odpowiedzialna za członkostwo w organizacji Rethinking Economics, studentka programu Pokój i Konflikt na Uniwersytecie Manchesteru. Wcześniej ukończyła studia na kierunku Filozofia, Polityka i Ekonomia na Uniwersytecie w Oxford. Brała czynny udział w kampaniach dot. płacy minimalnej i ograniczenia zużycia paliw kopalnianych.

Cahal Moran – doktorant na wydziale ekonomii Uniwersytetu Manchesteru, zajmuje się stosowaną ekonomią behawioralną. Jest członkiem koła studenckiego Post-Crash Economic Society na Uniwersytecie Manchesteru i współautorem książki *The Econocracy: The perils of Leaving Economics to Experts (Ekonokracja: ryzyko powierzenia ekonomii ekspertom)*



O wartościach i naturze współczesnej ekonomii z prof. Jerzym Wilkinem rozmawia Jan Chudzyński.

Nie uważa Pan, że ekonomia jako dyscyplina nauki bardzo mocno kojarzy się dziś z finansami?

Współcześnie, przynajmniej dla części ludzi, ekonomia rzeczywiście kojarzy się z takim swoistym żonglowaniem pieniędzmi. Odbiera się ją jako wiedzę, która pozwala ludziom zdobywać i mnożyć pieniądze. Stąd wśród studentów, również na wydziale, z którym byłem tak długo związany, czyli Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego, wyraźnie rosło zainteresowanie sprawami finansów. To jest taka dziedzina, w której można zarobić spore pieniądze, bo specjaliści od finansów są na ogół dobrze wynagradzani. Poza tym, to jest poszerzająca się część aktywności gospodarczej, chyba zbyt obszerna i za bardzo rozbudowana w stosunku do potrzeb, które zaspokaja. Proszę zauważyć, że duża część działalności wykształconych ekonomistów polega na tym, jak pomnażać i jak dynamizować obroty finansowe. Może Pan w każdej chwili zaproponować i wpuścić do obiegu jakiś nowy instrument finansowy i zarobić na tym bardzo duże pieniądze, jeśli zostanie on zaakceptowany. To jest dla wielu bardzo atrakcyjna dziedzina.

Natomiast najważniejsze pytania są związane z tym, jak dobrze wykorzystać ograniczone zasoby dla zaspokajania potrzeb ludzi. To jest podstawowe pole działalności ekonomisty i ekonomii jako nauki.

Ekonomia jest nauką społeczną, czy należy do jakiegoś innego obszaru nauki?

Ekonomia jest zaliczana do nauk społecznych. Jest nauką o człowieku, i to o człowieku w relacjach społecznych. Ja uważam jednak, że ekonomia w dużym stopniu jest nauką humanistyczną. Ekonomia wyłoniła się kiedyś z filozofii, a filozofia jest nauką humanistyczną i ekonomia wciąż wraca do niektórych problemów filozoficznych.

Ekonomia nie jest jednak odporna na ideologie, na sądy wartościujące, i dlatego wydaje mi się, że wiedza ekonomiczna nie jest neutralna światopoglądowo...

Nie jest. Jest takie znane twierdzenie, że nauka powinna być, jak to Weber mówił, *value free*, czyli mówić głównie o tym, jak jest, niezależnie od poglądów politycznych czy moralnych badacza. W rozważaniach metodologicznych określa się to jako tzw. podejście pozytywne do nauki. To, o czym pan mówi, czyli ideologie i wartości, są cechą innego podejścia, które nazywa się normatywnym. W ekonomii od dawna, prawie od jej początków, jest dyskusja o tym, na ile jest ona nauką pozytywną, a na ile normatywną. Jest spora grupa badaczy, w tym taka słynna postać w ekonomii jak Milton Friedman, którzy zauważają, że to powinna być typowa nauka pozytywna i mówić o tym, jak jest. Tak jak fizyka mówi o tym, jak jest. Fizyka bada, jak to się dzieje, że pewne zjawie-

EKONOMIA ULEGŁA ODHUMANIZOWANIU



Fot: Flickr.com / Lena Vasiljewa

.....
ska przebiegają w ten a nie inny sposób, i w ekonomii również powinno się przede wszystkim wyjaśniać oraz opisywać procesy zachodzące w gospodarce.

No właśnie, na przykładzie Friedmana można pokazać, że jednak czasami taka ekonomia pozytywna może być zakamuflowaną ekonomią normatywną. Badania pokazują, że ekonomia w porównaniu z innymi kierunkami studiów w większym stopniu wzmacnia u studentów postawy egoistyczne.

U podstaw nowoczesnej teorii ekonomii leżała koncepcja człowieka ekonomicznego, homo economicus. Ten człowiek nie jest sympatyczną postacią. Po pierwsze to egoista, który kieruje się głównie swoimi interesami. Po drugie, jest to osoba dążąca do maksymalizacji swojej satysfakcji. Próbowano to w ekonomii zmodyfikować, wskazując na to, że jednak w działalności człowieka jest przestrzeń dla altruizmu i że człowiek nie jest taki całkiem racjonalny. Ale ekonomia i tak wciąż bazuje na tym założeniu. I jak otworzy pan współczesny podręcznik, to ciągle jest to fundament metodologiczny budowy teorii ekonomii.

To podejście pozwala na osiąganie większych korzyści, a w dodatku daje temu podbudowę teoretyczną: jeśli coś sprzyja wzrostowi gospodarczemu czy modernizacji, to jest dobre. Czyli krótko mówiąc, jest tak jak w filmie Oliviera Stone'a "Wall Street" z Michaeliem Douglasem, gdzie pada to słynne "Greed is good". Chciwość jest dobra, "nie miej wyrzutów sumienia, że opanowała cię chciwość, że chcesz więcej, większych zysków, ponieważ to sprzyja gospodarce". Wiele osób tak uważa i część, a być może nawet większość ekonomistów również.

Dlatego też boję się, że próba wyceniania środowiska naturalnego zamiast pomóc, może doprowadzić do jeszcze więk-

szej jego instrumentalizacji. Na zasadzie "chronimy tylko, jeśli się to opłaca, jeśli sprzyja to wzrostowi gospodarczemu".

Uważam że osiągnięcia w wycenie niektórych składników przyrody i zasobów naturalnych pomogły dobrze nimi gospodarować. Ale oczywiście wielu rzeczy nie wyceni pan w pieniądzu, to jest jasne. Na przykład różnorodność środowiska, czy bioróżnorodność, jest wartością samą w sobie. Tu po prostu trzeba szukać pewnego kompromisu, bo wzrost i rozwój gospodarczy zawsze będą się wiązać z korzystaniem ze środowiska.

Wiedza ekonomiczna nie musi mieć takiego wąsko rozumianego, pragmatycznego wymiaru. Niezwykle pozytywnym i wartościowym osiągnięciem jest koncepcja rozwoju zrównoważonego (sustainable development), która godzi kwestie środowiskowe, społeczne i ekonomiczne. To koncepcja i hasło nawołujące, żeby tak gospodarować, aby przyszłym pokoleniom nie zostawić uszczuplonych możliwości rozwoju, nie żyć i bogacić się kosztem przyszłych pokoleń.

Ekonomia pozwala też na budowanie lepszego społeczeństwa. Robert Shiller, w książce "Finance and the Good Society" uczula studentów i finansistów, żeby pamiętali, że po to uczyli się nie tylko makroekonomii, ekonometrii i rachunkowości, ale też socjologii, filozofii i etyki, żeby tę wiedzę wykorzystać do budowy lepszego społeczeństwa. Ale to jest bardzo trudne. To jest szlachetne hasło, natomiast w praktyce nie jest z tym najlepiej.

Tworzony przez studentów ekonomii międzynarodowy ruch wskazuje, że wiele dzisiejszych problemów społecznych i gospodarczych jest konsekwencją wiedzy, jaką wyklada się na wydziałach ekonomicznych.

Tak, to prawda. Ze smutkiem obserwuję, że ekonomia wyklada-

na w Polsce na wielu uczelniach, w tym mojej macierzystej, uległa pewnego rodzaju odhumanizowaniu. Z wielu programów studiów wyeliminowano historię, socjologię, filozofię. Mało tego, eliminowano też historię myśli ekonomicznej albo historię gospodarczą, które są niezwykle wartościowym źródłem wiedzy i refleksji o gospodarce. Czyniono to na rzecz przedmiotów wyspecjalizowanych, jak teorie finansów, ekonometria, badania operacyjne i mnóstwo innych, bardziej szczegółowych przedmiotów. One są niezwykle użyteczne, jeśli jest Pan na przykład wysokiej rangi bankowcem czy analitykiem w korporacji.

Studenci oczekują bezpośrednio aplikowalnej wiedzy, zwłaszcza studenci ekonomii. To jest wręcz żądanie, żeby materiał był bezpośrednio użyteczny. Uważam, że to jest pewne nieporozumienie w świetle tradycyjnie rozumianych celów kształcenia uniwersyteckiego. I na szczęście zaczyna pojawiać się już refleksja nad skutkami tego pójścia w kierunku instrumentalizacji i przesadnej matematyzacji ekonomii. Rozważa się przywrócenie pewnych przedmiotów, które rozszerzają horyzonty i wiedzę o funkcjonowaniu społeczeństwa, czy funkcjonowaniu złożonych systemów.

Środowiska studenckie były zazwyczaj źródłem wielu form krytyki społecznej. To ludzie wrażliwi, otwarci na nowe rozwiązania, dostrzegający też nowe zagrożenia. W Polsce teraz może być inaczej ze względu na to, że wciąż żyjemy w okresie nowej gospodarki, nowych form kariery i dużych możliwości awansu.

Na razie zdobywamy umiejętności techniczne i bogacimy się, a na krytyczne myślenie przyjdzie czas później?

No tak... Ale w Polsce też zaczyna się odczuwać potrzebę pogłębionej refleksji nad tym, czy jednak to poszło w dobrym kierunku, czy

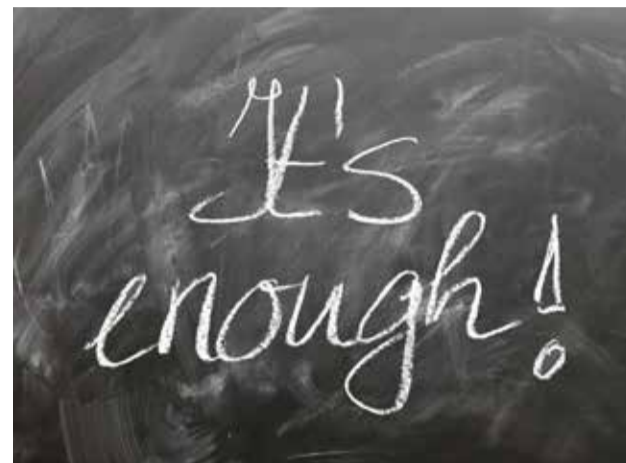
to jest coś naprawdę wartościowego. Taki ruch intelektualny się zaczyna. Ale to są początki. W Anglii po rozpoczęciu w roku 2008 kryzysie pojawiła się wzmożona krytyka sektora finansów, który miał duży wkład w jego wywołanie. Podobnie w USA, gdzie powstał ruch Occupy Wall Street.

A może, oprócz eliminowania z programów studiów ekonomicznych przedmiotów humanistycznych i społecznych, problemem jest też kondycja uniwersytetu?

Henryk Samsonowicz, znany historyk i były rektor UW, opisując kiedyś historię uniwersytetów wskazał, że to czego dziś brakuje to "nauczanie przez gadanie", co było podstawą kształcenia uniwersyteckiego. Chodzi o pewien rodzaj wykładów, ale przede wszystkim dyskusji. Grupa studentów i profesorów w Akademii Platońskiej spacerowała i rozmawiała godzinami, i to było kształcenie przez gadanie. Kształcenie uniwersyteckie to przede wszystkim dyskusja, słuchanie, to dobór argumentów i kultura dyskusji. Proszę pójść teraz i poszukać autentycznych dyskusji na zajęciach ze studentami; to jest coraz rzadsze zjawisko. Ludzie, w większości, nie potrafią też w ogóle słuchać, a jak ktoś nie umie słuchać, to nie będzie uczestnikiem dobrej dyskusji.

.....
Jerzy Wilkin – profesor ekonomii, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk, kierownik Zakładu Integracji Europejskiej Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN; wieloletni wykładowca i kierownik Katedry Ekonomii Politycznej na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego. Doktor honoris causa Uniwersytetu w Białymstoku (2011) i Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie (2015).

TRZY OBLCICZA ZIELONEJ GOSPODARKI



Czy zielone technologie wystarczą, aby zatrzymać kryzys ekologiczny i zbudować bardziej zrównoważoną gospodarkę?

We wszystkich koncepcjach zielonej gospodarki i we wszystkich strategiach transformacji najwięcej uwagi poświęca się innowacjom technologicznym. Są one postrzegane jako sposób na zwiększenie efektywności wykorzystania zasobów i znalezienie substytutów dla tych z nich, których zaczyna brakować. Nie dostrzega się już istniejących i potencjalnych negatywnych skutków społecznych i ekologicznych, grożących szczególnie w przypadku zakrojonych na wielką skalę rozwiązań technologicznych.

Nie wszystko, co uważa się za pomocne w walce ze zmianami klimatu – nawożenie oceanów, ogromne lustra w przestrzeni kosmicznej, energia atomowa, gigantyczne tamy – można uznać za akceptowalne z punktu widzenia dobra społecznego i wpływu na środowisko. To samo odnosi się do inżynierii genetycznej, która zdaniem niektórych pomoże pokonać kryzys żywnościowy. Konsekwencje tych technologii dla ludzi i środowiska nie są niestety badane z należytą troską ani przemyślane pod względem politycznym. Dlatego niezwykle pilne jest, aby ocena wszystkich aspektów konsekwencji technologii stała się częścią politycznej debaty. Ze względu na współzależną naturę globalnej ekonomii nie wystarczy już dłużej zajmowanie się tym na szczeblu narodowym. W tym sensie Rio+ 20 mogło uutorować drogę dla inicjatywy na poziomie ONZ, mającej na celu ocenę skutków stosowania różnych technologii.

Revolucja w zasobach i efektywności – wydaje się, że stało się to ostatecznym horyzontem, jedynym panaceum, zaklęciem naszych czasów. Największą nadzieję pokłada się w uniezależnieniu produktu krajowego brutto (PKB) od zużycia zasobów; ściśle wiąże się to z wiarą, że kryzys ekologiczny i żywnościowy można powstrzymać za pomocą technologii. To uniezależnienie PKB od zużycia zasobów ma znaczenie podstawowe, zaś redukcja zużycia zasobów jest palącym wyzwaniem. Lecz pytanie brzmi: jak to można osiągnąć?

Pierwszą odpowiedzią jest wydajność (efficiency): efektywniejsze wykorzystanie energii i surowców.

Ponad 90% surowców i energii zmobilizowanych do produkcji dóbr konsumpcyjnych zostaje zużyte na długo przed stadium gotowego produktu. Chodzi np. o odpady w przemyśle wydobywczym, straty ciepła w elektrowniach, jałowienie gleby w zmechanizowanym rolnictwie, odpady z przetworzenia drewna i metali, ziarno w hodowli zwierząt, wodę używaną przy wykańczaniu metali czy koszty transportu związane z dostarczaniem paliwa. Im mniejsze zużycie zasobów – tym bardziej wydajna ekologicznie gospodarka. Bardzo dużo osiągnąć można dzięki zastosowaniu alternatywnych technologii, metod i produktów, które drastycznie

zmniejszają zużycie energii i surowców. Strategia wydajności będzie miała wielki potencjał, jeśli uzyska odpowiednie wsparcie ze strony polityki. Chodzi o takie rozwiązania jak ustawowe standardy, zmniejszenie subwencji dla produktów wytwarzanych przy użyciu paliw kopalnych czy normy efektywności dla domów mieszkalnych, maszyn i urządzeń.

Należy jednak zwrócić uwagę na efekt odbicia. Pojawia się on, gdy poprawa efektywności umożliwia inną działalność wymagającą intensywnego zużycia zasobów, niwecząc tym samym jakiegokolwiek korzyści z osiągniętej oszczędności bądź wzrostu wydajności. Jest szereg osławionych przykładów tego zjawiska. Np. oszczędności uzyskane dzięki bardziej wydajnemu systemowi ogrzewania marnują się wskutek zwiększenia przestrzeni mieszkalnej; korzyści z wydajniejszych silników ulatniają się, gdy zwiększa się wagę i szybkość pojazdu; korzystny dla środowiska skutek stosowania wydajniejszych linii produkcyjnych jest niweczony w rezultacie rozszerzenia i zwiększenia produkcji.

Zjawisko to dotyczy szczególnie sytuacji, które określa się jako korzystne dla wszystkich graczy, które obiecują korzyści ekologiczne równocześnie z zyskami gospodarczymi. Mają one niejako „wbudowany” efekt odbicia z powodu wyższych profitów finansowych. Co więcej, to gospodarki wschodzące są najbardziej dotknięte efektem odbicia, gdyż startują z niższego poziomu wyposażenia i maszyn.

Revolucja wydajności jest propagowana jako ostateczne rozwiązanie, mimo że ostatnie badania pokazały, iż różne efekty odbicia – finansowe, materialne, ilościowe, a także psychologiczne – uniemożliwią utrzymanie konsumpcji w ramach ograniczeń ekologicznych. Obecnie, zgodnie z opublikowanym przez niemiecką rządową komisję badawczą w grudniu 2011 r. raportem pt. „Wzrost, bogactwo, jakość życia” („Growth, Wealth, Quality of Life”), „dostępnych jest bardzo mało analiz wpływu zwiększenia efektywności na zużycie zasobów na poziomie całej gospodarki”. Dalej autorzy wyrażają opinię, że „jeśli chodzi o strategię uniezależnienia PKB od zużycia zasobów, najbardziej daje się zauważyć, że jakkolwiek zużycie niektórych surowców zwiększyło się mniej gwałtownie niż PKB (uniezależnienie względne), liczba przypadków, w których nastąpiła bezwzględna redukcja zużycia zasobów (uniezależnienie absolutne) jest bliska zera” (Madlener i Alcott, 2011). Wniosek: wydajniejsze użycie zasobów musi iść parze ze skromniejszymi celami. Jeśli nie nastąpi rewolucja na poziomie wystarczalności, rewolucji wydajności będzie brakować kierunku.

Drugą odpowiedzią jest spójność (consistency): przedstawienie się na technologie mniej szkodliwe dla środowiska.

Obejmując nadal strategię wydajności, bardziej zaawansowane koncepcje zielonej gospodarki przykładają duże znaczenie do strategii harmonii, czyli do zapewnienia kompatybilności przemysłu ze środowiskiem naturalnym. W jaki sposób możemy eksploatować naturę, nie niszcząc jej?

Odpowiedzi dostarczają technologie sprzed ery paliw kopalnych: trójpolowy system uprawy ziemi, budownictwo drewniane, wiatraki, żaglowce. Wszystkie one kierują się podobną logiką. Ludzie muszą nauczyć się współgrać z naturalnym przepływami, zanim będą je mogli wykorzystać i posłużyć się nimi dla własnego pożytku.

Jednak obecnie, w erze po paliwach kopalnych, mamy do naszej dyspozycji inny arsenał technologii. Biotechnologia i informatyka, bionika i inżynieria mogą działać zgodnie z taką samą logiką – wykorzystywania natury bez upośledzania jej zdolności regeneracyjnych. Najbardziej widocznym przykładem tego rodzaju strategii są energie odnawialne, innym rolnictwo organiczne. Wiatr, energia słoneczna i geotermalna, podobnie jak mikroorganizmy i składniki odżywcze, wszystkie one są naturalnymi przepływami, które zasadniczo można okiełzać i wykorzystywać dla dobra ludzi, nie niszcząc ich jednocześnie. Wyraźną zaletą strategii harmonii w porównaniu do strategii wydajności jest zrównoważony kierunek rozwoju technologicznego, podczas gdy strategie wydajności mogą prowadzić w ślepią uliczkę.

Jej słabą stroną jest to, że stosowana na szeroką skalę bardzo szybko napotyka ograniczenia. W końcu nawet odnawialna energia i zasoby nie są nieskończone. W szczególności mamy bardzo niewielkie możliwości powiększania arealów pod uprawę biomasy, przeznaczonych do produkcji bioenergii, bez wystawiania na ryzyko produkcji żywności i środowiska naturalnego. Wiemy od dawna, że znalezienie substytutu dla rzadkiego surowca nie jest łatwe. Np. powierzchnia dostępnych gruntów rolnych zmniejszyła się ąw ostatnich dziesięcioleciach z 0,45 ha do mniej niż 0,25 hektara na głowę mieszkańca naszej planety. Im bardziej technologia staje się zintegrowana z naturalnymi cyklami, tym bardziej rytmy i jej zdolności produkcyjne działają jak hamulec na nasze nadmierne wymagania co do jej wydajności, chyba że uciekniemy się znowu do użycia paliw kopalnych.

Zarówno strategia efektywności, jak i harmonii, nie będą w stanie osiągnąć stawianych przed nimi zadań, jeśli nie będzie im towarzyszyć zasada wystarczalności (sufficiency) – dobrobyt z umiarem zamiast nieokiełznanej konsumpcji. Tego jednak ewidentnie brakuje we wszystkich koncepcjach zielonej gospodarki.

Fragment opracowania „Critique of the Green Economy: Toward Social and Environmental Equity” wydanego przez Fundację im. Heinricha Bölla (rozdział „Technology and efficiency as a cure-all”). Tekst na licencji CC-BY-NC-ND.

Tłumaczenie: Jan Skoczylas

**HEINRICH BÖLL STIFTUNG
WARSZAWA**

Fundacja im. Heinricha Bölla jest niemiecką fundacją zielonej polityki działającą w 60 krajach na rzecz zrównoważonego rozwoju, ponadkulturowego porozumienia i edukacji. Nasz patron – pisarz i laureat nagrody Nobla – Heinrich Böll, uosabia wartości, które Fundacja reprezentuje: obronę wolności, odwagę cywilną, tolerancję i otwartość.

Wspólne, europejskie wartości, demokracja płci i transformacja energetyczna są zarówno tematem, jak i punktem odniesienia aktywności Przedstawicielstwa w Warszawie. Od 2002 roku wspieramy rozwój społeczeństwa obywatelskiego poprzez wspólne przedsięwzięcia z NGO-sami, środowiskami akademickimi, think tankami i administracją publiczną.

PRAWDZIWA TWARZ WZROSTU



Vandana Shiva

Vandana Shiva: Natura i ludzie nie mają już znaczenia, „wzrost” zastąpił dobro Ziemi i społeczności.

Podtrzymywanie i odnowa życia - dobro wszystkich istot - jest naszym najwyższym celem i priorytetem wszystkich przyjaznych Ziemi kultur i gospodarek.

Priorytetami dominującego paradygmatu gospodarczego są oczywiście „postęp” i „wzrost”, lecz jest to wskaźnik całkowicie mechaniczny, określający jedynie przyrost ilości pieniędzy, i stawianie go na pierwszym miejscu powoduje niszczenie zarówno Natury, jak i społeczeństwa.

Spółeczeństwo i kulturę zredukowano do gospodarki, gospodarke do ekonomii rynkowej, ekonomię rynkową do finansów, a te z kolei do abstrakcyjnych instrumentów o nazwach takich jak derywaty, sekurytyzacja i zabezpieczone dłużne instrumenty finansowe. Jednocześnie społeczność Ziemi została ograniczona do społeczności ludzkiej, zaś ludzi - obywateli Ziemi, z ich obowiązkami i prawami - zastąpiły wielkie korporacje bez jakichkolwiek zobowiązań wobec Ziemi czy społeczeństwa.

Korporacjom przyznano osobowość prawną, a prawa korporacyjne unicestwiły prawa Ziemi oraz prawa ludzi do jej bogactw i darów. Prawa korporacyjne oparte są, rzecz jasna, całkowicie na kryterium maksymalizacji zysków.

Oddalenie finansowych instrumentów wzrostu od rzeczywistości musi prowadzić do powstania różnego rodzaju „baniek” - takich jak „bania mieszkaniowa”, „bania żywnościowa” czy „bania gruntu”. Iluzja wzrostu i fikcyjne finanse sprawiły, że gospodarka stała się chwiejna i nieprzewidywalna, zaś fikcja korporacji jako osoby prawnej zastąpiła obywateli, wskutek czego nasze społeczności stały się niestabilne i niezrównoważone.

Na początku XX wieku Lord Richard Haldane powiedział: „korporacja jest pojęciem abstrakcyjnym. Nie ma własnego umysłu ani ciała”. Jednak mimo że korporacje nie są realnymi osobami, za takie uznaje je prawo. Sztuczna konstrukcja otrzymuje w ten sposób „prawa człowieka” i jest w stanie usunąć prawa rzeczywistych ludzi oraz naturalne prawa wszystkich istot.

Korporacjom pozwala się również na rozszerzenie ich „praw człowieka”. Są one w stanie one przekształcić bioróżnorodność w swoją „własność intelektualną” poprzez tworzenie regulacji takich, jak Porozumienie w sprawie Handlowych Aspektów Praw Własności Intelektualnej (the Agreement on Trade-Related Aspects of Intellectual Property - TRIPS), będącej załącznikiem do porozumienia w sprawie utworzenia Światowej Organizacji Handlu (WTO). Korporacje mogą, na przykład, posiadać na własność wodę i rzeki. Mogą być właścicielami powietrza, przestrzeni powietrznej, a nawet znajdujących się w at-

mosferze związków węgla. Mogą również mieć własne służby ekologiczne i sprzedawać ich usługi w ramach tzw. „zielonej gospodarki”.

Demokracja powinna być tworzona z woli ludzi, przez ludzi i dla ludzi. Lecz 21 stycznia 2010 roku Sąd Najwyższy USA, orzekając, że „ograniczenie wpływu korporacji na proces polityczny stanowi naruszenie ich swobodny obywatelskich”, zalegalizował demokrację korporacyjną, budowaną z woli korporacji, przez korporacje i dla korporacji.

Publicysta specjalizujący się w amerykańskiej kulturze i technologii, Douglas Rushkoff, zauważa: „Pomimo że są one tworami sztucznymi, z większym dostępem do kapitału, z nieograniczoną długością życia, pomimo że nie interesuje ich ludzkość ani nie mają z nią żadnego związku, gwarantujemy im teraz prawo do swobody wypowiedzi. (...) Intencją twórców idei wolności słowa było przede wszystkim zapewnienie istotom ludzkim możliwości otwartego wypowiedzenia się przeciwko zorganizowanej przemocy strukturalnej. Teraz sama przemoc strukturalna ma zagwarantowane te same prawa”.

W rezultacie decyzja Sądu Najwyższego w sprawie organizacji Citizens United przeciwko Federalnej Komisji Wyborczej (Federal Election Commission) umożliwia korporacjom przywłaszczenie obywatelskiego prawa do demokracji. Pozwala im na umocnienie państwa korporacyjnego, które prywatyzuje każdy aspekt życia - żywność, wodę, służbę zdrowia, edukację - i przekształca je w towary służące maksymalizacji zysków.

Korporacje posługują się w tym celu trzema narzędziami. Pierwszym z nich jest użycie technologii, które przenoszą produkcję z lokalnych społeczności do odległych przedsiębiorstw, zastępując naturalną bioróżnorodność toksycznymi produktami i redukując wszystkich do roli konsumentów trujących, nieodnawialnych fabrykatów, których rzeczywiste koszty są wysokie, ale cena niska. Drugim sposobem jest tworzenie instrumentów służących do nagromadzenia bogactwa. Należą do nich: mierzenie zasobności za pomocą kapitału, nie biorąc pod uwagę zasobów Natury i dobrobytu społeczeństwa, oraz określanie zamożności za pomocą PNB i PKB. Najczęściej technologia i instrumenty przywłaszczania zasobów stosowane są razem i nawzajem się wzmacniają. Stąd inżynieria genetyczna idzie w parze z patentami na życie (? - IK) i prywatyzacją bioróżnorodności, a budowa tam na wielkich rzekach łączy się z prywatyzowaniem zasobów wodnych.

Globalizacja narzuciła ten okrojony model bycia człowiekiem na całym świecie, i stopniowo okrada istoty ludzkie z ich różnorodności kulturowej i wspólnego uniwersalnego człowieczeństwa, wynikającego z przynależności do naszej Społeczności Ziemi.

Trzecim narzędziem maksymalizacji zysków są abstrakcyjne instrumenty finansowe, które umożliwiają generowanie pieniędzy za pomocą pieniędzy. Lecz jednocześnie niszczone jest życie w Naturze i zubażane życie społeczne.

Podkopywanie ogólnej pomyślności i prawdziwego dobrobytu



Fot. Flickr.com / Leadnow



Fot. Flickr.com / Greenpeace Polska

usprawiedliwia się wciąż potrzeba „wzrostu” i „postępu”. Ale wzrostu czego? Postępu w stronę czego?

Wzrost ilości pieniędzy i sektora finansowego idzie w parze ze wzrostem niezadowolenia i depresji, ubóstwa i zniszczenia, głodu i pragnienia. Nieobecność wzrostu finansowego i brak transakcji komercyjnych w kulturach i społecznościach tubylczych uważa się za brak „postępu” i dowód na to, że kultury zrównoważone są „stacyjne”. Lecz zrównoważenie nie jest stanem statycznym: jest dynamiczne.

Rabindranath Tagore napisał: „Musicie oceniać postęp na podstawie jego celu. Pociąg przemierza się w stronę stacji końcowej, w kierunku której znajduje się w ruchu. Jednak nie da się w ten sposób zdefiniować ruchu dojrzałego drzewa, jego rozwój jest wewnętrznym rozwojem życia. Żyje ono, dążąc do światła drżącego na jego liściach i wkradającego się ukradkiem do jego bezgłośnie krążących soków”. Wzrost życia nie może być mierzony za pomocą tych samych

kryteriów, co wzrost ilości towarów, handlu i pieniędzy.

Dominujący model „rozwoju gospodarczego” stał się w istocie przeciwny życiu. Najwyższą cenę za ten „błędny sposób pomiaru” wzrostu płać kobiety, członkowie społeczności tubylczych, rolnicy i przyszłe pokolenia.

Paradygmat „wzrostu” jest obecnie coraz częściej na całym świecie mocno kwestionowany. W krajach bogatej Północy poszukiwanie innego modelu wynika z rozczarowania gospodarką opartą na wzroście, i dlatego, że nie przyniosła ona zadowolenia, radości i szczęścia, jak również dlatego, że właśnie jesteśmy świadkami jej postępującego załamania. W krajach Południa konieczność wyjścia poza wzrost bierze się z faktu, że pozbawia on zasobów biednych ludzi - ich ziemi, bioróżnorodności i nasion, ich wody i pożywienia. Wzrost niszczy gospodarki samowystarczalne, które oparte są na zasadzie wystarczającej ilości dóbr, samodzielności i własnych środków utrzymania. Bogaci i moiżni

z Południa, którzy stali się jeszcze bogatsi i potężniejsi, domagają się, rzecz jasna, dalszego wzrostu.

Za brutalnym zastąpieniem samowystarczalnych społeczności przez narzuconą konieczność wzrostu kryją się zniszczenia ekologiczne i wywłaszczenie gospodarce tych grup. Natura i ludzie nie mają już znaczenia, „wzrost” zastąpił dobro Ziemi i społeczności. Środki stały się celami, a cele ludzkie zostały zapomniane.

Tłumaczenie: Jan Skoczylas

Artykuł został po raz pierwszy opublikowany w numerze 269 czasopiśma *Resurgence & Ecologist*, listopad/grudzień 2011. Tłumaczenie zamieszczamy za pisemną zgodą wydawcy, za którą bardzo dziękujemy.

Vandana Shiva - indyjska fizyczka, ekofeministka, działaczka na rzecz środowiska i publicystka. W 1993 roku Shiva otrzymała nagrodę Right Livelihood Award (znaną jako Alternatywna Nagroda Nobla), za "umieszczenie kobiet i ekologii w centrum współczesnej problematyki rozwoju"

WIELKA ZMIANA

Fot.pexels.com

Joanna Macy

Joanna Macy: Wielka Zmiana jest przejściem od Społeczeństwa Wzrostu Przemysłowego do cywilizacji podtrzymującej życie.

Wielka Zmiana jest nazwą najważniejszej przygody naszych czasów: przejścia od Społeczeństwa Wzrostu Przemysłowego do cywilizacji podtrzymującej życie.

Kryzysy ekologiczne i społeczne, w obliczu których stoimy, spowodowane są przez system gospodarczy zależny od ciągłego wzrostu. Ta autodestrukcyjna gospodarka polityczna wyznacza swoje cele i ocenia skuteczność w kategoriach ciągłego wzrostu zysków przedsiębiorstw – innymi słowy tego, jak szybko surowce mogą być wydobywane z Ziemi i przekształcone w produkty, broń i odpady.

Jednocześnie jesteśmy w trakcie rewolucji, ponieważ ludzie uświadamiają sobie, że możemy zaspokoić swoje potrzeby, nie niszcząc naszego świata. Dysponujemy wiedzą technologiczną, narzędziami komunikacyjnymi i zasobami materialnymi, pozwalającymi na wyprodukowanie wystarczającej ilości żywności, zapewnienie czystego powietrza i wody oraz zaspokojenie rozsądnego zapotrzebowania na energię. Przyszłe pokolenia, jeśli będzie jeszcze świat nadający się do życia, popatrzą w przeszłość na to przełomowe przejście do społeczeństwa podtrzymującego życie, które właśnie czynimy, i być może nazwą je czasem Wielkiej Zmiany. Dzieje się to teraz.

Niezależnie od tego, czy zauważają to kontrolowane przez korporacje media, Wielka Zmiana jest rzeczywistością. Jakkolwiek nie wiemy jeszcze, czy zajdzie przetrwać ludzkość i inne wyższe formy życia, jest ona w pełnym toku. I nabiera rozmachu dzięki działaniom niezliczonych jednostek i grup na całym świecie. Postrzeganie tego jako szerszego kontekstu naszego życia rozjaśnia

nasze widzenie świata i pozwala zebrać odwagę.

Trzy wymiary Wielkiej Zmiany:

1. Działania mające na celu spowolnienie niszczenia Ziemi i zamieszkujących ją istot

Jest to prawdopodobnie najbardziej widoczny wymiar Wielkiej Zmiany – działania te obejmują całą pracę polityczną, legislacyjną i prawną konieczną dla zmniejszenia destrukcji, jak również akcje bezpośrednie: blokady, bojkoty, nieposłuszeństwo obywatelskie i inne formy odmowy. **Kilka przykładów:**

- Dokumentowanie konsekwencji ekologicznych i zdrowotnych Społeczeństwa Wzrostu Przemysłowego;
- Lobbing bądź protesty przeciwko Światowej Organizacji Handlu i międzynarodowym umowom handlowym, które zagrażają ekosystemom oraz podważają sprawiedliwość społeczną i gospodarczą;
- Informowanie o nielegalnych i nieetycznych działaniach korporacji.
- Organizowanie blokad i protestów w miejscach narażonych na zniszczenia ekologiczne, takich jak zagrożone wycinką stare kompleksy leśne lub miejsca składowania odpadów nuklearnych;

Tego rodzaju praca pozwala zyskać na czasie. Ratuje pewną ilość istnień, gatunków i kultur, a także część puli genetycznej, dla przyszłego zrównoważonego społeczeństwa. Ale jest niewystarczająca, aby spowodować jego powstanie.

2. Analiza przyczyn strukturalnych i tworzenie alternatyw

Drugi wymiar Wielkiej Zmiany jest równie ważny. Aby uwolnić siebie samych i naszą planetę od zniszczeń wyrządzanych przez Społeczeństwo Wzrostu Przemysłowego, musimy zrozumieć jego dynamikę. Czym są milczące porozumienia, które pozwalają na nieprzyzwoite bogactwo i się niewiele, jednocześnie stopniowo zubażając resztę ludzkości? Jakże zaszczepiające się czynniki przy-

wiążają nas do nienasyconej gospodarki, która używa naszej Ziemi jako magazynu zaopatrzeniowego i kanału ściekowego? Nie jest to przyjemny obraz i potrzeba odwagi oraz zaufania we własny zdrowy rozsądek, by móc przyjrzeć się temu z realizmem. Demistyfikujemy jednak w ten sposób funkcjonowanie globalnej gospodarki. Kiedy widzimy, jak ten system działa, jesteśmy mniej skłonni do demonizowania polityków i prezesów korporacji, którzy są jego niewolnikami. I pomimo całej oczywistej potęgi Społeczeństwa Wzrostu Przemysłowego możemy również zobaczyć jego kruchość – to, jak bardzo zależy od naszego posłuszeństwa, i to, że skazane jest na samounicestwienie.

Oprócz uczenia się o tym, w jaki sposób funkcjonuje obecny system, tworzymy również struktury alternatywne. W niezliczonych miejscach, jak zielone pędy pnące się do góry poprzez gruzy, wyrastają nowe rozwiązania społeczne. Nie oglądając się na naszych polityków, organizujemy się i podejmujemy działania we własnych społecznościach. Wpływają one z naszej kreatywności i współpracy na rzecz życia, i choć mogą się wydawać marginalne, są nasionami przyszłości.

Niektóre z inicjatyw w tym wymiarze:

- Zebrania dyskusyjne (debaty) i grupy badawcze zajmujące się różnymi aspektami funkcjonowania systemu Społeczeństwa Wzrostu Przemysłowego;
- Strategie i programy pozbawionej przemocy obrony obywatelskiej;
- Zmniejszenie zależności od paliw kopalnych i energii nuklearnej poprzez przejście na energie odnawialne;
- Wspólnotowe rozwiązania życiowe, takie jak kooperatywy mieszkaniowe i eko-wioski.
- Ogrody społeczne, kooperatywy konsumenne, rolnictwo wspierane przez społeczność, renaturalizacja cieków wodnych, waluty lokalne...

3. Zmiana świadomości

Te alternatywy strukturalne nie będą w stanie utrwalić się i przetrwać bez głęboko zakorzenionych wartości, które będą je mogły pod-

trzymać. Muszą one odzwierciedlać to, czego chcemy i w jaki sposób odnosimy się do Ziemi i siebie nawzajem. Innymi słowy, wymagają dogłębnej zmiany naszej percepcji rzeczywistości – i zmiana taka właśnie się dzieje, zarówno jako rewolucja kognitywna, jak i przebudzenie duchowe.

Coraz liczniej mnożą się postawy, które pozwalają na dokonanie tej zmiany, i mają one wiele źródeł. Powstają jako żal z powodu stanu świata, zadając kłam staremu paradygmatowi opartemu na koncepcjach skrajnego indywidualizmu i fundamentalnego oddzielenia poszczególnych jednostek. Powstają w odpowiedzi na przełomowe odkrycia nauki, które zaprzeczają twierdzeniom redukcjonizmu i materializmu, przedstawiając dowody na to, że wszechświat jest żywy. Powstają także na fali odrodzenia tradycji mądrości, przypominając nam ponownie, że cały nasz świat jest święty, wart uwielbienia i służby.

Różnorodne formy i składniki tego wymiaru to między innymi:

- Ogólna teoria systemów żywych;
- Głęboka ekologia i głęboki, dalekosiężny ruch ekologiczny;
- Duchowość stworzenia i teologia wyzwolenia;
- Buddyzm zaangażowany i podobne prądy w innych tradycjach;
- Odrodzenie tradycji szamańskich;
- Eko-feminizm;
- Eko-psychologia;
- Ruch na rzecz prostego życia.

Świadomość, którą uzyskujemy w trzecim wymiarze Wielkiej Zmiany, ratuje nas przed poddaniem się panice lub paraliżowi. Pozwala oprzeć się pokusie schowania głowy w piasek lub zwrócenia się przeciwko sobie nawzajem, w poszukiwaniu kozłów ofiarnych, na których można wyładować swój lęk i wściekłość.

Wskazówki dla aktywistów

Zaczynaj od wdzięczności

Być żywym w tym cudownym samoorganizującym się wszech-

świecie – uczestniczyć w tańcu życia i mieć zmysły, które pozwalają być tego świadomym, płuca, które ten świat wdychają, organy, które czerpią z niego pożywienie – jest cudem, którego nie da się wyrazić słowami. Wdzięczność za dar życia jest głównym źródłem wszystkich religii, znamiem mistyków, źródłem każdej autentycznej sztuki. Co więcej, bycie żywym w tym czasie, kiedy możemy wybrać udział w samoleczeniu się naszego świata, to zaszczyt.

Nie bój się ciemności

Żyjemy w ciemnych czasach, przepętlonych cierpieniem i niepewnością. Podobnie jak żywe komórki będące częścią większego ciała, to naturalne, że czujemy traumę naszego świata. Więc nie obawiaj się bólu, którego doświadczasz, lub gniewu czy lęku, ponieważ są to reakcje wypływające z głębi twojej troski i prawdy o wzajemnym powiązaniu wszystkich istot. Współcierpienie jest prawdziwym znaczeniem współczucia.

Miej odwagę marzyć

Z tej ciemności może wyłonić się nowy świat – nie będący wytworem naszych umysłów, lecz raczej wyłaniający się z naszych snów. Pomimo że nie możemy zobaczyć jasno, jaki będzie, jesteśmy wezwani do zaproszenia przyszłości do naszej wyobraźni. Nigdy nie będziemy w stanie zbudować czegoś, czego najpierw nie uumiłowaliśmy w naszych sercach.

Zakasaj rękawy

Wiele osób nie angażuje się w Wielką Zmianę, ponieważ jest tak wiele różnych spraw, które wydają się ze sobą nawzajem konkurować. Czy mam ratować wieloryby, czy też powinnam raczej pomagać maltretowanym dzieciom? Tak naprawdę wszystkie aspekty obecnego kryzysu odzwierciedlają ten sam błąd – stawianie swoich potrzeb na pierwszym miejscu i wykorzystywanie innych dla własnej korzyści. Z tego powodu wyleczenie jednego aspektu pomaga również wyleczyć inne. Po prostu poszukaj tego, nad czym kochasz pracować, i czerp z tego radość. Nigdy nie rób tego samotnie. Połącz się z innymi; będziecie inspirować się wzajemnie pomysłami i dodawać sił sobie nawzajem.

Zachowuj się stosownie do swojego wieku

Ponieważ każda z częstek waszego ciała powstała w chwili, w której po raz pierwszy rozbiły się czas i przestrzeń, tak naprawdę jesteście tak starzy jak wszechświat. A więc gdy lobbujecie w biurze poselskim, odwiedzacie lokalny zakład użyteczności publicznej, świadczycie podczas wysłuchania publicznego w sprawie odpadów atomowych czy bronię starego lasu sekwojowego, nie robicie tego z powodu jakiegoś osobistego kaprysu, lecz z pełną powagą waszych 15 miliardów lat.

.....
Joanna Macy bada buddyzm, myślenie systemowe i głęboką ekologię. Działalność naukową wiąże z aktywizmem, jest ważną postacią ruchów na rzecz pokoju, sprawiedliwości i ekologii. Wydała kilkanaście książek na temat psychologii, duchowości i świadomości ekologicznej we współczesnym świecie.

Tłumaczenie: Jan Skoczylas

<http://workthatreconnects.org/personal-guidelines/>

REWOLUCJA, KTÓRA NIE ZJE WŁASNYCH DZIECI

O sprawiedliwej transformacji regionów górniczych



Izabela
Zygmunt

Nie stoimy przed wyborem: miejsca pracy czy ochrona środowiska. W rzeczywistości albo dostaniemy jedno i drugie jednocześnie, albo nie dostaniemy żadnego z nich.

Brian Kohler

Stworzona przez związki zawodowe koncepcja sprawiedliwej transformacji regionów zależnych od węgla (*just transition*) pokazuje, że stawką polityki odchodzenia od paliw kopalnych – poza ochroną klimatu, geopolityczną stabilizacją świata i ulgą dla portfeli szeregowych konsumentów energii – może również być przyszły kształt rynku pracy i praw pracowniczych. Postulat sprawiedliwej transformacji energetycznej otwiera bowiem pole do rozmowy o jakości miejsc pracy w nowo powstających sektorach czystej energii i o podmiotowym udziale pracowników i lokalnych społeczności w dyskusji o kierunku zmian i reform. Taka rozmowa musi jak najszybciej zacząć toczyć się w Polsce.

Związki zawodowe bronią klimatu

Idea sprawiedliwej transformacji energetycznej (*just transition*) ma rodowód związkowy i relatywnie długą historię, bowiem kwestię miejsc pracy i praw pracowniczych w kontekście działań na rzecz klimatu po raz pierwszy podniesiono już w 1998 r. Wtedy to kanadyjski działacz związkowy Brian Kohler stwierdził, że ochrona miejsc pracy i działania na rzecz klimatu nie tylko nie wykluczają się, ale wzajemnie się wzmacniają. Kohler nie miał wątpliwości, że zmiany klimatu są skutkiem działań człowieka, a ich powstrzymanie jest absolutną koniecznością („bo na martwej planecie nie będzie żadnych miejsc pracy”). Rozumiał, że to oznacza nieuniknione i głębokie zmiany w gospodarce i zatrudnieniu, a mając pewność, że te zmiany nastąpią, uważał jednocześnie, że pracownicy, których one dotkną, nie mogą być biernymi przedmiotami transformacji, ale muszą aktywnie i świadomie uczestniczyć w jej kształtowaniu.

Jego idee zostały przez ostatnie dwie dekady rozwinięte w związkową koncepcję sprawiedliwej transformacji. Wynika ona z niezgody na to, by kosztami transformacji energetycznej były nieproporcjonalnie obciążane społeczności, które do tej pory w znacznym stopniu trzymały się z pracy związanej z paliwami kopalnymi. Główne założenie tej koncepcji mówi, że sprawiedliwe stosunki pracy i nadająca się do życia Ziemia to dwa cele, o które można i trzeba walczyć jednocześnie, odrzucając neoliberalną opowieść o rzekomej sprzeczności między



Fot. Flickr.com / Takver

ochroną klimatu a dostępnością i jakością miejsc pracy. Jednak aby osiągnięcie obu tych celów jednocześnie było możliwe, pracownicy i społeczności przechodzące transformację muszą na podmiotowych zasadach uczestniczyć w decydowaniu o kształcie i kierunku reform.

W praktyce sprawiedliwa transformacja oznacza przede wszystkim postulat dokonywania trwałych inwestycji w niskoemisyjne sektory i technologie generujące nowe miejsca pracy. Inwestycje te muszą być realizowane na podstawie wypracowanych wcześniej we współpracy z lokalnymi społecznościami planów rozwoju gospodarczego. Muszą również być prowadzone z poszanowaniem zasad dialogu społecznego, praw człowieka i praw pracowniczych, z dużym naciskiem na konsultacje społeczne i partycypacyjny model podejmowania decyzji. Ważnym elementem koncepcji sprawiedliwej transformacji są też badania służące wczesnemu rozpoznaniu wpływu polityki klimatycznej na lokalne społeczności i rynek pracy – skoro bowiem pracownicy i mieszkańcy mają uczestniczyć w dialogu, muszą robić to świadomie, mając dostęp do pełnej wiedzy nt. nadchodzących zmian. Wreszcie, sprawiedliwa transformacja to także szkolenia i możliwość nabywania nowych kwalifikacji przez pracowników oraz socjalne programy osłonowe i odpowiednia polityka wobec rynku pracy.

Konsekwencją takiego myślenia o klimacie i transformacji energetycznej było mocne zaangażowanie się międzynarodowych organizacji związkowych w negocjacje porozumienia klimatycznego. Rozumiejąc, że zmiany klimatu niosą katastrofalne skutki dla bezpieczeństwa i źródeł utrzymania milionów ludzi na świecie, związki reprezentowane przez Międzynarodową Konfederację Związków Zawodowych (ITUC) domagały się umieszczenia w osta-

tecznym porozumieniu – po pierwsze – ambitnych zapisów dających realną nadzieję na powstrzymanie zmian klimatu na poziomie 1,5 st. C., a po drugie – zobowiązań dotyczących sprawiedliwej transformacji regionów zależnych od paliw kopalnych.

Ostateczny kształt porozumienia paryskiego zadowolili ITUC jedynie częściowo: organizacja uznała, że porozumienie wyznacza właściwy cel, ale jest nie dość konkretne, jeśli chodzi o zapewnienie odpowiednich środków na jego realizację. Postulowane przez ITUC zobowiązanie do sprawiedliwego prowadzenia transformacji z poszanowaniem praw człowieka, praw pracowniczych i praw lokalnych społeczności zostało zapisane w preambule porozumienia paryskiego, ale nie wspomina się o nim dalej, w rozdziałach operacyjnych. ITUC uznał przyjęte zapisy za pierwszy krok we właściwym kierunku.

Fundusz Sprawiedliwej Transformacji, czyli gdzie jesteśmy w tej chwili?

Obecnie w Unii Europejskiej trwa batalia o wykonanie pierwszego formalnego ruchu w stronę sprawiedliwej transformacji. W instytucjach unijnych wykuwa się właśnie ostateczny kształt reformy systemu handlu emisjami, której elementem może być utworzenie Funduszu Sprawiedliwej Transformacji. Parlament Europejski chce, by od 2021 r. część przychodów ze sprzedaży uprawnień do emisji była przekazywana na Fundusz, który wspierałby działania łagodzące społeczne i gospodarcze skutki odchodzenia od paliw kopalnych w regionach do tej pory od nich zależnych, takich jak zagłębia węglowe. W szczególności Fundusz miałby wspierać osoby odchodzące z pracy w sektorach związanych

z paliwami kopalnymi w znajdowaniu nowego zatrudnienia.

Cele Funduszu są dość skromne, jeśli porównać je z poziomem ambicji postulatów formułowanych przez związki. W zaproponowanej przez Parlament poprawce jest mowa tylko o szkoleniach i pomocy w zdobywaniu nowych kwalifikacji, pośrednictwie pracy i doradztwie dla poszukujących zatrudnienia, pomocy w zakładaniu firm oraz łagodzeniu negatywnego wpływu restrukturyzacji na zdrowie psychiczne i fizyczne. Fundusz nie ma służyć finansowaniu inwestycji (co zrozumiałe, to bowiem zadanie funduszy strukturalnych i Europejskiego Banku Inwestycyjnego). Poprawka PE zawiera natomiast mocny zapis o udziale partnerów społecznych w zarządzaniu funduszem i o wymogu przestrzegania zasad partycypacji społecznej.

Mimo że proponowane cele Funduszu nie są w żadnej mierze kontrowersyjne, i mimo iż chodzi o stosunkowo skromną kwotę – za ledwie 2 proc. łącznych przychodów z aukcji uprawnień do emisji, czyli ok. 2–5 mld EUR do podziału między wszystkie węglowe regiony w UE – nie jest pewne, czy Rada Ministrów UE zgodzi się na jego utworzenie. Ostateczna decyzja w tej sprawie ma zapadnąć w najbliższych tygodniach. Jeśli będzie pozytywna, Fundusz stanie się pierwszym formalnym ucieleśnieniem koncepcji sprawiedliwej transformacji w Unii Europejskiej.

Transformacja a sprawa polska

Stanowisko polskiego rządu w kwestii Funduszu nie jest jasne. Z jednej strony jego utworzenie oznacza dodatkowe pieniądze na ważne cele społeczne, a więc teoretycznie nie powinno tu być żadnych wątpliwości. Są to jednak pieniądze, które będą dzielone nie przez polskie

ministerstwa, tylko na szczeblu UE, i z formalnie zagwarantowanym dużym udziałem strony społecznej. Innymi słowy, będą to środki poza kontrolą rządu, wydawane na cele, które polski rząd chciałby realizować inaczej – chroniąc branżę węglową, a nie szukając dla niej alternatyw. Z tego powodu rząd może być przeciwko Funduszowi w obecnie proponowanym kształcie, nawet jeśli co do zasady byłby za skierowaniem dodatkowych środków w regiony węglowe. Przeszkodą jest też stanowisko polskich związków zawodowych, które, w przeciwieństwie do związków w innych państwach europejskich, woła rozmawiać o ochronie istniejących miejsc pracy w górnictwie i sektorach energochłonnych, niż o transformacji energetycznej, a do polityki klimatycznej odnoszą się sceptycznie, jeśli nie wrogo (jeszcze w 2014 r. centrale związkowe w Polsce opowiedziały się jednoznacznie za odrzuceniem w całości polityki klimatycznej UE).

Jeżeli powołanie Funduszu zostanie ostatecznie przegłosowane, będzie to ważny symboliczny krok w stronę sprawiedliwej transformacji, ale jednocześnie krok dalece niewystarczający. Samo przekwalifikowanie pracowników i osłony socjalne to za mało – o czym w Polsce przekonaliśmy się podczas fali zamykania kopalń w latach 90., kiedy to kursy zawodowe i odprawy dla górników wbrew obietnicom nie zaowocowały rozkwitem małych firm i gładkim przejściem byłych pracowników i pracowników kopalń do kwitującego sektora usług. Sprawiedliwej transformacji nie da się przeprowadzić bez wdrożenia przemyślanej polityki przemysłowej i dużego programu inwestycji. Żeby inwestować, trzeba jednak jasno wiedzieć, w co. Tymczasem Polska nadal nie ma strategii energetycznej z prawdziwego zdarzenia (!), co wywołuje coraz większą dezorientację w sektorze energetyki i hamuje inwestycje. Sytuację pogarszają częste i trudne do zrozumienia zmiany przepisów, czego koronnym przykładem jest ustawa odległościowa, blokująca powstawanie nowych farm wiatrowych w Polsce, oraz nowe przepisy podatkowe dotyczące energetyki wiatrowej, które doprowadziły wiele istniejących farm wiatrowych w Polsce na skraj bankructwa. W takich warunkach każdy inwestor zastanowi się trzy razy, zanim zainwestuje w Polsce w czystą energię.

Co tracimy?

W tej sytuacji trudno nawet rozpocząć rozmowę o sprawiedliwej transformacji, ponieważ tak naprawdę nie zbudowaliśmy jeszcze stołu, przy którym ta rozmowa mogłaby się odbyć (i nie wiadomo, czy w ogóle będzie z czego ów stół zbudować, bo wszystkie drzewa poza ścisłymi rezerwatami zostaną za moment współspalone z węglem i przerobione na „zieloną” energię).

Tracimy w ten sposób ważną szansę – szansę na ukształtowanie przyszłego rynku pracy zgodnie z potrzebami i oczekiwaniami pracowników i pracowni. Jest w tym pewien paradoks – górnictwo jest jednym z ostatnich silnie uzwiązkowionych sektorów, w którym reprezentacja pracownicza ma nadal realny wpływ na rzeczywistość. W większości pozostałych sektorów rynku pracy postępuje prekaryzacja zatrudnienia, a samoorganizacja pracowników jest znacznie utrudniona, co przekłada się na ich słabszą pozycję. Rozmowa o sprawiedliwej transformacji, w której polskie związki górnicze i centrale związkowe na razie nie

.....
ciąg dalszy na następnej stronie

ciąg dalszy z poprzedniej strony

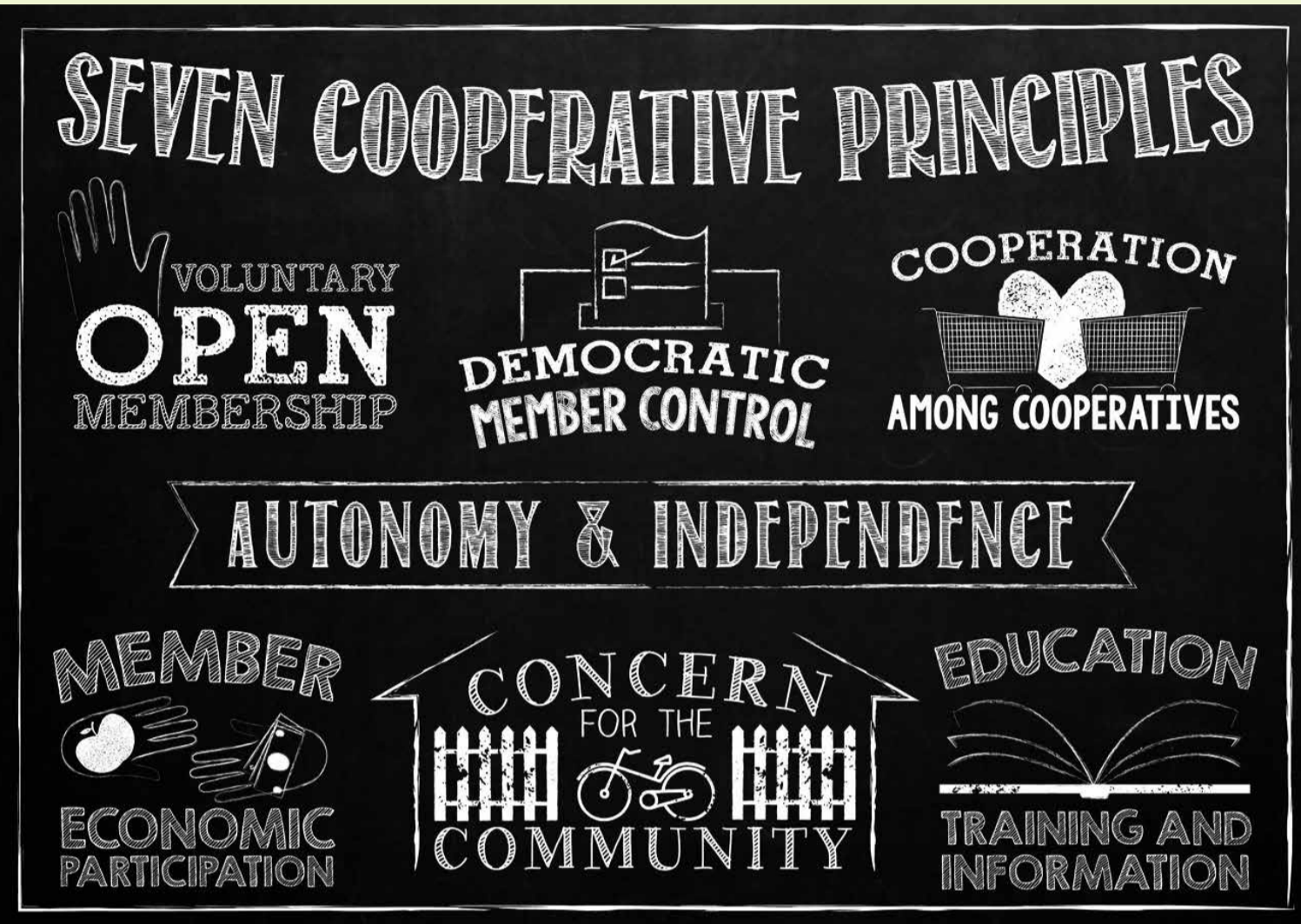
biorą udziału i której się nie domagają, byłyby okazją do tego, by dokładnie przyjrzeć się jakości miejsc pracy w nowych, niskoemisyjnych sektorach, i mocno wyartykułować pracownicze oczekiwania w tej kwestii. Jednym z głównych postulatów sprawiedliwej transformacji jest w końcu dialog społeczny i partycypacyjne podejmowanie decyzji w kwestiach dotyczących pracy w nowo powstających sektorach.

Jest tu spore pole do porozumienia i współpracy – walcząc o proklamacyjną politykę publiczną, związkowcy (wraz z coraz mocniej popierającymi koncepcję sprawiedliwej transformacji organizacjami ekologicznymi) walczą jednocześnie o rynek dla produktów i usług „zielonych” sektorów, co daje im prawo oczekiwać od pracodawców w tych sektorach współpracy i otwartego podejścia do postulatów pracowniczych. Dyskusja o sprawiedliwej transformacji jest zatem szansą na skuteczną walkę o dobre płace, bezpieczeństwo socjalne i prawo do zrzeszania się dla budowlanców ocieplających budynki, instalatorów paneli fotowoltaicznych oraz pracowników i pracowników fabryk produkujących materiały do ociepleń, stolarce budowlaną, moduły PV, pompy ciepła, magazyny energii, lampy LED itp. Te sektory będą rosnąć i zatrudniać coraz więcej ludzi tak czy inaczej, eksportując swoje produkty, jeśli polityka rządu zablokuje popyt na nie w kraju. Rozwijając się dynamicznie, mogłyby wyznaczać standardy i podnosić poprzeczkę dla reszty rynku pracy (zwłaszcza wobec coraz bardziej widocznego w Polsce niedoboru siły roboczej). Jednak bez poważnej rozmowy o postulatach sprawiedliwej transformacji sytuacja ich pracowników i pracownic będzie taka, jaką silą inercji ukształtuje rynek pracy ze wszystkimi swoimi dotychczasowymi patologiami i chroniczną słabością organizacji pracowniczych. Jednocześnie mocno uzwiązkowione górnictwo i węglowa energetyka wcześniej lub później przejdą do historii, bo nie da się w dłuższej perspektywie funkcjonować wbrew rachunkowi ekonomicznemu, globalnym megatrendom i polityce popieranej przez praktycznie wszystkie kraje świata. Odejść, nie pozostawiając po sobie testamentu w postaci silnych związków zawodowych i mocnych praw pracowniczych w nowych sektorach.

Polski z wielu powodów nie stać na to, by dalej opierać swoją pozycję gospodarczą na taniej i słabo chronionej sile roboczej, a koncepcja sprawiedliwej transformacji energetycznej jest świetnym polem do zainicjowania dialogu na temat sytuacji pracowników, praw pracowniczych i roli związków zawodowych, obecnych i przyszłych źródeł konkurencyjności polskich przedsiębiorstw, poziomu płac oraz udziału pracowników w zarządzaniu przedsiębiorstwami i kształtowaniu polityki gospodarczej państwa, w tym zwłaszcza polityki energetycznej. Jako taka, jest też szansą na nowe otwarcie w dialogu trójstronnym między rządem, pracodawcami i związkami, stawia bowiem przed stronami nowe pytania, na które muszą wspólnie odpowiedzieć. Dlatego dyskusja o sprawiedliwej transformacji powinna zacząć się jak najszybciej.

Izabela Zygmunt - tłumaczka, ekolożka, była działaczka Partii Zieloni, a wcześniej urzędniczka w instytucjach UE, obecnie aktywistka organizacji CEE Bankwatch Network i Polskiej Zielonej Sieci.

ZMIANA JEST TU I TERAZ



**Beth Ash
Clare Cochrane**

Mieszkania bez właścicieli? Praca bez szefów? A może... kooperatywa inwestorów? O brytyjskiej sieci kooperatyw Radical Routes piszą Beth Ash i Clare Cochrane.

W świecie zdominowanym przez chciwość, rywalizację o zasoby i nastawienie na indywidualny sukces, życie i praca w kooperatywie, która opiera się na zasadach zrównoważonego rozwoju, dzielenia się i wzajemnej pomocy, wydają się nie tylko radykalne, ale niemal niemożliwe. A jednak Radical Routes – sieć kooperatyw mieszkaniowych i pracowniczych oraz centrów społecznych – od ponad dwóch dekad zapewnia mieszkanie radykalnym aktywistom i aktywistom (także radnym Partii Zielonych). To z niej wykiełkowały takie kampanie jak Climate Camp czy Peace News, w niej znajduje oparcie szeroki ruch na rzecz sprawiedliwego i zrównoważonego świata.

Spółdzielcza alternatywa

Wielu ludzi zdaje sobie sprawę z tego, że obecny system kapitalistyczny przeżywa kryzys, a biznes, jeżeli chcemy uniknąć ostatecznej katastrofy, nie może działać tak jak dotychczas. Kooperatywy od dawna były uważane za rozwiązanie tego problemu, ponieważ kładą nacisk na wartość i praktyczną korzyść z dzielenia się i z przekazywania zysków na rzecz społeczności. Kooperatywy są kontrolowane przez swoich członków, z których każdy posiada jeden głos. Decyzje są podejmowane demokratycznie przez samych zainteresowanych, a nie przez zewnętrznych właścicieli. Kooperatywy od zawsze były (i ciągle są) inicjatywami oddolnymi, szczególnie wrażliwymi na kwestie ekologii i sprawiedliwości społecznej. Zmarginalizowanym grupom i społecznościom pozwalają uzyskać kontrolę nad lokalnym otoczeniem przez wspólną pracę dla wspólnego dobra.

Na całym świecie istnieją kooperatywy, które stanowią udany przykład alternatywnej gospodarki na małą skalę. Ruch sprawiedliwego

handlu umocnił pozycję większości kooperatyw, które są traktowane jako najlepszy sposób, by zapewnić producentom z globalnego Południa uczciwą zapłatę i prawa pracownice. Bliżej naszego podwórka mamy do czynienia ze spółdzielczymi gigantami: bankami, supermarketami, domami pogrzebowymi czy chociażby z siecią sklepów i supermarketów John Lewis, której właścicielem są pracownicy. Jednak praktyczne korzyści i społeczna wartość działających w Wielkiej Brytanii małych kooperatyw pracowniczych i mieszkaniowych są dużo słabiej znane.

Kooperatywa inwestorów

Struktura kooperatywy tworzy jednostkę prawną, która może zbierać pieniądze, by nabywać majątek (na przykład dom) dla korzyści swych członków i pozostający pod ich kontrolą. Struktura prawna Radical Routes daje kooperatywom wspólną własność i kontrolę, zakazuje jednak indywidualnym członkom odnosić korzyści finansowe. Jeśli np. kooperatywa mieszkaniowa sprzedaje dom, nikt nie może zabrać tych pieniędzy dla siebie, są one przeznaczane na podobne wspólne projekty. Stworzenie w 1982 r. federacji kooperatyw Radical Routes zapewniło strukturę prawną dla osiągania celów poszczególnych kooperatyw w bardziej wydajny sposób, z możliwością inwestycji na poziomie krajowym.

W 1998 r. sieć Radical Routes poszła o krok dalej, zakładając Rootstock – kooperatywę inwestorów. Inwestorzy wykupują w Rootstock wycyfywalne udziały, które kumulują odsetki. Rootstock inwestuje następnie pieniądze w sieć Radical Routes, która z kolei udziela pożyczek organizacjom członkowskim, by mogły kupować teren pod budowę domów lub przeprowadzać ekorenowację istniejących. Rootstock działa też jako narzędzie poszerzania wspólnoty Radical Routes. Pozwala aktywistom i zwolennikom wpłacać pieniądze na Radical Routes i tym samym wspierać zgromadzone w sieci projekty.

A są to projekty ambitne. Kooperatywa mieszkaniowa Talamh i Centrum Życia Talamh na południe od Glasgow mają 50-akrową posiadłość przeznaczoną na produkcję ekologicznej żywności i działalność edukacyjną. Mary

Ann Johnson z Londynu na przekór wszystkim zdołała kupić dom w Haringey, zapewniając tym samym bezpieczną i taną bazę dla lokalnych kampanii i radykalnego aktywizmu. Kooperatywna drukarnia w Leeds wykorzystuje przyjazne środowisku technologie, by drukować radykalną literaturę polityczną. Dom Pokoju w Coventry wspiera uchodźców i prowadzi projekt edukacyjny na temat pokoju.

W Radical Routes jest zrzeszonych ok. 35 kooperatyw pracowniczych i mieszkaniowych oraz centrów społecznych z całej Wielkiej Brytanii. Tworzą one sieć podobnie myślących, zaangażowanych społecznie i politycznie aktywnych ludzi, którzy zmieniają świat tu i teraz, zapewniając tanie mieszkania i przyjazne pracownikom miejsca pracy.

Dobre i złe długi

Podczas ostatniego kryzysu bankowego najwyższy odsetek „złych długów” stanowiły pożyczki zaciągane przez kapitalistów, niezających umiaru w swojej zachłanności. Najniższy odsetek złych długów stanowiły zabezpieczone pożyczki dla przedsiębiorstw społecznych, z absolutnie najniższym, bo zerowym odsetkiem wśród pożyczek zaciągniętych przez Radical Routes – sieć wspieraną finansowo przez Rootstock. Może się to wydawać niewiarygodne, ale Radical Routes nie miała żadnych złych długów w ciągu 21 lat swojego istnienia. Przy pomocy Rootstock zapewniła bezpieczne tanie mieszkania dla setek aktywistek i aktywistów, którzy mają niski dochód lub nie mają go wcale. To historia, z której możemy być dumni, w dodatku taka, która nie potrzebowała ani grosza z rządowego programu pomocowego.

Ostatnio obserwujemy wzrost zainteresowania Radical Routes ze strony nowych grup i nowych ludzi – studentów w Nottingham, aktywistów od Brighton po Manchester. Aby stworzyć stabilne, autonomiczne projekty przyczyniające się do zmiany świata na lepsze, te nowe kooperatywy będą potrzebowały pieniędzy. Inwestując w Rootstock, możesz wspomóc zmianę, której tak bardzo potrzebujemy.

Strona internetowa Radical Routes: www.radicalroutes.org.uk. Artykuł ukazał się w piśmie „Green World”. Przeł. Anna Laszuk.

KOOPERATYWIZM W ERZE CYFROWEJ czyli jak stworzyć globalną kontrgospodarkę



Michel Bauwens, Vasilis Kostakis

Czy jesteśmy w stanie zamienić polegający na wypożyczaniu model gospodarowania w stylu Ubera i AirBnB na prawdziwą ekonomię dzielenia się (*sharing economy*)? Aby to osiągnąć, platformy kooperatywne (*platform cooperatives*) muszą stać się otwarte i nastawione na dobro wspólne.

„A co, jeśli to nie jest kapitalizm, tylko coś gorszego?”. To pytanie postawione przez McKenzie Warkę dobrze oddaje narastającą krytykę nastawionych na zys modeli biznesowych działających w ramach tzw. ekonomii współdzielenia (*collaborative sharing economy*). „Coś gorszego” okazuje się być nową formą feudalizmu, tak jak w przypadku Facebooka.

Tak jak feudalizm opierał się na własności ziemi zarezerwowanej dla elity, tak dzisiaj zasobami kontrolowanymi przez wąskie grono ludzi są umieszczone w sieci dane. Jak pokazują przykłady Ubera, AirBnB i TaskRabbit, może to też przybierać formę systemu pracy najemnej na żądanie, w ramach którego freelancerzy angażują zarówno swoją infrastrukturę, jak i pracę.

Czym jest kooperatywizm oparty o platformy cyfrowe?

Koncepcja platformy kooperatywnej jest alternatywą wobec podmiotów „ekonomii współdzielenia”. To internetowa platforma (strona www, aplikacja mobilna), która jest zorganizowana jako kooperatywa i stanowi własność jej pracowników, klientów, użytkowników i innych istotnych interesariuszy. Na stronie ioo.coop/directory/ można znaleźć przykłady takich platform z całego świata.

W pełni popieramy szeroki ruch kooperatyw opartych o platformy cyfrowe, jednak nie możemy poprzestać na wyizolowanych kooperatywnych alternatywach jako kontrze wobec starych form kapitalizmu. Musi powstać globalna kontrgospodarka, a to może się udać dzięki stworzeniu globalnych dóbr wspólnych w obszarze wiedzy cyfrowej.

Jak połączyć produkcję opartą na dobru wspólnym i masowej współpracy (*commons-based peer production*) z kooperatywizmem?

Produkcja oparta na dobru wspólnym i masowej współpracy dostarczyła nowego modelu działania, polegającego na kooperacji pomiędzy grupami ludzi, którzy dobrowolnie organizują się wokół wspólnego celu i używają wspólnych zasobów, a rynkowo nastawionymi podmiotami, które na bazie efektów ich pracy kreują wartość dodaną.

Przykłady produkcji opartej na dobru wspólnym i masowej współpracy, jak darmowe i otwarte oprogramowanie czy Wikipedia, zwiastują nowy model tworzenia wartości, który różni się od tego znanego z rynków czy firm. Kreatywności zorganizowanych w ramach tych sieci niezależnych jednostek – zazwyczaj działających bez tradycyjnych hierarchicznych struktur i często bez wynagrodzenia – produkuje wartościowe projekty.

To zarówno wyzwanie, jak i szansa dla tradycyjnych modeli kooperatywizmu, który od swoich początków, sięgających XIX wieku, w wielu przypadkach zdążył już przyjąć konkurencyjne nastawienie. Kooperatywy zazwyczaj nie tworzą, nie chronią i nie produkują dóbr wspólnych, a poza tym zwykle działają w świecie patentów i praw autorskich. Co więcej, mogą przejawiać tendencje do zamykania się w ramach lokalnej lub krajowej ograniczonego członkostwa. To raczej powinno się zmienić, i dziś są już na to sposoby.

Czym jest otwarty kooperatywizm?

Koncepcja otwartego kooperatywizmu powstała jako próba zarażenia kooperatyw głównymi zasadami produkcji opartej na dobru wspólnym i masowej współpracy. Pat Conaty i David Bollier postulują „nowy rodzaj syntezy lub synergii pomiędzy inicjatywami masowej współpracy i dóbr wspólnych, a innowacyjnymi kooperatywami i podmiotami ekonomii dzielenia się.”

Otwarte kooperatywy w większym stopniu niż te tradycyjne, i na mocy zapisu w statucie, byłyby nastawione na dobro wspólne i uczestniczyłyby w budowaniu cyfrowych otwartych zasobów. Można to postrzegać nie jako zmianę, a rozbudowanie siódmej zasady kooperatywizmu, która mówi o trosce o społeczność. Otwarte kooperatywy mogłyby na przykład neutralizować efekty zewnętrzne; przyjmować model zarządzania oparty o różnych interesariuszy; przyczyniać się do tworzenia materialnych i niematerialnych dóbr wspólnych; a także społecznie i politycznie skupiać się na globalnych problemach, nawet jeśli zasięg kooperatywy jest lokalny.

Czy da się wyjść poza klasyczny korporacyjny paradygmat?

Przedstawiamy sześć powiązanych ze sobą strategii stworzenia postkorporacyjnych koalicji przedsiębiorców. Głównym celem jest wyjście poza klasyczny korporacyjny paradygmat z jego ekstraktiwizmem i nastawieniem na zysk, i w zamian kierowanie się w stronę utworzenia otwartych kooperatyw działających w duchu ekonomii wspólnego dobra.

Po pierwsze, zamknięte modele biznesowe są oparte na budowaniu sztucznego niedoboru. Pozwala on uzyskać nadwyżki z tworzenia lub użytkowania cyfrowej wiedzy, mimo że da się nią dzielić bardzo łatwo i z bardzo niskim kosztem krańcowym. Jednak aby generować dodatkowe zyski, za sprawą prawnej represji i technologicznego sabotażu tworzony jest sztuczny niedobór tych nadających się do dzielenia dóbr. To szczególnie irytujące w przypadku leków ratujących życie lub uzdrawiającej planety wiedzy technicznej. Otwarte kooperatywy mogłyby za to uznawać naturalną obfitość i nie generować zysku poprzez budowanie sztucznego niedoboru obficie występujących zasobów.

Po drugie, typowy projekt produkcji opartej na dobru wspólnym i masowej współpracy polega na rozdzielonych zadaniach, w których realizacji mogą brać udział wszyscy uczestnicy. W przypadku darmowego i otwartego oprogramowania uczestnicy wspólnie piszą kod, tworzą projekt, utrzymują stronę, tłumaczą tekst, wspólnie rozwijają strategię marketingową i udzielają wsparcia użytkownikom. Powiązanie wynagrodzenia z pełnionymi funkcjami nie jest najlepszym sposobem wynagradzania osób zaangażowanych w tego typu przedsięwzięcia. Zamiast tego, otwarte kooperatywy mogą wykorzystywać tzw. księgowość otwartej wartości lub księgowość opartą na wniesionym wkładzie. Przychód uzyskany wskutek wkładu pracy przekazywany jest autorom w zależności od uzyskanych przez nich punktów. Taki model zapobiega obserwowanym w wielu firmach tendencjom przechwytywania wspólnie wypracowanej wartości przez osoby o silnej pozycji w organizacji.

Po trzecie, otwarte kooperatywy mogłyby przyczynić się do sprawiedliwego podziału wspólnie wytworzonej wartości poprzez licencje „CopyFair”. Istniejące licencje *copy-left* (status dobra publicznego, bez praw autorskich), takie jak Creative Commons czy Powszechna Licencja Publiczna GNU umożliwiają ponowne użycie wiedzy, pod warunkiem, że wszelkie zmiany i ulepszenia pozostaną dobrem wspólnym dostępnym na tej samej zasadzie. Jednak w przypadku komercyjnego wykorzystania dóbr wspólnych taki system nie zdołał doprowadzić do podobnej wzajemności ani nie stworzył odpowiednich warunków dla przedsięwzięć nastawionych na dobra wspólne. Te problemy mogą rozwiązać licencje CopyFair, które pozwalają dzielić się, jednocześnie oczekując wzajemności. Na przykład, Związek *FairShares* używa licencji Creative Commons pozwalającej na niekomercyjne użycie swoich treści przez ogół społeczeństwa, jednocześnie umożliwiając członkom swojej organizacji ich komercyjne wykorzystanie.

Po czwarte, otwarte kooperatywy mogłyby wykorzystywać otwarte projekty do wytwarzania zrównoważonych produktów i usług. Nastawione na zysk przedsiębiorstwa często projektują bowiem swoje produkty tak, by planowane starzenie powodowało ich przedwczesne zużycie i w ten sposób utrzymywało zapewnianą maksymalizację zysków relację między podażą a popytem. Starzenie się produktów jest ich charakterystyką, a nie błędem konstruktorów. Zupełnie inaczej jest w środowisku otwartych projektów, np. w *Farmhack*, *WikiHouse*, czy *RepRap3D*, które nie mają takich samych motywacji i przez co planowane starzenie jest dla nich czymś zupełnie obcym.

Po piąte, otwarte kooperatywy mogą ograniczyć ilość odpadów. Brak przejrzystości i skłonność do rywalizacji wśród zamkniętych przedsiębiorstw sprawia, że niełatwo będzie

im stworzyć gospodarkę cyrkularną, czyli taką, w której wy-nik jednego procesu produkcyjnego jest wykorzystywany jako wkład w innym procesie. Z kolei otwarte kooperatywy mogłyby stworzyć ekosystem współdzielenia oparte-go na otwartych łańcuchach dostaw, które mogą zwiększyć przejrzystość procesów produkcji. Nie byłoby potrzeby nadprodukcji, jeśli wiedza o tym, jak wszystko działa, byłaby jawna. Otwarte kooperatywy mogłyby przestać polegać na sygnałach cenowych płynących z niedoskonałych rynków i zacząć wspólnie koordynować produkcję.

Po szóste, otwarte kooperatywy mogłyby współdzielić nie tylko infrastrukturę cyfrową, ale też fizyczną. Przecież pomimo uprawnionej krytyki, ta niewłaściwie nazwana „ekonomia współdzielenia” w stylu AirBnB i Ubera pokazuje właśnie potencjał wprawiania w ruch niewykorzystywanych zasobów. *Co-working*, dzielenie się umiejętnościami (*skill-sharing*), czy wspólne przejazdy to tylko kilka przykładów na to, jak można ponownie wykorzystywać i dzielić zasoby. Współwłasność i wspólne zarządzanie mogą sprawić, że prawdziwej ekonomii dzielenia się uda się znacznie poprawić wydajność zużycia zasobów, szczególnie dzięki współdzieleniu danych.

Wymieniliśmy sześć przykładów wyłaniających się praktyk, które powinny zostać szerzej ze sobą połączone. Uważamy, że głównym celem wspierania gospodarki opartej na dobru wspólnym jest odzyskanie nadwyżki, która obecnie nakreca kapitał spekulacyjny, a następnie wykorzystanie jej do rozwoju nastawionych na dobro wspólne społeczności. W przeciwnym razie potencjał produkcji opartej na dobru wspólnym i masowej współpracy (*commons-based peer production*) pozostanie niewykorzystany i wtórny wobec dominującego systemu. Kooperatywy oparte o platformy cyfrowe nie mogą jedynie kopiować modeli opartych o sztuczny niedobór i niepotrzebne odpady. Muszą być otwarte i nastawione na dobro wspólne.

.....
Michel Bauwens jest wykładowcą akademickim, teoretykiem i aktywistą peer-to-peer, założycielem P2P Foundation. *Twitter: @mbauwens*

.....
Vasilis Kostakis – jest pracownikiem naukowym na Tallinn University of Technology, założycielem P2P Lab.



<http://www.orbooks.com>

.....
 Tekst jest tłumaczeniem artykułu powstałego na bazie rozdziału z książki „Ours to Hack and to Own” (red. T. Scholz i N. Schneider, OR Books, 2016) i pierwotnie opublikowanego na *opendemocracy.net* jako „Cooperativism in the digital era, or how to form a global counter-economy”.
 Został udostępniony na licencji CC BY-NC 4.0 (<https://creativecommons.org/licenses/by-nc/4.0/>)

Monika
KosteraJerzy
Kociatkiewicz

O roli zarządzania we współczesnym świecie i organizacjach zorientowanych na wartości z prof. Moniką Kostera i prof. Jerzym Kociatkiewiczem rozmawia Jan Chudzyński.

Czy dobrze rozumiem, że za część problemów współczesnego świata, np. środowiskowych lub społecznych, winią państwo zarządzanie?

Prof. Monika Kostera: Nie tyle zarządzanie jako takie, ale specyficzne zarządzanie, które polega na rozwiązywaniu złożonych problemów przy pomocy prostych rozwiązań. To uważam za szczególnie szkodliwe podejście do obecnej, zwykle złożonej rzeczywistości.

Prof. Jerzy Kociatkiewicz: Zarządzanie jest sztucznie wydzieloną kategorią życia społecznego zarówno jako nauka, jak i jako kategoria opisu. Dlatego problemy, z którymi się zmagamy, są dużo bardziej skomplikowane i zawsze dotyczą całego społeczeństwa. Oczywiście zarządzanie ma w tym udział, jednak sądzę, iż korzenie tych problemów sięgają znacznie głębiej.

Czyli nie samo zarządzanie jest problemem, ale jakiś konkretny jego nurt, występujący w ramach jego tendencje.

Prof. Jerzy Kociatkiewicz: Zarządzanie przyczynia się do realizacji szeregu dość okropnych i szkodliwych rozwiązań...

I dlatego proponują państwo bardziej humanistyczne podejście do zarządzania. Co to znaczy?

Prof. Monika Kostera: Zarządzanie nadal jest pewnym podejściem do organizacji polegającym na braniu odpowiedzialności za całość – za ludzi i za struktury – obejmującym wizję i strategię. Można używać tej wiedzy i umiejętności do robienia rzeczy złych, tak jak to się teraz często dzieje, ale można również ich używać do robienia rzeczy dobrych. I właśnie to rozumiemy przez pojęcie zarządzania humanistycznego. Nie mam tu na myśli zarządzania przez humanistów lub wyłącznie w oparciu o nauki humanistyczne. Chodzi raczej o wartości humanistyczne, moralność, odpowiedzialność za to co się robi.

Prof. Jerzy Kociatkiewicz: Już dawno temu socjolog Max Weber wydzielił dwie kategorie racjonalności: skierowaną na wartości (*Wert-Rationalität*) oraz na środki (*Zweck-Rationalität*). Wydaje mi się, że częścią problemu współczesnego zarządzania, współczesnych organizacji oraz szerzej, naszych sposobów rozwiązywania problemów, jest to, że bardzo łatwo tracimy z oczu pytanie, po co i dla kogo właściwie to robimy. Łapiemy się w pętlę szukania małych rozwiązań dla małych problemów, które wcale nie pomagają nam żyć lepiej.

Prof. Monika Kostera: A czasami wręcz próbujemy poszukiwać małych rozwiązań dla dużych problemów. I wtedy pojawiają się schody.

Na przykład?

Prof. Monika Kostera: Na przykład rozwiązywanie wszelkich bolączek współczesnego świata w oparciu o bardzo uproszczone redukcjonistyczne miary ilościowe i często także miary finansowe, a to jest już ekstremalnym uproszczeniem niezwykle złożonych sytuacji. Bo przyjęcie jakiejś miary jako kryterium

decyzyjnego powoduje patologie organizacyjne, przesunięcie celów. W kontekście sektora finansowego i kryzysu ciekawie mówi o tym Charles Goodhart.

Prof. Jerzy Kociatkiewicz: Jeśli znajdziemy jakikolwiek wskaźnik informujący o stanie jakiegoś systemu, będzie on miarodajny tak długo, jak długo nie będzie podatny na bezpośrednie manipulacje. Natomiast w momencie, kiedy podniesienie rzeczowego wskaźnika ustalimy jako cel, wiadomo że będziemy starać się działać bezpośrednio na niego, a nie na to, co ma on mierzyć.

Wydaje się, że dziś sporo jest tego typu organizacji.

Prof. Jerzy Kociatkiewicz: Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, i bezpośrednio nas dotyczy, to sposoby zarządzania współczesnymi uniwersytetami. Kiedy jakość uniwersytetu oceniamy poprzez serie abstrakcyjnych kryteriów, takich jak zadowolenie studentów oraz rankingi i wszystkie ich części składowe, bardzo szybko okazuje się, że nawet najbardziej skomplikowane rankingi można „rozpracować” i zmieniać systemy zarządzania uniwersytetami, tak żeby organizacja wypadła jak najlepiej. Niekoniecznie ma to związek z rzeczywistą poprawą jakości kształcenia i jakości badań.

Czy polska nauka o zarządzaniu nadąża za zachodnimi trendami?

Prof. Monika Kostera: Polska nauka o zarządzaniu ma znakomite tradycje, np. prace Karola Adamieckiego, ale także współcześnie dzieje się dużo ciekawych rzeczy. Dlatego niepotrzebnie wyobrażamy sobie, że jesteśmy w tyle i musimy coś gonić. Mamy naprawdę niezwykle interesujące badania w naukach o zarządzaniu i warto by połączyć naukowe bogactwo z zachodu z odważnymi pomysłami z Polski, które niestety są mało znane i często izolowane. Niestety dzisiaj to nie są nazwiska, na które powołują się młodzi doktoranci, bo oni muszą sięgać do autorów, którzy uchodzą za jedynie słusznych.

A czy w Polsce są autorzy, którzy zajmują się krytycznym podejściem do zarządzania, w nurcie tzw. Critical Management Studies?

Prof. Monika Kostera: Tak, np. prof. Łukasz Sułkowski z Instytutu Spraw Publicznych UJ. Natomiast jest to mało doceniane w polskim środowisku. To co uchodzi za dogmat w naszym kraju, na zachodzie określa się jako menedżeryzm, a więc totalny redukcjonizm i trzymanie się założeń, które wcale pewnikami nie są. Wszystko sprowadza się do ekonomii, do finansów i kompletnej instrumentalizacji zjawisk organizacyjnych.

Prof. Jerzy Kociatkiewicz: Podstawowym pytaniem jest to, komu służyć ma nauka o zarządzaniu. Czy ma to być zestaw narzędzi dla prezesów firm, które mają pozwolić im realizować swoje cele? Jeśli tak, to jest to szereg narzędzi skierowanych do bardzo wąskiej grupy odbiorców. Niezrozumiałe jest więc, dlaczego potem takiego zarządzania uczymy całe rzesze studentów. Wydziałów zarządzania jest przecież dużo i są wyjątkowo liczne, a ci wszyscy absolwenci nie będą prezesami wielkich firm. Sens rozwijania całych wydziałów tylko po to, by służyły garstce ludzi, jest wątpli-

Tracimy z oczu pytanie PO CO I DLA KOGO właściwie to robimy



Fot. Flickr.com / Matt Dove

wy. Tym bardziej, że te osoby nas nie słuchają. Prezesi firm nie czytają nauk o zarządzaniu.

Natomiast potrzebna jest wiedza o tym, jak żyć, jak rozwijać organizację, które będą pomagały całej społeczności. Tego nauka o zarządzaniu niestety nie robi. Wspomnieliśmy o Critical Management Studies, który jest bardzo ciekawym nurtem polegającym na spojrzeniu na procesy zarządzania w niedogmatyczny, niemainstreamowy sposób, a więc z punktu widzenia pracowników wszystkich szczebli. Spojrzenie z innej pozycji niż osoby kierującej, szefa wszystkich szefów, pozwala zrozumieć i pomóc ludziom żyć lepiej w organizacji. Moim zdaniem właśnie to powinniśmy robić.

Prof. Monika Kostera: W ten sposób to może być niezwykle przydatna nauka. Niestety w polskich uczelniach bardzo często polega ona na recytowaniu formułek, które nie mają nic wspólnego z wynikami badań.

Czy podobnie jest na przeznaczonych dla kadry menedżerskiej studiach MBA? Ich absolwenci zdają się mieć później duży wpływ na świat, w jakim żyjemy.

Prof. Jerzy Kociatkiewicz: Oglądając wszystko z punktu widzenia najwyższej postawionej menedżerów i osób najbogatszych, uczymy się z nimi identyfikować. Kursy zarządzania wręcz uczą empatii wobec najsilniejszych jednostek w społeczeństwie, co wydaje mi się całkowitym przeciwieństwem tego, co powinniśmy robić.

Nie mam kontaktu z kursami MBA w Polsce, natomiast czasem prowadzę zajęcia w ramach takich studiów prowadzonych na uniwersytecie w Sheffield. Bardzo często spotykam się tam ze studentami, którzy mają doświadczenie w organizacjach, ale nie są zainteresowani wyłącznie tymi największymi biznesami i szefami. Bardziej interesuje ich średni szczebel i sposoby życia w organizacji niż formułki dotyczące wielkich planów strategicznych.

Prof. Monika Kostera: Ja akurat mam kontakt z bardzo nietypowymi studiami MBA w Polsce. Na tych studiach rozmawia się o etyce, o Kancie, o teatrze. Natomiast z tego co się orientuję, to jest to inne podejście niż w większości kursów, które

są poświęcone raczej studiom przypadków z zachodnich korporacji.

W ostatnich latach prowadziła pani badania w organizacjach zorientowanych na wartości. Były to małe organizacje, często działające w formie kooperatywu. Czy możemy już mówić o zmierzchu wielkich form organizacji pracy, w których istotną rolę odgrywają menedżerowie wyedukowani w duchu dogmatycznego podejścia do zarządzania?

Prof. Monika Kostera: Badane przeze mnie organizacje są małe nie dlatego, że lubią, tylko że nie mają innego wyjścia. One nie mają żadnego instytucjonalnego wsparcia i m.in. dlatego to są na razie pojedyncze jaskółeczki zmiany. W jakimś nowym systemie społeczno-polityczno-gospodarczym organizacje alternatywne nastawione na realizowanie wartości pewnie mogłyby być wielkimi organizacjami, ale nie mam pojęcia, jak to może wyglądać. To zbyt trudne pytanie, bo nie można liniowo ekstrapolować takich rzeczy. Natomiast możemy przyjąć od razu, że stosowane w nich miary nie będą związane z finansowym zyskiem.

Prof. Jerzy Kociatkiewicz: Nie możemy się spodziewać, że wielkie organizacje znikną, jako że nasze życie robi się coraz bardziej skomplikowane. Jednocześnie mam nadzieję, że zmieniają się dominujące modele i wszelkie organizacje przestaną próbować być jak korporacje czy banki i zaczną korzystać z innych wzorców.

A jak można wspierać, przyspieszać tę zmianę?

Prof. Monika Kostera: Na tzw. poziomie mezo, czyli poziomie organizacji możemy próbować eksperymentować. W sytuacji, w której nie wiemy, jaki jest stan docelowy systemu i do czego tak naprawdę zmierzamy, możemy generować nowe rozwiązania i wspierać różnorodność. Na kursach zarządzania możemy wspierać twórczość i pomysły ludzi, zachęcać do burzy mózgów. Jak się zbierze dużo mądrych pomysłów, to w końcu coś z tego będzie nadawało się do wdrożenia.

Prof. Jerzy Kociatkiewicz: Sądzę, że potrzebne są istotne zmiany na płaszczyźnie politycznej. Nic się nie zmieni bez odejścia od tej orto-

doksji, mówiącej, że wszystkie problemy niezależnie od dziedziny życia najlepiej jest rozwiązać poprzez wprowadzenie prostych mechanizmów rynkowych. Ta ortodoksja jest już coraz bardziej chwiejna, coraz mniej wiarygodna. Badania opinii publicznej w różnych krajach mówią, że są to rozwiązania, w które ludzie nie wierzą i na hasło „prywatyzacja”, czy „urynkowanie” ludzie reagują negatywnie. Z kolei w naukach społecznych i ekonomicznych słychać wiele głosów mówiących o tym, że rozwiązania stricte rynkowe działają słabo. Jednak na poziomie regulacji wciąż jest to dominujący model. To się nie zmieni od razu i nie samo z siebie, ale tylko dzięki wzrastającej niechęci ludzi do kolejnych nieudanych prób rozwiązywania ich problemów metodami rynkowymi. Tak wywołane zmiany polityczne mogą pozwolić rozwiązaniom testowanym na małych organizacjach wypłynąć na szersze wody.

.....
Monika Kostera jest profesorem zwyczajnym na Uniwersytecie Jagiellońskim i na Uniwersytetach w Durham w Wielkiej Brytanii i Linneusza w Szwecji. Jest profesorem gościem kilku uczelni brytyjskich. Opublikowała przeszło 40 książek na temat organizacji i zarządzania nakładem wydawnictw polskich i międzynarodowych oraz wiele artykułów w pismach naukowych. Jej aktualne obszary badawcze to przede wszystkim archetypy organizowania, etnografia organizacji, dezalienacja pracy i samo-zarządzanie.

.....
Jerzy Kociatkiewicz – doktor habilitowany nauk o zarządzaniu, profesor Uniwersytetu SWPS. Interesuje się doświadczeniem organizacyjnej codzienności, opowieściami w organizacjach i fantastyką w zderzeniu z zarządzaniem, angażuje się także w rozwój nowych, etnograficznie inspirowanych jakościowych metod badawczych. Pracuje na University of Sheffield i Uniwersytecie Humanistycznym SWPS. Jest współautorem, wraz z Zygmuntem Baumanem, Ireną Bauman i Moniką Kostera, książki „Zarządzanie w płynnej nowoczesności”, której polskie wydanie ukazało się w tym roku nakładem wydawnictwa Bęc Zmiana.



O przyczynach głodu na świecie, alternatywnych sieciach żywnościowych, agroekologii i GMO z Olivierem De Schutterem – byłym Specjalnym Sprawozdawcą ONZ ds. Prawa do Żywności, rozmawiają Marijn Bouwmeester i kwartalnik Groen Links.

Politycy muszą uczyć się z doświadczeń żywieniowych obywateli

Jedną z głównych rekomendacji raportu Międzynarodowego Panelu Ekspertów ds. Zrównoważonych Systemów Żywnościowych (IPES) mówi o potrzebie zbudowania zróżnicowanych systemów agroekologicznych. Jak to rozumiesz? Rodzi to zawsze jedno wielkie pytanie: czy zróżnicowane zrównoważone systemy będą w stanie zapewnić bezpieczeństwo żywnościowe (tj. „nakarmić świat w 2050 roku”). Dlaczego mamy jak do tej pory tak mało dowodów naukowych na to, że zróżnicowane agroekologiczne systemy żywnościowe mogą nam zapewnić bezpieczeństwo żywnościowe?

Olivier De Schutter: Narrację, według której będzie nam trudno „nakarmić 9 miliardów ludzi”, uznaliśmy za jedną z głównych przeszkód, jeśli chodzi o przejście do bardziej zróżnicowanych i odpornych agroekologicznych systemów rolniczych. Narracja ta jest problematyczna z trzech powodów. Po pierwsze, nie bierze pod uwagę ogromnej niewydolności i marnotrawstwa lub strat w obecnych systemach żywnościowych, a kwestie te powinny być traktowane priorytetowo. Po drugie, prowadzi do promocji wielkoskalowego rolnictwa przemysłowego, które w rzeczywistości zwiększyłyby jedynie ilość dostępnych kalorii, kosztem rentowności małych gospodarstw mających kluczowe znaczenie dla przetrwania biednych mieszkańców terenów wiejskich na całym świecie, a także jakości odżywiania. Po trzecie, zakłada ona z góry, że mniejsze gospodarstwa, stosujące zróżnicowane formy gospodarowania, są mniej wydajne. W rzeczywistości jednak tego rodzaju gospodarstwa uzyskują bardzo wysoką wydajność z hektara: są o wiele bardziej efektywne pod względem wykorzystania zasobów (efektywniejsze w użyciu ziemi i wody) od wielkich gospodarstw przemysłowych, chociaż jednocześnie wymagają większych nakładów pracy, co sprawia, że w zbudowanej przez nas gospodarce żywnościowej, która opiera się na obniżaniu kosztów („low-cost food economy”), są mniej konkurencyjne. Wszystkie badania wykazują, że istnieje odwrotna zależność pomiędzy wielkością gospodarstwa a produktywnością z hektara: im mniejsze gospodarstwo, tym więcej plony z hektara – lecz także więcej pracy dla robotników rolnych.

Cytat z raportu IPES (z podsumowania) „Jednak nie należy zakładać, że zwrot ku zróżnicowanym systemom agroekologicznym zagroziłby bezpieczeństwu żywnościowemu”. Tak jak pokazano powyżej, tendencja do pojmowania bezpieczeństwa żywnościowego jako „nakarmienia świata” (tj.

GLÓD JEST PROBLEMEM POLITYCZNYM

ilości produktów na światowych rynkach netto) nie odzwierciedla tego, co ma naprawdę znaczenie dla polepszenia sytuacji ludzi, którym tego bezpieczeństwa brakuje”. Co ma zatem znaczenie dla poprawy jakości życia ludzi pozbawionych bezpieczeństwa żywnościowego?

Ci, którzy są dzisiaj głodni, to ludzie biedni, w przeważającej większości na globalnym południu, których nie stać na zakup żywności na rynku i którzy nie są w stanie wyprodukować żywności na potrzeby własnej konsumpcji. Są to ludzie, którzy nie mają stałego zatrudnienia lub zarabiają zbyt mało i nie mają dostępu do ochrony socjalnej, albo bezrolni czy też posiadający niewiele ziemi mieszkańcy wsi, którzy walczą o przetrwanie, utrzymując się z produkcji rolnej wyłącznie na własne potrzeby, lub okazjonalnie wynajmują się do pracy w wielkich gospodarstwach. Trzeba zająć tymi wszystkimi problemami: godziwą pracę, rozszerzeniem ochrony socjalnej i wsparciem dla drobnego rolnictwa rodzinnego, wszystko to należy upowszechniać. Jeżeli nie rozwiążemy tych kwestii, zwiększenie produkcji, niezależnie jak bardzo, nie zmniejszy głodu.

Dlaczego tak trudno jest dostrzec z twierdzeniem, że „głód nie jest problemem technicznym, lecz politycznym” do szerszej publiczności i sprawić, by stało się ono bardziej znaczące w debacie publicznej?

Głód wynika z faktu, że ludzie mają zbyt mało żywności, by utrzymać się przy życiu i zachować zdrowie. Jest to jedna z wielu różnych form niedożywienia w dzisiejszym świecie – inne z nich to niedobór mikroelementów i otyłość. Te trzy rodzaje niedożywienia są ze sobą w złożony sposób powiązane. Ponieważ głód jest na swoim podstawowym poziomie związany z niemożnością zaspokojenia potrzeb fizjologicznych, związanych z uprawą gleby – stanowi to wyzwanie dla agronomów i hodowców roślin. Jednak w rzeczywistości głód jest problemem mającym związek ze sprawiedliwością społeczną. Znakomicie podsumował to Amartya Sen w swoim eseju *Poverty and Famines* (Ubóstwo i głód) z 1981 roku, pisząc w pierwszej linijce (jeśli dobrze pamiętam): „Brak dostępności żywności jest jedną z wielu przyczyn głodu. Nie jest jedyną przyczyną głodu”. Miał na myśli to, że główną przyczyną jest brak dostępu do pożywienia wynikający z niskiej siły nabywczej całych grup ludności.

Jakie działania polityczne należy podjąć w celu przejścia na nowe zrównoważone i zróżnicowane systemy rolne? A także, w jaki sposób polityka europejska i polityki narodowe kolidują ze sobą? Jakże konkretne środki można zastosować na szczeblach narodowych, i jakie

powinno być podejście na poziomie polityki unijnej?

Przejście na agroekologiczne, zróżnicowane systemy rolne konieczne jest we wszystkich regionach, lecz droga do osiągnięcia tego celu będzie się bardzo różniła w zależności od miejsca, z powodu różnic w przyjętych modelach produkcji rolniczej. W Europie najważniejsze jest zagwarantowanie stopniowej internalizacji (tj. uwzględnienia w kosztach produkcji, a więc również w finalnej cenie płaconej przez konsumenta) znacznych społecznych, zdrowotnych i ekologicznych kosztów zewnętrznych rolnictwa przemysłowego. Musi to być połączone z mocną polityką społeczną na rzecz wzmocnienia siły nabywczej rodzin o najniższych dochodach oraz z o wiele większym wsparciem dla agroekologicznych metod rolniczych, które powinno obejmować także rozwój nowych rynków, tak by umożliwić rolnikom sprzedaż ich produktów w lepszych warunkach. Należy również zmniejszyć zależność od zaporozbowania na standaryzowane produkty rolnicze ze strony wielkich, korporacyjnych nabywców. Jest złożone zadanie, ponieważ wymaga skoordynowanego działania obejmującego różne działy polityki, które muszą podążać razem w tym kierunku i czynić to w odpowiednim tempie. Na przykład wymuszenie internalizacji kosztów zewnętrznych prowadzące do wzrostu cen podstawowych produktów żywnościowych, przeprowadzone bez uprzedniego zagwarantowania – poprzez odpowiednią politykę społeczną – ochrony przed wzrostem cen dla rodzin o niskich dochodach, mogłoby być niebezpieczne. Z tego powodu w Unii Europejskiej niezbędna jest wspólna polityka żywnościowa.

Alternatywne sieci żywnościowe

Na konferencji Voedsel Anders (*Food Otherwise*) w lutym 2016 roku mówiłeś o tworzeniu alternatywnych sieci żywnościowych, a w szczególności o stojących przed nimi wyzwaniach: o tym, że nie powinny one delegitimizować polityki opartej na głosowaniu i wyrażaniu opinii, lecz ją poszerzać i uzupełniać. Twój niepokój budziło to, że jak się wydaje, wiele z tych sieci nie potrzebuje polityki, a czasami nawet ma do niej stosunek niechętny. Może to spowodować lukę, wiąże się z ryzykiem delegitimizacji polityki. Co twoim zdaniem powinny zrobić zarówno te sieci, jak i (lokalni) politycy, by wypełnić tę lukę?

Demokracja reprezentatywna, taka jaka rozwinęła się w 20. wieku – w której głównymi aktorami są partie polityczne i profesjonalni politycy, a ludzie są po prostu prosieni o głosowanie co cztery lub pięć lat, aby upoważnić swoich przedstawicieli do podejmowania za nich decyzji – znajduje się na końcu całej

go cyklu. Zwiększyła się przepaść pomiędzy społeczeństwami a klasą polityczną, ludzie są lepiej poinformowani, a także bardziej niecierpliwi niż w przeszłości: chcą więcej polityki, a nie mniej, zdają sobie sprawę, że polityka taka jak dotychczas przegrywa wyścig z czasem, nie sprawdza się w obliczu wyczerpywania się zasobów i zagrożeń ekologicznych. Rozwój alternatywnych sieci żywnościowych, wraz z całym wachlarzem innowacji społecznych w dziedzinach takich jak produkcja energii, recykling i transport, jest wyrazem tej niecierpliwości: ludzie nie chcą czekać, aż zadziała system polityczny, chcą znajdować swoje własne rozwiązania. Rola polityki nie stała się przez to mniej ważna, lecz przybiera inną formę: zamiast przyjmowania jedynie regulacji prawnych i stosowania bodźców ekonomicznych w celu sterowania społeczeństwem, politycy powinni zastanowić się, w jaki sposób umożliwić obywatelom podejmowanie takich inicjatyw, odpowiednich dla warunków lokalnych. Z tego powodu na znaczeniu zyskuje polityka lokalna, na poziomie miasta lub regionu.

Mówiłeś także o potencjale małych inicjatyw, które często opierają się na pracy niewielkiej liczby osób/wolontariuszy, i o tym, czy powinny się one powiększać (pod względem rozmiaru, skali działalności), czy też raczej rozwijać się przez „pączkowanie” (rozmnazając się). Czy mógłbyś powiedzieć coś więcej na ten temat, a także o roli, jaką mają tutaj do odegrania politycy?

W początkowych stadiach innowacji społecznych innowatorzy są raczej odosobnieni: odkrywają nowe sposoby działania, wytwarzania lub kupowania żywności albo produkcji energii, w pozycji do głównego nurtu systemu. Jednak z czasem ci „nowatorzy” kształtują nowe normy społeczne, do których inni stopniowo się dostosują, i za jakiś czas nieprzestrzeganie nowo ustanowionej normy może narazić na szwank reputację tych, którzy pozostali z tyłu (na przykład dzisiaj dotyczy to ludzi, którzy nie stosują recyklingu bądź używają samochodów nawet na krótkich dystansach). Tak więc niewielki początkowo rozmiar innowacji społecznych, które są czasami bardzo lokalne i angażują zaledwie garstkę ludzi, nie oznacza, że są one mało ważne. Ponadto mały rozmiar może być warunkiem ich sukcesu, ponieważ sprawia, że są dobrze dopasowane do lokalnych zasobów, kontekstu i motywacji miejscowych uczestników. Dążenie do powiększania takich innowacji pod względem rozmiaru i skali działalności może być iluzoryczne, i często lepiej jest stworzyć „przestrzeń” dla ludzi, aby mogli znaleźć swoje własne rozwiązania. Politycy mogą (a być może muszą) wspierać ten

ruch – ucząc się z takich eksperymentów, rozumiejąc przeszkody blokujące ich rozwój i stopniowo je usuwając, aby z czasem mogły służyć całemu społeczeństwu.

Demokracja żywnościowa

Jak już wiele razy wspominałeś, nasze systemy żywnościowe opierają się obecnie przede wszystkim na regulacjach prawnych i zachętach ekonomicznych. Apelujesz często o demokrację żywnościową. W jaki sposób powinno się ją wprowadzić lub stworzyć? Z jakiego rodzaju zmianami stosunków władzy musi się to wiązać? Czyje głosy – teraz ignorowane – muszą zostać wysłuchane?

Demokracja żywnościowa oznacza poprawę przejrzystości, uczestnictwa i odpowiedzialności w procesie podejmowania decyzji dotyczących polityki rolnej i żywnościowej, w tym rozwój nowych form uczestnictwa, takich jak rady polityki żywnościowej. Demokracja żywnościowa ma kluczowe znaczenie, ponieważ w innym przypadku rządy stają się zazwyczaj zakładnikami wielkich graczy z przemysłu rolno-spożywczego i mogą stracić z oczu dobro ogółu oraz długoterminowe negatywne skutki przemysłowych systemów żywnościowych. Brak wystarczającej reprezentacji wielkich, rozproszonych grup interesów (w tym tych z konsumentów, którzy są zaniepokojeni konsekwencjami zdrowotnymi spożywania przetworzonej żywności, na przykład) został rozpoznany już dawno temu. Jest jednak jeszcze coś innego: jeżeli te inne obecnie niewystarczająco reprezentowane grupy nie będą miały więcej do powiedzenia w kwestii kształtowania systemów żywnościowych, wyobraźnia polityczna pozostanie ograniczona, przeważać będą rozwiązania „jak zwykle”, i nawet najbardziej postępowi politycy nie uzyskają wsparcia w swoim dążeniu do reform.

Jakie są twoim zdaniem szczególne polityczne wyzwania dla Holandii, która jest jednym z największych światowych eksporterów żywności? Czy (zielonym) politykom uda się zaangażować wszystkich do pracy nad wspólnym celem, od rolników po przedsiębiorstwa i konsumentów? Jakie będzie, według ciebie, największe wyzwanie?

Przejście na zrównoważone, zróżnicowane systemy rolne wiąże się z wieloma wyzwaniami. Obejmują one czynniki kulturowe (przekonanie, że tylko oparte na paliwach kopalnych rolnictwo przemysłowe jest w stanie zapewnić wystarczającą ilość żywności), czynniki ekonomiczne (konkurencyjność takiego rodzaju rolnictwa, ponieważ na rynkach, tak jak są one obecnie zorganizowane, wymaga ono mniejszych nakładów pracy) oraz czynniki polityczne (dominacja w procesie podejmowania decyzji pewnych aktorów gospodarczych). Prawdopodobnie największym wyzwaniem jest tzw. zależność od ścieżki, w którą dał się złapać – wybory z przeszłości, które znajdują odzwierciedlenie w tzw. utopionych kosztach inwestycyjnych, tj. kosztach poniesionych na rozwój wielkoskalowej infrastruktury i subsydia, są bardzo trudne do odwrócenia. To właśnie z tego powodu konieczna jest mobilizacja wszystkich aktorów społecznych i stworzenie nowych sojuszy – np. pomiędzy ekologicznymi organizacjami pozarządowymi, które niepokoją się wpływem rolnictwa przemysłowego na śro-

dowisko, a organizacjami pragnącymi zachęcić kraje globalnego południa do inwestycji w ich własne systemy rolne i zmniejszenia zależności od importu żywności. Inny możliwy sojusz – to pomiędzy rzecznikami zdrowia publicznego, bijącymi na alarm z powodu skutków zdrowotnych naszej diety, a politykami, którzy niepokoją się skutkami fiskalnymi zwiększających się kosztów ochrony zdrowia, związanych z nadwagą i otyłością.

Jesteś wielkim fanem miejskich polityk żywnościowych, takich jak w Mediolanie i Utrechcie. Jako mieszkaniec Utrechtu, zauważam pewne działania w kierunku wspólnej strategii żywnościowej, ale w tej chwili ograniczają się one do wydziału zdrowia w lokalnej administracji. Lokalne, narodowe i międzynarodowe instytucje rządowe są generalnie bardzo podzielone na różne wydziały i departamenty, podczas gdy polityka żywnościowa odnosi się do wielu różnych działów. Jak, twoim zdaniem, politycy i administracja mogliby zająć się tym w sposób bardziej holistyczny?

Dokładnie z tego powodu potrzebujemy strategii zintegrowanych na wszystkich poziomach. Obecnie mamy do czynienia z dwoma rodzajami niewydolności zarządzania, które łącznie wyjaśniają trudności, z którymi konfrontują się społeczności na wszystkich szczeblach (lokalnym, narodowym, międzynarodowym), próbując zapewnić sobie dobre samopoczucie i zdrowie i skutecznie przekształcić środowisko sprzyjające otyłości w takie, które służyłoby realizacji tych celów. Pierwsza niewydolność dotyczy braku koordynacji i spójności pomiędzy różnymi dziedzinami polityki (rolnictwo, edukacja, ochrona środowiska, rozwój terenów wiejskich, infrastruktura, szczególnie transportowa itd.). Druga niewydolność dotyczy niezdolności do przeciwstawienia się dominacji, zarówno gospodarczej, jak i politycznej, najważniejszych aktorów dominującego systemu żywnościowego – korporacji rolno-spożywczych (w tym nabywców hurtowych i głównych przetwórców żywności) i wielkich sprzedawców detalicznych w szczególności.

Pojawiły się dwie taktyki transformacyjne, które mają na celu poradzenie sobie z tymi problemami. Jedna polega na rozwijaniu strategii wielosektorowych, poprawianiu spójności pomiędzy różnymi dziedzinami polityki poprzez wieloletnie plany działania z przydziałem zadań (w ten sposób określając zakres obowiązków i poprawiając odpowiedzialność); określaniu ram czasowych; ustalaniu wskaźników, aby móc ocenić postęp; oraz tworzeniu, w niektórych przypadkach, niezależnych mechanizmów monitorowania. Widzimy to w działaniu na poziomie miast (np. Pakt ws. Miejskiej Polityki Żywnościowej w Mediolanie z 2015 roku), na poziomie rządów narodowych (zostały przyjęte różne strategie narodowe lub plany działania, pod różnymi nazwami, czasami odnoszącymi się wprost do prawa do żywności, częściej bardziej ogólnie do „bezpieczeństwa żywnościowego i odżywiania”, z walką z otyłością jako jednym z priorytetów), i na poziomie globalnym (ze wzmocnieniem w listopadzie 2009 roku mandatu i wpływu Komitetu ds. Światowego Bezpieczeństwa Żywnościowego (CFS) i uczynieniem zeń najważniejszego forum w ramach światowej konferencji ws. skoordynowanych działań przeciwko niedożywieniu).

Inną taktyką jest rozwijanie lokalnych innowacji: krótkich łańcuchów



Fot. pexels.com



Fot. Flickr.com / François Zeller – Aurangabad (Maharashtra, India)

żywnościowych i bezpośrednich powiązań pomiędzy konsumentami a rolnikami, rolnictwa miejskiego i podmiejskiego, w tym ogrodów warzywnych w miastach, programy „od rolnika do szkół” itp. Te innowacje powstają najczęściej z inicjatywy społeczności (rodziców, sąsiadów, organizacji non-profit itp.) a nie lokalnych władz, chociaż są często przez nie wspierane, i w wielu przypadkach władze samorządowe stają się kluczowym partnerem.

Moim zdaniem, wyzwaniem na dzisiaj jest rozwijanie tych obiecujących inicjatyw – poprzez pokazywanie najlepszych praktyk, jak również warunków sukcesu czy potencjalnych przeszkód/przyczyn porażki, i ukazywanie, w jaki sposób te dwie strategie mogą ze sobą współdziałać. Innymi słowami: w jaki sposób stworzyć na wszystkich poziomach sposób zarządzania, który – z jednej strony – poprawia spójność pomiędzy różnymi dziedzinami polityki i kieruje nas w stronę podejścia angażującego całą administrację rządową w działania na rzecz takiego przekształcenia środowiska, by nie sprzyjało otyłości, z drugiej – maksymalizuje znaczny potencjał oddolnych inicjatyw społecznych działających na rzecz tego samego celu.

Trybunał Monsanto

Jesteś członkiem komitetu sterującego Trybunału Monsanto, który odbędzie się w październiku w Hadzie. Jakie są główne cele Trybunału Monsanto?

Międzynarodowy Trybunał Monsanto został powołany, aby stworzyć forum dla ofiar, na którym mogłyby one wyrazić swoje obawy, oraz po to, by umożliwić ocenę prawną tych zarzutów. Powinno to zachęcić do podejmowania działań prawnych na poziomie krajowym oraz ośmielić ofiary do domagania się zadośćuczynienia za poniesione szkody. Powinno to także pobudzić rządy do poważniejszego traktowania ich obowiązku zapewnienia ochrony praw człowieka, które są zagrożone na skutek działalności Monsanto. Jest to, w pewien sposób, nowa forma aktywizmu, który dąży do sojuszu społeczności prawniczej z ruchami społecznymi, w nadziei, że umożliwi to skuteczniejszą walkę z bezkarnością korporacji.

Trybunał oceni również zasadność wysuwanych wobec Monsanto oskarżeń o popełnianie zbrodni zagłady ekologicznej (ecocide), jak również rozważy, czy międzynarodowe prawo karne powinno zawierać przepisy dotyczące tego rodzaju przestępstw. Do jakiego stopnia, twoim zdaniem, zgłada ekologiczna powinna być uważana za przestępstwo?

Trybunał Monsanto będzie się w przeważającej części opierał na obowiązującym międzynarodowym prawie dotyczącym praw człowieka. Jednak oceni również rezultaty postępowania przedsiębiorstwa jako przykład zagłady ekologicznej, tak by zilustrować potrzebę uznania jej za część międzynaro-

dowego prawa karnego. Powinno to wypełnić cel pedagogiczny.

Biotechnologia/GMO

Czy twoim zdaniem uprawy GMO powinny zostać całkowicie zabronione? Dlaczego? Czy jest to istotne pytanie i czy należy je w takiej formie zadawać?

GMO stanowi niewielką część o wiele większej debaty dotyczącej różnych ścieżek rozwoju rolnictwa, i dziwne, że spolarizowało tak wiele uwagi. O wiele ważniejszy jest wybór pomiędzy zuniformizowanym rolnictwem przemysłowym (którego częścią jest historia biotechnologii) a agroekologią, i na tym powinna skupić się debata. Jednakże nie należy lekceważyć poważnych wątpliwości związanych z GMO, które odnoszą się do bezpieczeństwa żywności (długoterminowego wpływu na zdrowie konsumentów, którzy spożywają żywność GMO), wpływu na środowisko (utrata różnorodności i pojawienia się „super-chwastów” po wprowadzeniu upraw odpornych na herbicydy) oraz opłacalności ekonomicznej dla rolników systemu, w którym stali się oni tak bardzo zależni od niewielkiej liczby dostawców nasion, pestycydów i nawozów. Naprawdę istotne pytanie dotyczy kosztów utraconych możliwości (opportunity costs): czy tak olbrzymie inwestycje w badania i rozwój nowych odmian GMO są usprawiedliwione, jeśli weźmiemy pod uwagę te wszystkie różnego rodzaju koszty? Czy nie opóźnia to w czasie przejścia do bardziej odpornych

i zrównoważonych form rolnictwa? Czy nie sprzedajemy jako „rozwiązań” czegoś, co jest tylko doraźnym działaniem?

Co sądzisz o twierdzeniach sektora biotechnologicznego i wielu z twoich kolegów ze środowiska naukowego, że potrzebujemy biotechnologii w rolnictwie, aby nakarmić świat w 2050 roku? Niedawno 109 naukowców (laureatów Nagrody Nobla) wspólnie wystąpiło z tego rodzaju twierdzeniem i zaapelowało do ruchów ekologicznych o zaprzestanie sprzeciwu wobec GMO.

Niestety ci laureaci Nagrody Nobla, z których bardzo niewielu jest specjalistami w zakresie rolnictwa lub redukcji ubóstwa na globalnym południu, zostali wprowadzeni w błąd. Ich list zawiera wiele błędów merytorycznych. Złoty Ryż poniósł porażkę nie na skutek działań Greenpeace, którego jedyną rolą było ujawnienie pewnych faktów na temat niedotrzymanych obietnic tej dziedziny badań. Złoty Ryż okazał się niewypałem, ponieważ nie sprawdzili się na polu z agronomicznego punktu widzenia. Z tego powodu znajduje się nadal w fazie testów polowych i w tym momencie jest bardzo wątpliwe, czy będzie możliwy jego dalszy rozwój. Greenpeace nie ma nic do tego. Istnieją również poważne wątpliwości co do jego zdolności (zarówno w oryginalnej wersji, która została porzucona, jak i nowej, opatentowanej przez Syngentę) do skutecznego zwalczania niedoboru witaminy A. To smutne, że naukowcy, zamiast informować opinię publiczną o potwierdzonych faktach naukowych, dali się dokooptować do kampanii PR, opartej na tendencyjnym przedstawieniu rzeczywistości.

Jako sprawozdawca ONZ badałeś wpływ biotechnologii na rolników globalnego południa. Czy mógłbyś przedstawić w zarysie swoją ocenę?

Nie, ponieważ nie da się sformułować ostatecznych wniosków. Na przykład bawełna Bt przyniosła korzyści niektórym rolnikom w Indiach: tym, którzy mają dostęp zarówno do kredytów na rozsądnych warunkach, jak do rynków, i którzy posiadają areał ziemi uprawnej umożliwiający skorzystanie z efektu skali i prowadzenie gospodarstwa w sposób do pewnego stopnia kapitalistyczny. Owszem, oni mogą skorzystać. Lecz wielu innych rolników, szczególnie tych najbardziej ubogich, którzy zmuszeni są do pożyczania pieniędzy na lichwiarskich warunkach i uprawiają niewielkie skrawki ziemi, które zastawili pod pożyczki i które mogą stracić, jeśli plony będą słabe – zostało bardzo dotkliwie poszkodowanych przez tę technologię. Trudno jest w tej kwestii sformułować ogólne twierdzenia. Jedno jest dla mnie jasne: rozwiązania, które „zadziałały” dla przeciętnego amerykańskiego rolnika ma Środkowym Zachodzie, niekoniecznie zaspokoją potrzeby rolników z Południa, którzy gospodarują na o wiele mniejszą skalę i w zupełnie innych warunkach.

Olivier De Schutter, były Specjalny Sprawozdawca ONZ ds. Prawa do Żywności, współprzewodniczący Międzynarodowego Panelu Ekspertów ds. Zrównoważonych Systemów Żywnościowych (International Panel of Experts on Sustainable Food Systems (IPES-Food))

<http://www.greens-efa.eu/interview-of-olivier-de-schutter-15969.html>
Tłumaczenie: Jan Skoczylas



Marcin
Gerwin

O tym, że sprawiedliwy dostęp do ziemi jest sposobem na zmniejszenie ubóstwa.

Szkocję zamieszkuje ponad 5 milionów ludzi, tymczasem połowa prywatnej ziemi, na terenach wiejskich, znajduje się w rękach zaledwie 432 osób. Z kolei w Brazylii około 2% właścicieli ziemi posiada 56% wszystkich ziem uprawnych. Tego typu nierówności mają miejsce w bardzo wielu państwach świata i są one szczególnie dotkliwe w państwach rozwijających się, gdzie najbiedniejsi z biednych to ci, którzy mieszkają na wsi i nie mają dostępu do ziemi, którą mogliby uprawiać. Wyniki najnowszego spisu powszechnego w Indiach pokazują, że blisko 30% gospodarstw domowych na terenach wiejskich nie ma dostępu do ziemi – są to ponad 53 miliony gospodarstw domowych, które średnio mogą liczyć po pięć osób. Źródłem utrzymania dla tych ludzi jest wówczas przede wszystkim dorywcza praca fizyczna.

W efekcie ponad 25% wszystkich mieszkańców i mieszkanki terenów wiejskich w Indiach żyje poniżej granicy ubóstwa, co oznacza, że ich dochód miesięczny na osobę wynosi mniej niż 47 zł miesięcznie (816 indyjskich rupii). W poszukiwaniu pracy wiele osób, w tym także drobnych rolników, przenosi się do miasta, gdzie zwykle trafiają do coraz to większych slumsów. To nie jest tak, że na ubogich ludzi z terenów wiejskich w Afryce czy w Azji czekają w miastach z otwartymi ramionami rzesze pracodawców, którzy gotowi są zapewnić wszystkim zainteresowanym miejsca pracy i to jeszcze dobrze płatnej i w dobrych warunkach. W Indiach przeniesienie się do miasta to praca na przykład dla departamentu robót publicznych, przy budowie autostrad, za mniej niż 1 dolara za cały dzień pracy.

Zapewnienie wszystkim chętnym miejsc pracy w fabrykach czy w usługach w miastach jest nie tylko niezwykle trudne, lecz na dobrą sprawę niewykonalne, chociażby ze względu na coraz to większą automatyzację produkcji. Wyzwaniem jest także skala potrzeb – w samych Indiach dla ludzi, którzy nie mają dostępu do ziemi na terenach wiejskich, potrzebne byłoby około 300 milionów nowych miejsc pracy. Dlatego dla wyeliminowania ubóstwa i głodu dostęp do ziemi dla mieszkańców i mieszkanki terenów wiejskich ma podstawowe znaczenie.

1.

Nawet skromny kawałek ziemi może poprawić ludziom dostęp do żywności. Można na niej posadzić również rośliny lecznicze, rośliny na opał czy drzewa, z których drewna można potem skorzystać do budowy domu lub do robienia mebli czy narzędzi. Przykładem jest historia Jiyappy, który wcześniej pracował na czyjejś farmie, w zamian za co mógł mieszkać tam w prymitywnym schronieniu, otrzymywał podstawowe jedzenie i wynagrodzenie w wysokości 16 dolarów rocznie. Dzięki wsparciu organizacji Deccan Development Society kupił w stanie Andhra Pradesh małą działkę o powierzchni niecałych 502 m² (0,05 ha).

Zapewnia ona jego pięcioosobo-

SPÓR O WŁASNOŚĆ ZIEMI to jak kłótnia pcheł o to, która jest właścicielem psa



Fot: McKay Savage from London, UK / Wikimedia, CC by 2.0 / 28-osobowa grupa rolnicza w Machakos, Kenia uprawia działkę o pow. 4 akrów (pomarańcze, awokado, warzywa, kukurydza).

wej rodzinie niemal wszystkie warzywa i owoce.

Nadwyżki zbiorów są sprzedawane i przynoszą rocznie 67 dolarów. Na działce posadzone zostały także drzewa, a wśród nich 42 drzewa tekowe i drzewa neem (miodla indyjska). Jest również wielofunkcyjny bambus. Gdy drzewa tekowe osiągną dojrzałość, ich drewno będzie warte około 23 tysiące dolarów.

Działka o powierzchni 0,05 hektara to na dobrą sprawę bardzo mało, jest to w zasadzie ogródek. Dla porównania, średnia wielkość drobnego gospodarstwa rolnego na świecie to 2,2 hektara, a w Polsce średnia powierzchnia gospodarstwa to 10,49 hektara (boisko do piłki nożnej ma powierzchnię 0,76 hektara). Zawsze to jednak coś.

Jak duże powinno być gospodarstwo rolne, aby zapewniało dostatnie życie na wsi? Zależy to od bardzo wielu rzeczy – od państwa, w którym się znajduje, od tego, jaka jest jakość gleby, jakie są opady, jakie są temperatury maksymalne i minimalne, jakie jest położenie terenu nad poziomem morza, jak również od tego, co się uprawia. Dla przykładu z upraw pięciu hektarów pszenicy w Polsce będzie bardzo trudno się utrzymać (koszty uprawy są wysokie, ceny w skupie niskie, więc zysk z jednej tony jest skromny i dla opłacalnej uprawy zboża potrzebne są duże obszary ziemi), natomiast przy uprawie warzyw i owoców, na tym samym obszarze, jest to już

możliwe. Hodowla zwierząt będzie też wymagała więcej terenu niż uprawa wyłącznie roślin. Znaczenie mają również umiejętności samego rolnika, jego pomysłowość, jak i to, czy stosuje metody ekologiczne czy konwencjonalne (syntetyczne nawozy pozwalają korzystać z mniejszego terenu, jednak mogą prowadzić do zniszczenia gleby).

W klimacie tropikalnym leśne ogrody, zaprojektowane na wzór naturalnego lasu, mogą być niezwykle wydajne, nawet na bardzo małym obszarze. W stanie Kerala, na południu Indii, na powierzchni 0,12 hektara, w takim ogrodzie mogą rosnąć 23 palmy kokosowe, 12 goździkowców, 56 bananów, 49 ananasów, a po pniach drzew może pięć się 30 pnący pieprzu. Jednak już w stanie Radżastan, położonym na północnym zachodzie Indii, nie uda się tego powtórzyć, gdyż jest to rejon suchy, pustylny, występują tam inne gatunki roślin i ze względu na niedostatek wody tak intensywne uprawy nie są możliwe. Nawet więc w obrębie jednego państwa minimalna powierzchnia farmy może być różna.

2.

Co stoi na przeszkodzie, by większa liczba osób mogła zacząć uprawiać ziemię? Problemem może być jej zbyt wysoka cena, zbyt duża liczba ludności, brak chętnych do sprzedania ziemi lub działania rządu, które prowadzą do przejmowania ogromnych obszarów ziem rolniczych

przez duże firmy lub nawet inne państwa, przez co brakuje ziemi dla drobnych rolników. Duże, przemysłowe farmy to zwykle uprawy na eksport kilku gatunków roślin, takich jak soja, kukurydza czy trzcina cukrowa. To nie one zapewniają żywność na lokalny rynek. W państwach, które nie są uprzemysłowione, 80% żywności pochodzi z upraw drobnych rolników.

Tereny rolnicze znikają także na skutek rozrastania się miast – zostają przekształcone na tereny przemysłowe lub mieszkaniowe. W skali świata może to być nawet 19,5 miliona hektarów w ciągu jednego roku (jest to obszar większy niż połowa Polski). Z kolei zbyt duża liczba ludności sprawia, że gospodarstwa drobnych rolników są dzielone na coraz to mniejsze, aż w końcu stają się tak małe, że trudno się z nich utrzymać. W Indiach średnia wielkość farmy zmniejszyła się z 2,6 hektara w 1960 r. do 1,4 hektara w 2000 r.

Tymczasem liczba ludności na świecie zwiększa się, szczególnie w państwach rozwijających się, gdzie ubóstwo jest największe. W Indiach populacja rośnie w szybkim tempie, podobnie w sąsiednim Bangladeszu, który ma już teraz bardzo dużą gęstość zaludnienia, jak również w Pakistanie. Liczba ludności tylko w tych trzech państwach może zwiększyć się o 600 milionów w 2050 r. Jednocześnie, na skutek między innymi niewłaściwych

praktyk rolnych, zachodzi na świecie inny trend – degradacja gleb. Szacuje się, że każdego roku tracimy 5-10 milionów hektarów ziem uprawnych.

Wyniki badań wskazują, że na przestrzeni ostatnich 40 lat zniszczonych została jedna trzecia wszystkich ziem uprawnych na naszej planecie.

3.

Co zatem można zrobić? Przede wszystkim sprawiedliwie podzielić te tereny, które wciąż można uprawiać, zacząć stosować ekologiczne metody upraw, by zachować żywność gleby, ograniczyć wzrost liczby ludności tam, gdzie jest on zbyt duży, prowadząc odpowiednią politykę i odbudować zdegradowane gleby. Jeden z podstawowych problemów z podziałem ziemi polega na tym, że znaczna jej część znajduje się w rękach prywatnych i jest traktowana jak towar na sprzedaż. W obrębie kultury zachodniej uznaje się za oczywiste, że ziemia może być czyjąś własnością, czy to własnością prywatną czy też państwa. Jeżeli jednak przyjrzymy się temu bliżej, wówczas wcale to takie oczywiste nie jest.

Spójrzmy na to od tej strony – historia człowieka na Ziemi, jako gatunku, zaczyna się 50-200 tysięcy lat temu (zależy jak liczyć). Tymczasem Ziemia ma około 4,5 miliarda lat. Pojawiliśmy się tu zupełnie

ciąg dalszy na następnej stronie

**Marek
Kryda**

Bezprecedensowe w historii przemiany w rolnictwie krajów Północy - wprowadzanie monokultur, chemizacja, mechanizacja, czy szerokie stosowanie państwowych subwencji, wpływają bezpośrednio na rolników Trzeciego Świata stanowiących ogromną część ludzkości.

Dość powiedzieć, że rolnictwo jest podstawowym źródłem dochodów dla 2,5 mld ludzi na całym świecie, czyli dla 35-38% globalnej populacji. Tzw. „Nowy Ład Produkcji Żywności” oznacza dla tej rzeszy rolników groźbę utraty dochodu ze sprzedaży produktów rolnych, na rzecz pionowo zintegrowanych korporacji. Kontrolują one w coraz większym stopniu światowy rynek żywności, od patentów na rośliny uprawne, poprzez środki ochrony roślin, uprawy, przetwórstwo i sieć sprzedaży, aż po dyktowanie cen produktów żywnościowych.

Większość mieszkańców państw sytej Północy zapewne żyje w przekonaniu, iż żywności mamy pod dostatkiem, i to w wyborze większym niż kiedykolwiek przedtem w historii. Jednak zbyt szybko przychodzi nam zapomnieć, że nasza żywność staje się coraz bardziej „zglobalizowana” – co oznacza, że np. zwiększona konsumpcja mięsa w Chinach spowoduje wzrost cen roślin paszowych na całym świecie. Świadczą o tym wydarzenia ostatnich lat – w 2016 roku zebrano 2,5 miliarda ton zbóż, czyli o 0,6% więcej niż w roku poprzednim. Jednak, jak podaje brytyjski dziennik *The Independent*, tylko mniej niż połowa tych zbóż przetwarzana jest na żywność, a w opinii Międzynarodowego Funduszu Walutowego subsydiowanie amerykańskich upraw kukurydzy GMO przeznaczonej do produkcji biopaliw, jest jednym z bardzo istotnych czynni-



Fot: Flickr.com / Roy Luck

KTO MA ŻYWNOSĆ, TEN MA WŁADZĘ

ków narastającego kryzysu żywnościowego w krajach ubogich. Roczna globalna produkcja biopaliw pochłania 100 milionów ton zbóż, którymi można by nakarmić ubogie kraje Południa. Według ONZ, do napełnienia 50-litrowego baku samochodu alkoholem etylowym, potrzeba aż 232 kilogramów kukurydzy – czyli wystarczającej ilości, by wyżywić jedno dziecko w ciągu roku. W konsekwencji w ostatnich latach żywność na światowym rynku staje się coraz droższa. W styczniu 2017 r. jej ceny były o 16,4 proc. wyższe niż w analogicznym okresie rok wcześniej i ponad 2 proc. wyższe niż w grudniu 2016 r. W ujęciu miesięcznym najbardziej podrożały: zboża, cukier, oleje roślinne i produkty mleczne. Według dyrektora generalnego Polskiej Federacji Producentów Żywności – Andrzeja Gantnera, drożejąca szybko żywność to efekt spekulacji na światowych giełdach. Według niego, inwestorzy liczą, że to właśnie żywność przyniesie im największy spekulacyjny zysk, a to przekłada się na wzrost cen zbóż czy cukru.

W konsekwencji wymienionych procesów, rosące ceny żywności wywarły negatywne skutki dla wielu krajów Południa i ich mieszkańców – niedobory żywności stały

się globalną rzeczywistością. Burzliwy proces wzrostu cen podstawowych produktów żywnościowych zdegradował 75 milionów ludzi na świecie do kategorii głodujących i wpędził około 125 milionów mieszkańców krajów rozwijających się w skrajne ubóstwo. By chronić lokalny rynek, w Egipcie, Kambodży, Indiach, Indonezji i Wietnamie eksport ryżu został okresowo zakazany. Można powiedzieć, iż te właśnie procesy spowodowały, że solidarność krajów Południa, krucha w czasach taniej żywności, rozspadła się w ostatnich latach. W 2008 r. najbardziej dramatyczne rozruchy głodowe miały miejsce na Haiti. Biorąc pod uwagę fakt, że 80% populacji żyje tam za mniej niż dwa dolary dziennie, podwojone ceny ryżu w pierwszych czterech miesiącach 2008 r. doprowadziły do wybuchu gwałtownych niepokojów, które zakończyły się dopiero po ustąpieniu premiera tego kraju. Zamieszki na Haiti w swojej intensywności przypominały rozruchy przeciwko Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu w Wenezueli – tak zwane cacerolazo, które zmieniły kształt polityki tego kraju prawie dwie dekady wcześniej. W skali globalnej około 70% krajów biednych, tych, których gospodarka opiera się na rolnictwie, stały się

importerami żywności netto kupując ją w krajach zamożnych.

Lansowane przez kraje Północy uprzemysłowienie i intensyfikacja upraw, prowadzi w krajach Południa do bardzo dotkliwych skutków społecznych. Przykładem może być tu Argentyna, gdzie po wprowadzeniu dwadzieścia lat temu, za radą krajów Północy, zmechanizowanej, bezorkowej uprawy monokultury soi, zapotrzebowanie na pracę spadło do tego stopnia, że setki tysięcy robotników rolnych musiało odejść z rolnictwa. Wszystko to przyniosło wielką plajtę rolników argentyńskich – tylko w latach 1988-2002 upadło tam ponad 100 tys. farm stanowiących 25% wszystkich małych gospodarstw w tym kraju, a liczba farm mlecznych spadła w Argentynie o połowę. Ziemia bankrutujących rolników trafiła w ręce właścicieli latyfundiów. Podobny proces odbył się także w sąsiadującym z Argentyną Paragwaju, gdzie „sojowa rewolucja” doprowadziła do niewiarygodnej koncentracji ziemi: 1% ludności tego kraju posiada obecnie aż 77% ziem rolnych. Również tu, w ciągu ostatnich 20 lat 100 tys. rolników zostało wypartych ze wsi, by zasilić rzeszę bezrobotnych mieszkańców szybko rozrastających się slumsów wielkich miast.

Migracja tego typu narasta również w Ameryce Północnej, bo podpisany przez USA, Kanadę i Meksyk układ o wolnym handlu NAFTA przyczynił się do zagłady tradycyjnego, meksykańskiego rolnictwa, opartego na tradycyjnych, rodzinnych gospodarstwach rolnych: wyparły je korporacje rolnictwa przemysłowego, błyskawicznie przejmujące ziemię rolną Meksyku. Na dodatek tamtejszy rynek konsumpcyjny został zalany tańszymi, bo dotowanymi przez państwo, artykułami rolnymi z USA. W konsekwencji miliony wyrugowanych z ziemi chłopów meksykańskich zaczęło nielegalnie przekraczać granic USA w poszukiwaniu pracy i godnego życia. Ten przykład pokazuje dobitnie jak bardzo problemy globalizacji światowego rolnictwa przekładają się na problemy społeczne świata w którym żyjemy, a zwłaszcza na nabrzmiewający w ostatnich latach, niezwykle bolesny problem globalnej, masowej migracji ekonomicznej mieszkańców Południa do krajów Północy.

.....
Marek Kryda - działacz polskiego ruchu ekologicznego i praw zwierząt, publicysta.

ciąg dalszy z poprzedniej strony

niedawno. Góry, rzeki, chmury, rośliny i inne zwierzęta istniały tu na długo zanim pojawił się człowiek. Korzystamy z tego wszystkiego, z wody, z powietrza, z roślin i zwierząt. Dzięki Ziemi możliwe jest nasze życie. Jak więc możemy ogłosić się właścicielami jakiegoś kawałka ziemi? Dla ludzi z wielu innych kultur, z różnych rejonów świata, takie podejście jest niezrozumiałe.

W liście z 1855 r., który przypisuje się wodzowi Seattle z plemienia Duwamish, skierowanemu do prezydenta Stanów Zjednoczonych, Franklina Pierce'a, możemy przeczytać: „Wielki wódz w Waszyngtonie przesyła nam słowa, z którymi wynika, że chciałby kupić naszą ziemię. (...) Jak jednak można kupić lub sprzedać niebo – ciepło ziemi? Ten pomysł jest dla nas dziwny. Nie jesteśmy właścicielami świeżości, którą ma powietrze czy światła migoczące na wodzie. Jak można je od nas kupić?”.

Także Aborygeni w Australii nie uważali się za właścicieli ziemi, choć korzystali z niej na tym kontynencie przez dziesiątki tysięcy lat. Jak zauważa główny bohater filmu *Krokodyl Dundee*: „Widzisz, Aborygeni nie posiadają ziemi. Oni do niej należą. Jest dla nich jak matka. Widzisz te skały? Stoją tu od 600 milionów

lat. Będą tu także wtedy, kiedy ciebie i mnie już tu nie będzie. Zatem klócenie się, kto jest ich właścicielem, to jakby dwie pchły kłóciły się, która z nich jest właścicielem psa, na którym żyją”.

Czy można taki stosunek do przyrody i do ziemi ująć w prawie? Tak, wówczas zamiast prawa do własności ziemi mamy prawo do korzystania z niej – lokalna społeczność lub państwo rozdzielają dostępną ziemię wśród osób, które chcą ją uprawiać. Do rozważenia jest czy z przyznaniem prawa do korzystania z ziemi powinna wiązać się opłata czy też nie. Dla podstawowej, minimalnej powierzchni gospodarstwa rolnego może jej nie być wcale. Opłaty mogą się natomiast pojawiać w przypadku większych gospodarstw, powinny także obowiązywać limity określające maksymalną wielkość ziemi, którą może uprawiać jedna osoba.

Zaletą takiego rozwiązania jest to, że lokalnej społeczności lub państwu jest łatwiej zapewnić dostęp do ziemi dla wszystkich potrzebujących, niż gdy jest ona własnością prywatną. Można wówczas uniknąć spekulowania cenami gruntów, zarabiania na zmianie ich przeznaczenia (na przykład przy przekształcaniu działki rolnej w mieszkanie, a gdzieś prawo do takiej zmiany ma wyłącznie lokalna społeczność lub państwo). Oczywiście, powin-

no się to odbywać w przejrzysty, sprawiedliwy i demokratyczny sposób, tak, aby ludzie mieli to wszystko pod swoją kontrolą. Ważne jest także, aby istniała możliwość odebrania prawa do korzystania z ziemi, gdy jest ona używana w sposób niewłaściwy, który prowadzi na przykład do jej degradacji. Czyż nie jest to niezwykle, że zniszczenie gleby – wyjątkowość jej, jest dziś w wielu państwach legalne? Uznaje się, że można to zrobić, gdyż jest to czyjaś własność prywatna, więc jej właściciel lub właścicielka może z nią zrobić, co tylko się jemu lub jej podoba. Czy możemy to jednak nazwać roztropnym gospodarowaniem dostępną ziemią?

4.

Niektóre państwa w Europie mają już ograniczenia dotyczące prywatnej własności ziemi. Art. 44 Konstytucji Włoch stanowi, że: „W celu zapewnienia racjonalnego wykorzystania ziemi i tworzenia sprawiedliwych stosunków społecznych ustawa nakłada obowiązki i ograniczenia na prywatną własność ziemską, ustala granice jej rozszerzenia w zależności od regionów i stref rolnych, popiera i wymusza meliorację gruntów, przekształcenie latyfundiów oraz odbudowę jednostek produkcyjnych; pomaga małej i średniej własności”. W Konstytucji Niemiec, w art. 15, ujęta jest możliwość przekształcania terenów

prywatnych w społeczne: „Grunty i ziemia, bogactwa naturalne i środki produkcji mogą być w celu społecznego przekształcone na mocy ustawy, która określa rodzaj i rozmiar odszkodowania, we własność społeczną lub w inne formy gospodarki społecznej”. Warto też zauważyć, że papież Franciszek podkreśla w encyklice *Laudato Si*, iż: „Tradycja chrześcijańska nigdy nie uznała prawa do własności prywatnej za absolutne i nienaruszalne i podkreślała społeczną funkcję wszelkiej formy własności prywatnej”.

Przekształcanie ziemi prywatnej w społeczną to oczywiście temat delikatny i budzący kontrowersje, szczególnie, że oznacza to odbieranie prawa własności osobom, które zwykle są bogate, a przez to wpływowe.

Są jednak rejony na świecie, w których nie ma innego sposobu (poza na przykład wycianiem naturalnych lasów), by zapewnić ludziom dostęp do ziemi. Dotyczy to nie tylko państw rozwijających się. W Szkocji rząd planuje umożliwić lokalnym społecznościom wykup ziemi z rąk prywatnych, na co jest odolny nacisk. Na dziś parlamentarzyści są zdania, że zaproponowane zmiany w prawie były dość zdecydowane i oczekują dalej idących zmian.

W Polsce sytuacja jest inna, gdyż wciąż jeszcze wiele terenów rolnych jest własnością państwa – zostało ich 1,42 miliona hektarów. Sprzedaż ziemi oznacza wpływ do budżetu państwa i od 1992 r. sprzedanych zostało ponad 3,2 miliona hektarów ziemi. Czy jednak tego rodzaju polityka będzie się sprawdzała także w dłuższej perspektywie? Korzyści dla społeczeństwa mogłyby być większe, gdyby przekazać ziemię w zarządzanie lokalnym społecznościom, które mogłyby ją wydzierżawiać lub używać, na sprawiedliwych zasadach, dla realizowania celów społecznych lub ekologicznych.

Publikacja powstała w ramach projektu „Drobni rolnicy nadzieją na pokonanie głodu”. Za treści wyrażone w tym materiale odpowiada wyłącznie Instytut Globalnej Odpowiedzialności. Opinie te w żadnym wypadku nie wyrażają oficjalnego stanowiska Unii Europejskiej. Materiał udostępniony na licencji CC BY.

.....
Dr Marcin Gerwin - specjalista ds. zrównoważonego rozwoju i partycypacji. Z wykształcenia politolog. Autor książki „Żywność i demokracja” oraz „Żywność przyjazna dla klimatu”. Zaangażowany w promowanie paneli obywatelskich. Współzałożyciel Społecznej Inicjatywy Rozwojowej.

WSPÓŁPRACA DLA SUWERENNOŚCI ŻYWNOSCIOWEJ

Nyeléni Polska na XIV Dobrych Żniwach



Jędrzej
Cyganik

W pierwszy weekend marca w Bońcy pod Sochaczewem już po raz czternasty odbyło się spotkanie ekologicznych rolników i producentów żywności - Dobre Żniwa. Żniwa wczesnowiosenne, gdzie zbiera się plony zimowych przemyśleń i łączy nagromadzoną w ludziach energię, by rozpocząć nowy sezon wegetacyjny ze świadomością wspólnego celu i mocną motywacją do pracy.

Od lat Ewa i Peter Stratenwerth, założyciele **Ekologicznego Uniwersytetu Ludowego** oraz **Stowarzyszenia Ziarno**, stwarzają wokół swojego gospodarstwa w Grzybowie przestrzeń wymiany i współdzielenia, skupiając doświadczonych rolników, edukatorów i studentów ekologicznej uprawy i gospodarowania, przestrzeń otwartą na wszystkich, którym los Ziemi nie jest obojętny i którzy chcą własną pracą wpływać na jego poprawę.

Wśród ponad 160 uczestników tegorocznych Dobrych Żniw znaleźli się również reprezentanci polskiej gałęzi międzynarodowego ruchu na rzecz suwerenności żywnościowej – **Nyeléni Polska**.

Suwerenność żywnościowa to termin ukuły w latach 90. przez członków **La Via Campesina**, największej na świecie organizacji skupiającej drobnych rolników i walczącej o prawa chłopskie. Powstał w odpowiedzi na panujący w międzynarodowym systemie żywności paradygmat "bezpieczeństwa żywnościowego", który, kładąc nacisk na powszechny i pewny dostęp do żywności na świecie, ignorował kwestie sprawiedliwej i odpowiedniej produkcji i dystrybucji tej żywności, otwierając globalne rynki i czyszcząc do nich drogę międzynarodowym korporacjom i praktykom intensywnego rolnictwa wielkoobszarowego. Podporządkowanie systemu żywności zasadom neoliberalnego kapitalizmu i logice zysku miało dotkliwe konsekwencje: doprowadziło do upadku tradycyjnych stylów życia wspólnot wiejskich na całym świecie, do zwiększenia nierówności i zaostroszenia problemu głodu, przy jednoczesnym zignorowaniu wpływu działań człowieka na stan środowiska naturalnego. Od końca ubiegłego wieku narastał sprzeciw oddolnych ruchów chłopskich i siła organizacji takich jak **La Via Campesina** czy **ruch Nyeléni**.

Nyeléni to międzynarodowy nieformalny, oddolny ruch w obronie suwerenności żywnościowej. Ma on na celu budowę porozumienia między wszystkimi środowiskami

społecznymi, które są zainteresowane obroną zdrowej, produkowanej lokalnie żywności i powszechnego do niej dostępu, oraz wypracowanie wspólnej dla tych środowisk strategii działań.

Nazwa **Nyeléni** pochodzi od imienia legendarnej kobiety z afrykańskiego Mali, która symbolizuje umiejętną gospodarkę rolą, etos pracy, inwencji i troski o ekosystem. Zgodnie z podaniem, **Nyeléni** dzięki swojej zaradności, uprawiając ziemię w harmonii z naturą dostarczała pożywienie dla całej dużej społeczności plemiennej, czyli zapewniła mu suwerenność żywnościową. Z tego powodu **Nyeléni** stała się patronką ruchu na rzecz suwerenności żywnościowej, dając mu swoje imię podczas pierwszego światowego forum w **Sélingué**, w Mali 2007 roku, kiedy to zostały ustalone ramy jego wspólnej polityki. Spisano wtedy **pierwszą deklarację ruchu**, która definiuje pojęcie suwerenności żywnościowej jako:

... prawo ludzi do zdrowej i kulturowo odpowiedniej żywności, produkowanej w oparciu o ekologiczne i zrównoważone metody, a także ich prawo do definiowania własnych systemów żywnościowych i rolnych. (...) Suwerenność żywnościowa staje w obronie interesów przyszłych generacji, żądając uwzględnienia ich głosu w debacie. Proponuje strategię oporu i zwalczania istniejącego systemu handlu i dyktatu żywieniowego korporacji oraz nowe kierunki dla systemów żywności (...) tworzonej przez lokalnych producentów i konsumentów. Suwerenność żywnościowa daje priorytet gospodarkom lokalnym i narodowym oraz wzmacnia rolnictwo tworzone przez tradycyjne gospodarstwa wiejskie i rodzinne, (...) bazujące na wartościach zrównoważonego rozwoju w zakresie ekologicznym, społecznym i ekonomicznym (...). Przekazuje prawo do właściwego użytkowania i zarządzania ziemiami, terytoriami, wodami, nasionami, zwierzętami oraz bioróżnorodnością w ręce nasze, czyli tych, którzy żywność wytwarzają. Suwerenność żywnościowa zakłada nowy rodzaj relacji społecznych, wolny od opresji i nierówności między mężczyznami i kobietami, narodami, grupami rasowymi, klasami społecznymi i ekonomicznymi oraz pomiędzy pokoleniami.

Deklaracja Nyeléni, Sélingué, Mali 2007

Deklaracja Nyeléni obszernie rozwija zasady, które tworzą klarowny manifest nowego podejścia do ziemi, praw człowieka i jego roli na ziemi, jego miejsca w społeczności ludzkiej oraz szerokiej gromadzie istot, z którymi współdzieli planetę. Te zasady to wspólny punkt odniesienia dla mocno zróżnicowanej grupy ludzi związanych z ziemią i dystrybucją żywności, którzy chcą współdziałać na rzecz zmiany i współtworzyć nowe modele lokalnych systemów żywności.

Inicjatywa Nyeléni Polska zawiązana została w listopadzie 2016 r. podczas międzynarodowego forum **Nyeléni** w Cluj-Napoca w Rumunii przez kilkunastoosobową grupę polskich delegatów.



Wśród jej założycieli znaleźli się rolnicy ekologiczni z różnych części Polski, a także aktywiści miejscy, członkowie kooperatyw spożywczych, RWS-ów (Rolnictwo Wspierane Społecznie), organizacji pozarządowych, przedstawiciele Instytutu Globalnej Odpowiedzialności oraz Ekologicznego Uniwersytetu Ludowego w Grzybowie. Różnorodność tej grupy dobrze oddaje charakter forum **Nyeléni** oraz złożoność idei suwerenności żywnościowej, wokół której w Rumunii spotkało się i dyskutowało ponad 600 delegatów z Europy i Azji Środkowej.

Ruch Nyeléni Polska tworzy przestrzeń takiego dialogu w naszym kraju. Sytuacja Polski i polskiej wsi różni się od sytuacji w krajach Globalnego Południa, jednak globalne procesy wynikające z zasad ekonomii neoliberalnej oddziaływały na nas w takim samym stopniu. Europejska Wspólna Polityka Rolna złądziła konsekwencje tych globalnych trendów, m.in. poprzez rozwijanie nierolniczych obszarów gospodarki i przebranzowanie wsi oraz za pomocą kontrowersyjnego systemu dopłat, który zapewniając mieszkańcom wsi źródło dochodu, osłabia jednak różnorodność i wydajność polskiego rolnictwa oraz podkopuje naszą suwerenność, uzależniając zaopatrzenie rynku od taniego importu żywności produkowanej intensywnie i wielkoskalowo w różnych częściach globalnej wioski.

Dostęp do informacji oraz wzrastająca świadomość tych procesów sprawiają, że również w Polsce narastają oddolne ruchy producentów i konsumentów, działające na rzecz suwerenności żywnościowej. Kwestie takie jak sprzedaż bezpośrednia, możliwość decydowania o sposobie produkcji żywności i sprawowania nad nią społecznej kontroli, ustalanie lokalnych reguł wymiany handlowej i lokalizacja rynków czy szeroko pojęta ekologia życia codziennego – to tylko niektóre postulaty podnoszone coraz częściej w debacie publicznej w Polsce i znajdujące poparcie w coraz szerszych kręgach społeczeństwa. **Ruch Nyeléni Polska** wychodzi naprzeciw własnym takim tendencjom, jednocząc głosy płynące z różnych środowisk i wzmacniając ich przekaz. **Nyeléni Polska stawia sobie m.in. następujące cele:**

1. Włączanie do debaty publicznej pojęcia suwerenności żywnościowej oraz promocję rodzinnego, lokalnego rolnictwa i agrokologii jako alternatywy dla rolnictwa przemysłowego i agrokemii.

2. Ułatwienie wejścia na rynek małoobszarowym gospodarstwom rolnym i wytwórcom poprzez promocję praktyk rolniczej sprzedaży (kooperatywy spożywcze, rolnictwo wspierane przez społeczność) oraz poprzez organizację i instytucje publiczne (zamówienia publiczne).

3. Stworzenie masowego ruchu suwerenności żywnościowej w Polsce i jego silnej reprezentacji.

4. Stworzenie miejsca spotkania i dialogu dla uczestników ruchu poprzez platformę internetową, a także cykliczne spotkania (Polskie Forum Suwerenności Żywnościowej).

5. Rozwój i wzmacnianie współpracy międzynarodowej na rzecz Suwerenności Żywnościowej.

Spotkanie podczas Dobrych Żniw w Bońcy stanowiło idealną okazję, by zaprezentować ruch szerokiemu gronu rolników ekologicznych z całej Polski. Niektórzy członkowie **Nyeléni** są również studentami Ekologicznego Uniwersytetu Ludowego i brali aktywny udział w organizacji wydarzenia. Dzięki temu wśród zaproszonych prelegentów znaleźli się przedstawiciele ruchu **La Via Campesina** z Rumunii, Austrii i Anglii.

Stela Zamoju i **Ramona Dominicioiu** z rumuńskiej organizacji **EcoRuralis** opowiadały o sieci gospodarstw nasienniczych i systemie wymiany nasion, który stanowi już w Rumunii poważną alternatywę dla kontrolowanego przez rządy i korporacje rynku nasienniczego. **Ramona** dodatkowo opowiedziała o europejskim oddziale **La Via Campesina**, o zasadach członkostwa w organizacji, obszarach jej działań i wzajemnym wsparciu drobnych rolników w Europie. Parę dni wcześniej, dzięki inicjatywie członków **Nyeléni**, odbyły się rozmowy przedstawicieli **La Via Campesina** i oddziału mazowieckiego **Stowarzyszenia Ekoland**, które wstępnie wyraziło chęć przystąpienia do **LVC** jako pierwsza polska organizacja.

Inna organizacja członkowska **LVC** obecna na seminariach to **Land Workers' Alliance** z Wielkiej Brytanii. **Gerald Miles** opowiadał o swoim gospodarstwie, które prowadzi w ramach **RWS**, oraz o swojej drodze do aktywizmu rolniczego w obszarze suwerenności żywnościowej. **Lynn Davis** przedstawiła projekt **Street Goat**, w którym grupa mieszkańców Bristolu prowadzi kooperatywny wypas kóz na nieużytkach miejskich, wytwarza nabiał i sprzedaje go w spółdzielczym sklepie. O swoich gospodarstwach opowiedzieli również rolnicy-aktywiści z Austrii, członkowie **ÖBV – Via Campesina Austria**, **Christine Pichler** i **Ludwig Rumetshofer**.

Podczas seminarium nie zabrakło też przykładów dobrych praktyk ekologicznych z Polski. Obecne

były dwa gospodarstwa nagrodzone przez Ministra Rolnictwa w kategorii najlepsze gospodarstwo ekologiczne w Polsce za lata 2015 i 2016: gospodarstwo **Krzysztofa Zembrowskiego** produkujące zboża, rośliny oleiste i oleje, oraz **Kozia Farma Złotna Katarzyny i Grzegorza Łaskich**. Wymiar głęboko edukacyjny miały prezentacje: **Anity Idel** z **Niemiec**, o wpływie zrównoważonych pastwisk na żyzność gleby, bioróżnorodność i klimat oraz **Marii Staniszewskiej** z **Polskiego Klubu Ekologicznego** na temat skutecznych praktyk rolniczych zapobiegających wymywaniu azotu i fosforu do wód.

Najcenniejsze z punktu widzenia współpracy i konsolidacji środowiska były dyskusje w grupach roboczych, odbywające się pod następującymi tytułami: **Współpraca w rolnictwie ekologicznym**; **Ruch Suwerenności Żywnościowej** i **La Via Campesina**; **Pytania dotyczące chowu zwierząt w gospodarstwie ekologicznym**; **Uprawy roślinne w rolnictwie ekologicznym**; **Ekologiczny Uniwersytet Ludowy**. Podczas Dobrych Żniw miała również miejsce wymiana nasion.

Spotkanie w Bońcy było bardzo ważnym wydarzeniem z punktu widzenia pogłębiania współpracy i rozszerzania sieci kontaktów między organizacjami i jednostkami, które rozumieją zagrożenia wynikające z obecnego systemu żywnościowego i dążą do jego zmiany, rozwijając alternatywne wobec niego praktyki. Świadomość, że nie walczy się samemu, jest kluczowa, kiedy przeciwnikiem jest gigantyczny rynek korporacji i międzynarodowych umów handlowych, który wpływa i kształtuje nasze życie na wszystkich poziomach. Przykłady na skuteczne działanie w pominięciu jego zasad można dostrzec w miastach i wsiach na całym świecie – świadomość społeczna w ostatnich latach wyraźnie wzrosła, przybiera inicjatyw skupionych wokół ekologicznego, lokalnego jedzenia i zrównoważonego podejścia do naszego miejsca na Ziemi. **Ruch Nyeléni Polska** powstaje jako efekt tych przemian – jest ważnym krokiem na drodze do sformułowania mocnego, zbiorowego głosu w obronie zdrowej ziemi, zdrowych relacji i zdrowego społeczeństwa.

.....
Jędrzej Cyganik (1989) podróżnik, i aktywista, z wykształcenia filolog polski, z zawodu cieśla. Założyciel Wawelskiej Kooperatywy Spożywczej, członek założyciel inicjatywy na rzecz suwerenności żywnościowej Nyeleni Polska, członek Pracowni na Rzecz Wszystkich Istot. Obecnie zatrudniony w Fundacji Cohabitat przy budowie Osady Twórców, eksperymentalnego siedliska opartego na zasadach samowystarczalności i ekologii. Zwolennik ekosystemowego i holistycznego podejścia do człowieka na Ziemi, pasjonat lasu, miłośnik Życia.

Biogospodarka nie jest magiczną receptą na gospodarke przyjazną środowisku

Według autorów nowego raportu Friends of the Earth Europe wiele z istniejących i planowanych strategii oraz inicjatyw Unii Europejskiej, które dotyczą wykorzystania materiałów pochodzenia roślinnego do produkcji „zielonych” tworzyw sztucznych, opakowań, paliw itp., może przynieść skutek odwrotny od zamierzonego i stwarza poważne zagrożenia społeczne i ekologiczne.

Zastąpienie produktów opartych na paliwach kopalnych produktami pochodzenia roślinnego jest głównym założeniem „biogospodarki”, promowanej obecnie w Unii Europejskiej. Narzędziem tej promocji są polityki odnoszące się do energii odnawialnej i specjalna strategia na rzecz biogospodarki, która prawdopodobnie będzie zawarta w przyszłych regulacjach prawnych dotyczących tworzyw sztucznych i opakowań. [1]

Rządy i przemysł propagują biogospodarkę, obiecując zmniejszenie zależności od paliw kopalnych.

Jednak, jak pokazuje raport, może to pociągnąć za sobą poważne koszty ekologiczne i społeczne:

- Wielka i coraz bardziej zwiększająca się część globalnych gruntów uprawnych nie jest używana pod uprawę żywności, lecz zamiast tego dostarcza surowców potrzebnych do wytwarzania nieżywnościowych produktów biogospodarki. Najnowsze dane pokazują, że 12% wszystkich światowych gruntów uprawnych jest wykorzystywanych w ten sposób.

- Unia Europejska jest największym konsumentem nieżywnościowych produktów biogospodarki, a 65% ziemi koniecznej dla zaspokojenia tego zapotrzebowania znajduje się poza jej granicami – szczególnie w Azji.

- Do roku 2019 obszar ziemi uprawnej wykorzystanej pod uprawę roślin służących do produkcji bioplastików będzie większy od terytoriów Belgii, Holandii i Danii razem wziętych.

- Można zaobserwować negatywne skutki ekologiczne i społeczne w krajach, które dostarczają surowców dla

europejskiej biogospodarki – głównie na Globalnym Południu. Należy do nich zanieczyszczenie wody i jej niedobory, jak również niekorzystny wpływ na zmiany klimatu. Grzebiez ziemi powiązana z europejską biogospodarką dotyka szczególnie najsłabsze grupy społeczne, w tym rolników produkujących wyłącznie na własne potrzeby, ludy tubylcze oraz społeczności i kobiety w krajach, w których regulacje prawne dotyczące dostępu do ziemi są niejasne. Często zagrożone jest bezpieczeństwo żywnościowe.

Unia Europejska nie dysponuje niezbędnymi danymi i narzędziami potrzebnymi do zrozumienia i monitorowania konsekwencji wielu szybko rozwijających się sektorów biogospodarki, konieczne jest pilne stworzenie ram monitorowania, aby zapewnić jej zrównoważony rozwój w zgodzie z zasadami sprawiedliwości.

Meadhbh Bolger, kampanierka ds. sprawiedliwego dostępu do zasobów we Friends of the Earth powiedziała:

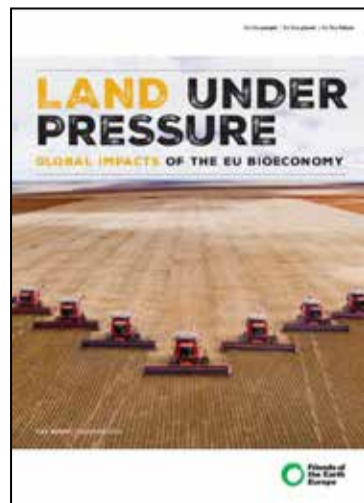
„Pogłoski o rzekomej „zieloności” biogospodarki są w dużej mierze

przesadzone. Sama zmiana źródła, z którego pochodzą nasze plastyki i paliwa, nie jest magicznym rozwiązaniem, które usunie zanieczyszczenia, zmniejszy emisje gazów cieplarnianych i zakończy nadmierne zużywanie zasobów. Wręcz przeciwnie, przejście na bioplastiki i biopaliwa oznacza zużycie ogromnych ilości ziemi, głównie poza UE, i niszczący wpływ na środowisko. Jedynym pewnym sposobem na rozwiązanie tych problemów jest drastyczne zmniejszenie naszego zużycia zasobów”.

Przypisy:

[1] W 2017 roku Komisja Europejska ma zaktualizować swoją Strategię dotyczącą biogospodarki i pracuje obecnie nad nową Strategią dotyczącą tworzyw sztucznych – dokumenty te mogą uutorować drogę dla dalszej integracji biogospodarki z innymi procesami kształtowania polityki. Parlament Europejski może opowiedzieć się za włączeniem promocji opakowań pochodzenia biologicznego do dyrektywy ws. opakowań i odpadów opakowaniowych Unii Europejskiej.

Aktualna strategia Komisji Europejskiej dotycząca biogospodarki: Inno-



<http://www.foeeurope.org/land-under-pressure-global-impacts-eu-bioeconomy-061216>

wacje dla zrównoważonego wzrostu: biogospodarka dla Europy (2012) – pdf http://ec.europa.eu/research/bioeconomy/pdf/201202_innovating_sustainable_growth_pl.pdf

Tłumaczenie: Jan Skoczylas

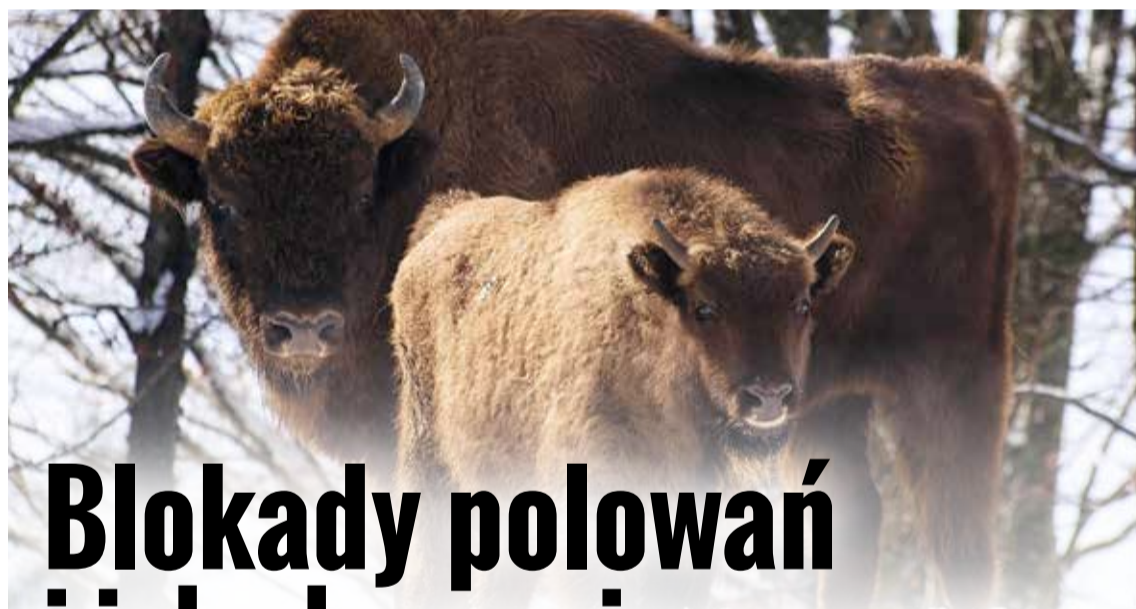
Źródło: Friends of the Earth Europe



Jarosław Urbański

Osoby śledzące doniesienia na temat organizowania blokad polowań, z pewnością dochodzą do wniosku, że głównym ich powodem jest sprzeciw wobec „rozrywkowego” pozbawiania życia dzikich zwierząt. Kwestie etyczne stanowią istotny czynnik motywujący aktywistów i aktywistki do działania. Jednak występowanie przeciwko myślistwu ma rozleglejszy sens, także walki ekonomicznej. Jest sprzeciwem wobec rosnącej eksploatacji przyrody dla doraźnych komercyjnych celów.

Przyglądając się danym za ostatnie osiem sezonów łowieckich (2008/2009-2015/2016) umieszczonych na stronach Polskiego Związku Łowieckiego (PZŁ), dostrzegamy, że liczba odstrzału wielu zwierząt łownych wzrasta. Dotyczy to szczególnie danieli (wzrost o 123%), muflonów (wzrost o 192%), jeleni (102%), saren (30%), wreszcie dzików (53%). Wprawdzie spada liczba upolowanych ptaków np. kuropatw (spadek o 94%) czy bażantów (spadek o 23%), a także zajęcy (spadek o 16%), to wyraźnie się rysuje tendencja do pozyskiwania jak największej ilości mięsa. Stąd rośnie odstrzał dużych zwierząt, a maleje małych. Gdyby porównać wyniki łowieckie na przestrzeni ostatnich ośmiu lat, to zauważamy, iż dziś szacunkowo pozyskujemy się o ponad 1/2 więcej mięsa niż wcześniej. Potwierdzają to też dane Głównego Urzędu Statystycznego (GUS) dotyczące skupu dziczyzny. W stosunku do jeleni, saren i dzików (głównych dużych ssaków łownych) wzrósł od międzyrokiem 2010 a 2015 o ponad 40%. Jest to - dodajmy - tendencja europejska, która da się zaobserwować już od kilku dekad. Myśliwi i część naukowców tłumaczy to raczej czynnikami naturalnymi, a nie ekonomicznymi. Utrzymują, że odstrzał jest konsekwencją wzrostu populacji ssaków łownych, który postępuje zasadniczo niezależnie



Blokady polowań i ich ekonomiczny sens

od człowieka. Tak naprawdę jednak funkcje „ochronno-przyrodnicze” łowiectwa sprowadzają się do zabiegów hodowlanych, jak na przykład krytykowane przez ekologów dokarmianie zwierząt w zimie i introdukcje, czyli wprowadzenie nierodzimego gatunku do danego ekosystemu.

Intensywna eksploatacja

Polują nie tylko myśliwi zrzeszeni w kołach PZŁ, ale także leśnicy, a Lasy Państwowe (LP) nie ukrywają, że chciałyby zarabiać nie tylko na handlu drewnem, ale także coraz więcej na sprzedaży dziczyzny. Lasy Państwowe to ogromne przedsiębiorstwo. W Polsce ponad 90% powierzchni lasów jest poddana intensywnej eksploatacji gospodarczej. Spółka przynosi rocznie ponad 400 mln złotych czystego zysku, przy przychodzie ze sprzedaży wynoszącym 8,2 mld złotych. Lasy Państwowe posiadają zatem środki, aby swoje marketingowe plany zrealizować. Temu też prawdopodobnie mają służyć zmiany w Prawie łowieckim. Nowelizacja tej ustawy oprócz tego, że jest

odpowiedzią na postulaty miłośników łowiectwa (rekrutujący się w większości spośród uprzywilejowanych klas społecznych), to ma otworzyć nowe możliwości niezakłóconej eksploatacji fauny.

W handlu dziczyzną pośredniczą spółki prywatne. Większość dziczyzny jest eksportowana na Zachód (głównie do Niemiec). Wg GUS wartość eksportu w ostatniej dekadzie wzrosła o blisko 80%. Rynek ten wart jest dziś ok. 177 mln zł (47 mln. \$) i dynamicznie się rozwija. Pojawiają się też rozważania marketingowe, jak zachęcić Polaków i Polki do kupowania i konsumowania dziczyzny, która dla większości póki co jest po prostu za droga i trudno dostępna. Powoli jednak realizowany jest plan pobudzenia wewnętrznego popytu na dziczyznę, co raczej stoi w sprzeczności z tłumaczeniem, że łowiectwo ogranicza się tylko do zachowania równowagi biologicznej i funkcji „ochronno-przyrodniczych”.

Co to realnie oznacza? Dziś zabija się ok. jednego miliona zwierząt łownych (85-90% odstrzału doko-

nują członkowie PZŁ, pozostała część przede wszystkim leśnicy). Pesymiści twierdzą, że ofiarą eksploatacji może rocznie padać nawet ponad 1,5 miliona zwierząt, gdyby uwzględnić te, które umierają ranione, ale nie schwytane przez myśliwych. Presja na odstrzał ciągle rośnie, ale to wcale nie oznacza, że populacja dużych ssaków łownych maleje. Przeciwnie, wkłada się wiele starań, aby do tego nie dopuścić, wraz ze wspomnianym już dokarmianiem czy wprowadzeniem do ekosystemu gatunków obcych (np. danieli). Całe połacie lasów i przyległości zamieniono w tereny de facto hodowlane, a eksploatacja lasów (wycinka) sprzyja powstawaniu polan i młodników, gdzie wiele zwierząt łownych żeruje. Współczesny hodowlany las jest o wiele rzadszy od borów sprzed kilku stuleci, co - wbrew pozorom - sprzyja rozwojowi gatunków zwierząt łownych. Przede wszystkim jednak struktura dzisiejszego rolnictwa przyczynia się do powiększania się liczebności wielu ssaków kopytnych, które zyskały dostęp do dużych obsza-

rów bogatych w żywność, o każdej w zasadzie porze roku.

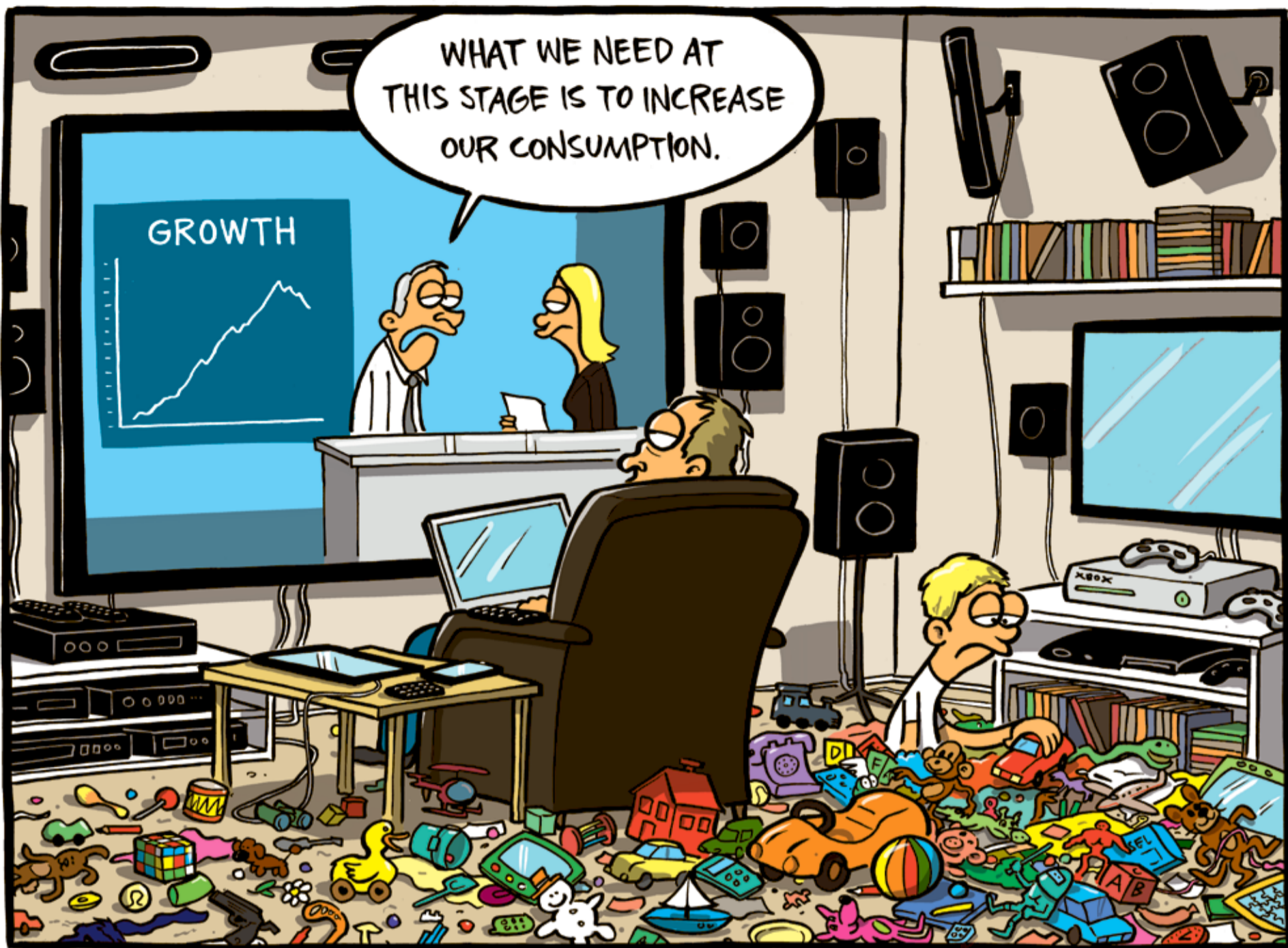
Elitarne hobby

Na tym tle - nie tyle innego, co dodatkowego - sensu nabierają blokady polowań. 28% naszego kraju zajmują lasy, a wraz z przylegającymi do nich polami, to ogromny obszar, który został zawłaszczony na potrzeby czysto merkantylnych celów. Na styku sektora państwowego (zwierzyna łowna teoretycznie należy do państwa) i biznesu rodzą się prywatne fortuny i dostatnio żyje urzędnicza nomenklatura. Sprzedaje się nie tylko drewno, ale także w coraz większej ilości dziczyznę. Problem polega na tym, czy dzieje się to w interesie społecznym?

Według jednego z opracowań, myśliwi (ok. 100 tys. osób) to przede wszystkim osoby z wyższym wykształceniem (49,7%), mężczyźni (97,4%), reprezentujący prywatnych przedsiębiorców (34,7%) lub - dodatkowo - menadżerów przedsiębiorstw i kierownictwo instytucji państwowych (32%). Jest to „hobby” wyjątkowo elitarne. Z kolei sama konsumpcja mięsa jest ściśle spleciona z zajmowaną pozycją społeczną. Jak wykazałem to w mojej książce „Społeczeństwo bez mięsa”, powołując się na badania GUS dotyczące polskich gospodarstw domowych, te o najniższych dochodach konsumują o 1/5 mniej mięsa w ogóle, niż gospodarstwa domowe o najwyższych dochodach. W przypadku dziczyzny rozdźwięk ten jest prawdopodobnie jeszcze większy.

Blokady polowań są zatem próbą odzyskania inicjatywy społecznej w obszarze, gdzie pojęcie dobra wspólnego, jak lasy i dzikie zwierzęta, zostało dawno zatracone - pomimo obowiązujące rządowej retoryki ochrony przyrody. Chroni się jedynie zasób, na którym swoją łapę położyły uprzywilejowane klasy społeczne - mężczyźni z wyższym wykształceniem kierujący prywatnymi firmami lub przedsiębiorstwami i instytucjami państwowymi.

Artykuł ukazał się w anarchistycznej gazecie ulicznej „A-tak” nr.5/2017



"W tym momencie powinniśmy zwiększyć naszą konsumpcję"

Jeśli podoba Ci się to, co robimy, prosimy, rozważ możliwość wsparcia Zielonych Wiadomości.

Tylko dzięki Twojej pomocy będziemy w stanie nadal prowadzić stronę i wydawać papierową wersję naszego pisma.

Fundacja Zielone Światło, ul. Juraty 1, 02-905 Warszawa

Numer konta:

PKOBP Oddział 1 w Warszawie 58 1020 1013 0000 0802 0171 6042, tytuł przelewu: „Darowizna na Zielone Wiadomości”

Z góry dziękujemy za udzielone nam wsparcie.

If you like what we do, please consider making a donation to Zielone Wiadomości.

It is only with Your help that we can continue running our website and publishing the printed paper.

Account number: PL 58 1020 1013 0000 0802 0171 6042, title: "Donation to Zielone Wiadomości"

Thank you!

